



Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK

Kraków 1997

Tytuł oryginału: *The File. A Personal History*
Copyright © Timothy Garton Ash, 1997

Opracowanie graficzne
Witold Siemaszkiewicz

Tłumaczenie przejrzał
Andrzej Pawelec

BIBLIOTEKA
Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych
Uniwersytetu Warszawskiego
ul. Nowy Świat 69, 00-046 Warszawa
tel. 620-03-81 w. 295, 296

46667

Biblioteka WDiNP UW



1098007611

© Copyright for the Polish translation
by Wydawnictwo Znak, Kraków 1997
ISBN 83-7006-699-2

Dla D., T. i A.

Uwaga dotycząca nazwisk

Występujące w tekście imiona Andrea, Claudia, Flash Harry, Frau Duncker i Frau R. są pseudonimami. Troje informatorów występuje pod kryptonimami Stasi: „Michaela”, „Schuldt” i „Smith”. Gdyby ktoś próbował zdemaskować prawdziwe osoby kryjące się pod tymi imionami – co w kilku przypadkach nie byłoby trudne – prosiłbym, aby tego nie robić, z powodów, które powinny stać się zrozumiałe.

– *Guten Tag* – mówi krzątając się Frau Schulz – ma pan bardzo interesujące akta. – A oto i one, spłowiła, gruba na jakieś pięć centymetrów teczka, z pieczętką na okładce: *OPK-Akte, MfS, XV 2889/81*. Pod spodem napisano starannym, urzędniczym pismem: „Romeo”.

– Romeo?

– Tak, to był pański kryptonim – mówi Frau Schulz i śmieje się.

Siadam przy małym stoliku z plastikowej imitacji drewna w ciasnym pokoju Frau Schulz w Urzędzie Federalnego Pełnomocnika do spraw Materiałów Państwowej Służby Bezpieczeństwa byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej: w ministerstwie akt. Gdy otwieram teczkę, przypomina mi się pewien osobliwy moment z mojego życia w NRD.

Pewnego wieczoru w 1980 roku, gdy mieszkałem jako student w Berlinie Wschodnim, wróciłem z dziewczyną do pokoju mieszczącego się w odrapanej kamienicy z epoki wilhelmińskiej w dzielnicy Prenzlauer Berg. Był to pokój z widokiem – ale z widokiem w głąb niego. Duże oszklone drzwi wychodziły wprost na balkon i, gdyby nie firanki, mieszkający naprzeciwko mogliby zaglądać do środka.

Gdy obejmowaliśmy się na wąskim łóżku, Andrea nagle odsunęła się, zrzuciła resztę ubrania, podeszła do okna i rozsunęła firanki. Włączyła oślepiające główne światło, po czym wróciła do mnie. Gdyby to było, powiedzmy, w Oksfordzie, mógłbym być nieco zaskoczony jasnym światłem i rozsuniętymi firankami. Ale to był Berlin, więc nie myślałem o tym więcej.

To znaczy nie myślałem do chwili, kiedy dowiedziałem się o teczce. Przypomniałem sobie wówczas ten moment i zacząłem zastanawiać się, czy aby Andrea nie pracowała dla Stasi i czy rozsunęła firanki, by można nas było sfotografować z przeciwnej strony ulicy.

Być może fotografie te czyhają w tej teczce, którą przeglądała już Frau Schulz. Co takiego powiedziała? „Ma pan bardzo interesujące akta”.

Pośpiesznie przewracając kartki, z ulgą stwierdzam, że nie ma wśród nich takich fotografii i że Andrea nie występuje tam jako informator. Są jednak inne rzeczy, które mnie uderzają.

Na przykład, „raport z obserwacji” opisujący wizytę w Berlinie Wschodnim, którą, jak się okazuje, odbyłem dnia 06.10.1979 od godziny 16.07 do 23.55. Kryptonim, jaki otrzymałem od Stasi tego dnia, brzmiał – mniej romantycznie – „246816”.

godz. 16.07

„246816” został wzięty pod obserwację, gdy przekroczył przejście graniczne Bahnhof Friedrichstrasse. Obserwowana osoba podeszła do stoiska z gazetami i kupiła „Freie Welt”, „Neues Deutschland” i „Berliner Zeitung”. Następnie obiekt [to znaczy ja] spacerował wokół dworca, czegoś szukając.

godz. 16.15

W górnej hali dworcowej „246816” przywitał się z osobą płci żeńskiej przez uściśnięcie dłoni i pocałunek w policzek. Osoba ta otrzymała kryptonim „Beret”. „Beret” miała ze sobą ciemnobrązową torbę na ramię. Oboje opuścili dworzec i skierowali się, rozmawiając, do Berliner Ensemble na Brechtplatz.

godz. 16.25

Oboje weszli do restauracji
Ganymed
Berlin-Mitte
Am Schiffbauerdamm

Po ok. 2 minutach obserwowane osoby opuściły restaurację i poszły przez Friedrichstrasse i Unter den Linden do Operncafé.

godz. 16.52

„246816” i „Beret” weszli do restauracji
Operncafé
Berlin-Mitte
Unter den Linden
Zajęli miejsca w kawiarni i wypili kawę.

godz. 18.45

Opuścili kawiarnię i poszli na Bebelplatz. W czasie od

godz. 18.45

do

godz. 20.40

oboje z zainteresowaniem oglądali marsz z pochodniami z okazji 30-lecia NRD. Następnie „246816” i „Beret” przeszli ulicami Unter den Linden [i] Friedrichstrasse do ulicy Am Schiffbauerdamm.

godz. 21.10

Weszli do restauracji Ganymed. W restauracji nie znajdowali się pod obserwacją.

godz. 23.50

Oboje opuścili lokal gastronomiczny i skierowali się bezpośrednio do hali przy przejściu granicznym Bahnhof Friedrichstrasse, do której o

godz. 23.55

weszli. „Beret” przekazano do wydziału głównego VI do dokumentacji. Nadzór zakończono.

Opis obiektu „246816”

płeć: mężczyzna

wiek: 20–25 lat

wzrost: ok. 1,75 m

budowa: szczupły
włosy: ciemnobłond
krótkie
ubiór: zielona kurtka
niebieski golf
brązowe spodnie sztruksowe

Opis towarzyszącej osoby – „Beret”

pleć: kobieta
wiek: 30–35 lat
wzrost: 1,75–1,78 m
budowa: szczupła
włosy: blond
kręcone
ubiór: granatowy płócienny płaszcz
czerwony beret
niebieskie dżinsy
czarne wysokie buty
 dodatki: ciemnobrązowa torebka

Siedzę więc oto przy stoliku z plastikowej imitacji drewna, podziwiając ten zrekonstruowany co do minuty jeden dzień z mojego życia oraz styl, który przypomina szkolne wypracowania: ani jednego zdania bez czasownika, pretensjonalne określenie „lokal gastronomiczny”. Pamiętam brudnego, złoto-czerwonego Ganymeda, pluszową Operncafé i ubraną w niebieskie koszule pryszczatą młodzież, maszerującą w trzydziestą rocznicę NRD, ich pochodnie strzelające iskrami w mglistym wieczornym powietrzu. Czuję znów ten specyficzny zapach Berlina Wschodniego: mieszanek dymu z przestarzałych domowych kotłów, w których paliło się brykietami z miazgi węglowej, spalin dwusuwowych trabantów, tanich wschodnioeuropejskich papierosów, wilgotnych butów i potu. Jednej tylko rzeczy nie mogę sobie przypomnieć: kim była ona, mój mały czerwony kapurek? W zasadzie nie taki mały: 1,75–1,78 m, prawie mojego wzrostu. Szczupła, kręcone blond włosy, 30–35-letnia, w czarnych wysokich butach? Siedzę pod badawczym okiem

Frau Schulz i mam poczucie, że jestem straszliwie niewierny wobec własnej przeszłości.

Po powrocie do domu, do Oksfordu, odkrywam, kim była – czytając mój własny dziennik z tamtych czasów. Znajduję pełny zapis krótkiego, intensywnego, niefortunego romansu: dni i nocy, rozmów telefonicznych i listów. Ba, w dzienniku załączone są dwa jej listy, przechowywane pieczołowicie w kopertach, opatrzone stemplem pocztowym z napisem „Poczta – bądź w kontakcie”. W jednym z listów znajduje się czarno-biała fotografia, którą mi wysłała, gdy było już po wszystkim, na pamiątkę. Rozwiane włosy, wydatne kości policzkowe, raczej napięty uśmiech. Jak mogłem o niej zapomnieć?

W moim dzienniku tego dnia w październiku 1979 roku opisuję Claudię: „zaczepny uśmiech, czerwony beret, niebieski płaszcz przeciwdeszczowy”. Jest tam też zapis: „Przejście przez Friedrichstrasse, przeszukany od stóp (buty «Duckers» zrobiły duże wrażenie na funkcjonariuszu) do głów”. Teraz przypominam sobie, jak w podziemnym przejściu granicznym pod dworcem kolejowym Friedrichstrasse ubrany w szary mundur funkcjonariusz wziął mnie do kabiny odgródzonej zasłoną, kazał wyjąć mi wszystko z kieszeni i położyć na stoliku, badał szczegółowo każdy przedmiot, a nawet wypytywał o poszczególne zapiski w moim kieszonkowym dzienniku. Następnie rozkazał, bym zdjął masywne buty z brązowej skóry, firmy Ducker & Son z Turl Street. Zajrzał do środka, zważył je w dłoni i orzekł: „Bardzo dobre buty”.

„Pod rękę, przytuleni [z Claudią] do Operncafé” – czytam dalej w dzienniku.

Rosnąca intymność [...]. Ok. 19.00 marsz z pochodniami. Bardzo zimny, wschodni wiatr. Nasze ciepło. Labirynt – okrażeni. Prześlizgując się między kolumnami, unikając policjantów. W końcu do „Ganymeda”. Kolaż znośna. C. o swoich „Jobben”. Jej działalność poli-

tyczna. Wracamy przez Friedrichstr. Do Dienera [...] ok. 3.00 na Uhlandstr. Daniel, zrozpaczony i błądy przed drzwiami mieszkania – zamkniętymi!

Daniel Johnson, syn pisarza Paula Johnsona, jest obecnie ważną figurą w „Timesie”. Wówczas był zapalonym intelektualistą, absolwentem Cambridge, pracował nad doktoratem z historii niemieckiego pesymizmu – zawsze ogromną radość sprawiało mu odkrycie kolejnego przypadku. Mieszkaliśmy razem w obszernym mieszkaniu z końca dziewiętnastego wieku w dzielnicy Wilmersdorf, przy Uhlandstrasse 127. Daniel zapomniał kluczy.

„Labirynt” i „kolumny” odnosiły się, jak przypuszczam, do maszerującej w szyku z pochodniami w dłoniach Wolnej Młodzieży Niemieckiej, komunistycznej organizacji młodzieżowej, o piramidalnie opacznej nazwie. Co do „jej politycznej działalności” – Claudia należała do łatwo rozpoznawalnego pokolenia roku 1968. Tego wieczoru opowiedziała mi, jak śpiewali policji tłumiącej zamieszki rytmowaną, która prząśnie, lecz precyzyjnie oddaje ową mieszkankę politycznego i seksualnego protestu z roku '68. W wolnym przekładzie brzmi ona: „Po ulicach jak świny biegacie / A w łóżku się nie sprawdzacie”.

Ostatni raz ujrzałem ją przelotnie jakiś czas potem, na cmentarzu przy wiejskim kościele w Berlin-Dahlem, na pogrzebie studenckiego przywódcy Rudiego Dutschkego. Miała na głowie ten sam czerwony beret. A może tylko przywidział mi się ten ostatni szczegół?

Raport Stasi, moje zapiski w dzienniku: dwie wersje jednego dnia z życia. „Obiekt” opisany z zewnątrz, chłodnym okiem tajnego policjanta, i mój subiektywny, skrótowy, emocjonalny opis. Jakimż prezentem dla pamięci jest teczka Stasi... Znacznie lepszym niż Proustowska magdalena.

I

„OPK” na okładce teczek oznacza skrót *Operative Personenkontrolle*, Operacyjną Kontrolę Osób. Według *Słownika Działań Polityczno-Operacyjnych*, wydanie z 1985 roku, opracowanego przez Wyższą Szkołę Prawa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa, Operacyjna Kontrola Osób miała służyć do identyfikacji każdego, kto popełniłby przestępstwo według kodeksu karnego lub miałby „wrogi i negatywne nastawienie” albo też mógłby być wykorzystywany dla wrogich celów przez nieprzyjaciela. Głównym zadaniem OPK, jak wyjaśnia słownik, jest odpowiedzieć na pytanie: „kto jest kim?” Każdateczka rozpoczyna się od „raportu wstępnego” i „planu działania”.

Mój raport wstępny datuje się z marca 1981 roku. Został on przygotowany przez niejakiego porucznika Wendta i zawiera moje dane osobowe, w tym informację, że studiowałem w Berlinie Zachodnim od 1978 roku, a od stycznia do czerwca 1980 – w rzeczywistości do października – mieszkałem w „stolicy NRD” (władze Niemieckiej Republiki Demokratycznej zawsze domagały się, aby nazywać w ten sposób Berlin Wschodni). Często podróżowałem z Berlina Zachodniego do NRD i Polski. Często kontaktowałem się „z operacyjnie interesującymi osobami”. Zatem „istnieją podstawy, aby podejrzewać, że G. [skrót od Garton Ash, w innych miejscach „obiekt” lub „Romeo”] umyślnie wykorzystywał swe oficjalne funkcje doktoranta i/lub dziennikarza do wykonywania działalności wywiadowczej”.

Następnie porucznik Wendt dokonał przeglądu informacji, jakie wydział II/9 kontrwywiadu zebrał w tym celu

we wszystkich innych wydziałach Ministerstwa. Dalej w aktach umieszczono materiały w stanie surowym: raporty z obserwacji, wyciągi z akt dotyczących mojego przyjaciela Wenera Krätschella, protestanckiego duchownego, oraz ambasady brytyjskiej, kserokopie artykułów, które napisałem o Polsce dla zachodnioniemieckiego pisma „Der Spiegel”, kopie moich polskich notatek i dokumentów, wykonane podczas tajnego przeszukiwania mojego bagażu na lotnisku Schönefeld, skąd odlatywałem do Warszawy, a nawet kopie listów polecających, napisanych przez moich oksfordzkich nauczycieli dla British Council. Całość liczy 325 stron.

Raport Wendta opiera się w dużej mierze na informacjach dostarczonych przez informatorów Stasi, zwanych *Inoffizielle Mitarbeiter* – co dosłownie znaczy „nieoficjalni współpracownicy” – lub w skrócie IM. Byli oni podzieleni na kilka kategorii: ochrony, specjalna, operacyjna, konspiracyjna, a nawet byli tam informatorzy śledzący informatorów. Od 1989 roku skrót IM wszedł do języka niemieckiego. W każdym języku europejskim SS jest synonimem otwartego, brutalnego i bezwzględniego bestialstwa nazizmu. W języku niemieckim inicjały IM stały się synonimem rutynowych, biurokratycznych form infiltracji, zastraszania i kolaboracji, charakteryzujących niemiecką dyktaturę komunistyczną – cichszą odmianę dojrzałego totalitaryzmu. Na początku lat dziewięćdziesiątych zdarzało się często, iż prominentnych wschodnioniemieckich polityków, uczonych, dziennikarzy i duchownych identyfikowano w aktach Stasi jako IM i w rezultacie znikali oni z życia publicznego. IM jest piętnem hańby.

Jednakże najpierw musieli być zidentyfikowani. Tajna policja nadawała kryptonimy zarówno swym informatorom, jak i tym, którzy byli pod obserwacją. W rzeczywistości większość informatorów robiła to sama, a jednym z rytuałów inicjacyjnych regularnego IM było wybranie sobie tajnego kryptonimu. Po zjednoczeniu ujawniono, że Lutz

Bertram, znany niewidomy wschodnioniemiecki dyskdżokej, pracował dla Stasi jako IM pod kryptonimem „Romeo”. Gdybyśmy się w odpowiednim czasie spotkali, „Romeo” mógłby donosić na „Romea”.

Mój raport wstępny streszcza informacje zebrane przez IM „Smitha”, IM „Schulda” oraz szczególnie przez IM „Michaelę” i jej męża KP (Osobę Kontaktową) „Georga”, którego poprzednią żoną była Alice, znana jako „Czerwona Lizzy”. Porucznik Wendt zauważa, że „Czerwona Lizzy” była poprzednio żoną Kima Philby’ego – najsłynniejszego szpiega sowieckiego w Wielkiej Brytanii.

Wendt stwierdza, że „G. pracuje wytrwale, z akademicką dokładnością”, jednakże wykazuje „burżuazyjno-liberalne nastawienie i brak przywiązania do klasy robotniczej”. „Zewnętrznie G. sprawia wrażenie człowieka dość niedbałego i ogólnie wydaje się «typowym brytyjskim intelektualistą»” (ten osobliwy komplement zawdzięczam IM „Smithowi”). Niemniej jednak zabiegam o kontakty z osobami, które mogły być interesujące dla wywiadu i zdają sprzeczne relacje z tego, co robię. W czasie podróży do Polski prawie na pewno utrzymuję „stosunki z siłami antysocjalistycznymi”. Muszą więc znaleźć coś więcej, jeśli chcieliby mnie oskarżyć z artykułu 97 kodeksu karnego. Artykuł 97 mówi, że każdy, kto zbiera lub przekazuje „tajne informacje lub przedmioty” obcemu mocarstwu, lub tajnym służbom, lub innym, bliżej nie określonym „obcym organizacjom”, podlega karze więzienia „na okres nie mniejszy niż pięć lat”. „W szczególnie poważnych przypadkach może być zastosowana kara dożywotniego więzienia lub kara śmierci”.

Następujący potem „plan działania” składa się z czterech części. Po pierwsze, uruchamia się ludzi określonych jako IM, rozpoczynając od „Smitha”: „Biorąc pod uwagę subiektywne i obiektywne możliwości IM, należy stworzyć warunki do nawiązania ponownie kontaktu z Gartonem Ashem”. Pisemny plan działania ma być złożony do 15 kwie-

tnia 1981 roku. „Odpowiedzialny: porucznik Wendt”. Reaktywowani mają być także „Schuldt” i „Michaela”: pisemny plan porucznika Wendta do 1 maja. Co więcej, „IM z HVA I – opiekun G. na HUB [Uniwersytecie Humboldta w Berlinie]” ma zostać włączony do „działań operacyjnych”.

HVA to wschodnioniemiecki wywiad. Jego pełna nazwa brzmiała Hauptverwaltung Aufklärung. Na jego czele stał Markus „Misza” Wolf. W słynnej powieści Johna le Carré *Ze śmiertelnego zimna* (*The Spy Who Came In from the Cold*) instytucja ta nosi nazwę „Abteilung”. Jej pierwszy wydział – HVA I – odpowiedzialny był za wywiad w rządzie zachodnioniemieckim w Bonn.

Następnie plan zakłada „operacyjne obserwacje i śledztwo”. Wśród środków, jakie należy przedsięwziąć, znajduje się dalsza obserwacja państwa Kreislów, od których Uniwersytet Humboldta wynajął dla mnie ów pokój z widokiem w głąb. Trzecia część, „kroki dodatkowe”, zawiera polecenie „badań” przez wydział główny VI, odpowiedzialny za kontrolę ruchu przez granicę, oraz instrukcje dla wydziału M, by rozpoczęto „kontrolę korespondencji”. Mówi się wprawdzie o „adresie G. w Berlinie Zachodnim”, ale przypuszczalnie chodzi o listy wysyłane z mojego mieszkania w Berlinie Zachodnim, gdyż jedynie w szczególnych okolicznościach Stasi mogło otwierać korespondencję na Zachodzie. Następnie zlecono – znów porucznikowi Wendtowi – sporządzenie raportu, na podstawie którego można by było ocenić, czy należy przekształcić to dochodzenie OPK w Sprawę Operacyjną na pełną skalę, czyli OV. OV była najwyższą kategorią operacji, jaką objęto znanych przeciwników i krytyków reżimu. Na przykład mój przyjaciel Werner Krätschell pojawia się tutaj jako OV „Buk”.

Na końcu znajduje się „współpraca z innymi jednostkami wywiadowczymi”. Proponuje się koordynację działań z wydziałem XX/4 (zajmującym się infiltracją Kościołów) ze względu na moje kontakty z wielbnym Bukiem. Należy

zasięgnąć informacji „od radzieckich organów wywiadowczych na temat potencjalnego zainteresowania brytyjskiego wywiadu informacjami w sprawie Philby’ego”. „Konkretną koordynację działań” należy podjąć z AG 4, by zorientować się, czy byłoby możliwe „przyłączenie” do mnie informatorów na czas moich wizyt w Polsce. AG 4 była to grupa robocza powołana przez Stasi, by śledzić alarmujący przebieg rewolucji „Solidarności” w Polsce. Odpowiedzialny: major Risse.

Podpisane przez porucznika Wendta i parafowane przez podpułkownika Kaulfussa, dowodzącego wydziałem II/9, zajmującym się wywiadami całej Europy Zachodniej.

A więc taki to był wówczas ich „plan działania”. Mój plan działania obecnie jest taki, by prześledzić ich śledztwo. Będę usiłował iść tropem informatorów i funkcjonariuszy występujących w mojej sprawie, będę zaglądał do innych akt, porównywał zapisy Stasi z własnymi wspomnieniami, z dziennikiem i notatkami, jakie w tym czasie prowadziłem, oraz z historią polityczną, którą pisałem o tym okresie. Zobaczymy, co uda mi się znaleźć.

Noszący trudną do wymówienia nazwę „Urząd Federalnego Pełnomocnika do spraw Materiałów Państwowej Służby Bezpieczeństwa byłej Niemieckiej Republiki Demokratycznej” nazywany jest zwykle w skrócie „Urzędem Gaucka”, od nazwiska Joachima Gaucka, prężnego i elokwentnego wschodnioniemieckiego pastora, który stoi na jego czele. Moja teczka pochodzi z głównego archiwum Urzędu Gaucka w Berlinie, będącego *de facto* dawnym głównym archiwum Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego. Ministerstwo posiadało ogromny kompleks biurowców, zajmujący znaczną część budynków przy Normannenstrasse we wschodniej części Berlina Wschodniego. Biura i prywatny apartament ministra zachowano w takim stanie, w jakim je opuścił: biurko z wieloma telefonami (tajnym, bardzo tajnym i super tajnym), niewielka, schludna

sypialnia, tacka z glinianymi figurkami, które otrzymał od dzieci z Przedszkola imienia Richarda Sorge'a. Jest tam gliniany banan, krasnal, piesek z podpisem „Jeanine”, cytrynka od „Christiny”.

Większość pozostałych budynków służy teraz innym celom. Wszystkie okna na zewnątrz były dawniej zaplombowane, aby tajne dokumenty nie mogły być przesznułowane przez podwójnego agenta, czy po prostu wywiane przez przypadkowy podmuch. Teraz okna są otwierane. Tam gdzie kiedyś różni Kaulfussowie i Wendtowie wykonywali swe ponure zajęcia, obecnie są zwykłe biura, supermarket, sauna Ritters Sport i biuro pośrednictwa pracy. Archiwum jednak działa nadal.

W pomieszczeniu, gdzie znajduje się katalog, kobiety w średnim wieku w jaskraworóżowych swetrach i plastikowych sandałach drepczą pomiędzy olbrzymimi maszynami z kartami indeksowymi. Mówię „maszynami”, gdyż są to urządzenia zmechanizowane. Pudełka z kartami indeksowymi umieszczone są na osiach, jak samochodziki na karuzeli. Po przyciśnięciu klawisza z literą „K” karuzela kręci się ze zgrzytem, aż karty z literą „K” znajdą się na samej górze. Indeks F16 – skrót pochodzi od typu kart – zawiera prawdziwe nazwiska, są one jednak poszeregowane według własnego alfabetu fonetycznego Stasi, tak więc na przykład Mueller, Muller, Möller i Müller znajdują się obok siebie (pisownia nazwisk zdobytych z podsłuchów telefonicznych lub „pluskiew” nie jest pewna). Stamtąd różowe panie drepczą do indeksu F22 – ułożonego według numerów spraw – a czasami sprawdzają też księgi osobnych spraw prowadzonych przez funkcjonariuszy, po czym znajdują właściwe akta na regałach zajmujących pięć specjalnie wzmocnionych pięter budynku. Ze stukotem plastikowych sandałów archiwum wyrzuca z siebie dzienną porcję zatrutych magdalenek.

Przy końcu korytarza znajduje się „izba tradycji”. Medale, popiersia Lenina, dyplomy zasługi, flagi sławiące

dzieła czekistów: „Czekistą może zostać ten, kto ma chłodny umysł, gorące serce i czyste ręce (F. Dzierżyński)”. Na stole leżą przedmioty przypominające słoiki z dżemem. Każdy jest starannie podpisany i zawiera kawałek brudnozielonego pluszu. Są to próbki osobistych zapachów, pobrane, aby w razie potrzeby psy mogły złapać trop. Według słownika Stasi, są to „konserwy zapachowe”. Gdy tam stoję, ogarniają mnie dziwne myśli. Być może, gdzieś w tym olbrzymim budynku mój własny dawny zapach przechowywany jest wciąż jak dżem?

W pobliżu znajduje się tzw. „miedziany kocioł” – przestronny, obity blachą pokój, w którym Ministerstwo planowało umieścić potężny nowy system komputerowy, zawierający wszystko o wszystkich. Blacha miała stanowić izolację od zewnętrznych zakłóceń elektronicznych. Zamiast tego, miedziany kocioł zawiera obecnie setki worków wypchanych papierem: dokumentami podartymi w ciągu tygodni od początku masowych protestów w jesieni 1989, do szturmów na Ministerstwo z początkiem 1990 roku. Kierując się rozsądnym przypuszczeniem, że Stasi rozpoczęło niszczenie od najważniejszych i najbardziej drażliwych papierów, Urząd Gaucka usiłuje je obecnie zrekonstruować strzęp po strzępie.

Urząd Gaucka jest miejscem dziwnym: ministerstwo prawdy okupujące dawne ministerstwo strachu. W głównym zarządzie administracyjnym w Berlinie centralnym znajdują się długie, odbijające echem korytarze, z nowym zachodnioniemieckim oświetleniem i plastikowymi wykładzinami, ciągle jednak są tam nikłe pozostałości łatwego do rozpoznania, wschodniobermberskiego zapaszku. Ponurzy, brzuchaci portierzy przy drzwiach, skomplikowane przepustki dla odwiedzających, przepisy z niejasnymi punktami, formularze w trzech kopiach, rachunki – cały ten ciężki aparat niemieckiej biurokracji. A do tego jeszcze przyzwyczajenia rozrośniętego państwa dobrobytu. Podobnie jak w wielu niemieckich instytu-

cjach, co drugi pracownik wyszedł właśnie na obiad, jest na urlopie lub „u lekarza”. Tradycyjny sygnał rozpoznawczy niemieckich urzędników – *Mahlzeit!* (smacznego!) – rozbrzmiewa w korytarzach. „Czy mogłabym skorzystać z twojej niszcarki?” – sekretarka pyta koleżankę. Na moment staje przed oczyma kolejne ministerstwo, które skleja te pocięte dokumenty – i tak w nieskończoność.

Na razie jednak każdej stronie każdego dokumentu, jaki się dostaje do przejrzenia, archiwiści Urzędu zmieniają numerację, przybijając uważnie pieczęcie na starannej, ręcznie pisanej paginacji Stasi. Wygląda to jak parodia niemieckiej dokładności. Od jednej skrajności w drugą. Przypuszczalnie żadna dyktatura we współczesnej historii nie miała tak szeroko rozgałęzionej i fanatycznie dokładnej tajnej policji jak NRD. Żadna demokracja we współczesnej historii nie zrobiła tak wiele, by ujawnić spuściznę poprzedniej dyktatury, jak nowe Niemcy.

Specjalne prawo, przyjęte przez parlament zjednoczonych Niemiec w 1991 roku, szczegółowo określa sposoby korzystania z akt. Frau Schulz czytała moje akta przede mną – zgodnie z owym skrupulatnie, biurokratycznie przestrzegany prawem. Jest ona zobowiązana sporządzić kserokopie stron, na których pojawiają się nazwiska ludzi prześladowanych przez Stasi lub niewinnych osób trzecich, następnie zamazać te nazwiska na kopiach i sporządzić kolejne kopie, by uniemożliwić odcyfrowanie zamazanych nazwisk, na przykład przy użyciu silnego światła. Ma ona także za zadanie zamazać wszystkie fragmenty zawierające informacje osobiste o innych ludziach, które nie mają bezpośredniego związku z przedmiotem śledztwa. Cóż jednak jest nieistotne, jeśli chce się zrozumieć tajną policję, która zajmowała się właśnie zbieraniem i wykorzystywaniem najdrobniejszych szczegółów z prywatnego życia?

Czytanie akt może mieć straszliwe skutki. Mam na myśli słynną już sprawę Very Wollenberger, politycznej akty-

wistki z parafii Wenera Krätschella z Pankow, która ze swojej teczki dowiedziała się, że jej mąż Knud donosił na nią od dnia, w którym się poznali. W niedzielę szli z dziećmi na spacer, a w poniedziałek Knud opowiadał o tym funkcjonariuszowi Stasi. Myślała, że wyszła za mąż za Knuda, dowiedziała się jednak, że jej mężem był IM „Donald” (Vera pisze o nim w pamiętniku: „Knud-Donald” lub „Donald-Knud”; rozwiedli się). Natomiast pisarz Hans Joachim Schädlich dowiedział się, że donosił na niego jego starszy brat. Odkryli to we własnych teczkach. Gdyby nie zostały otwarte, jedni byłiby dalej braćmi, drudzy małżeństwem – miłość trwałaby nadal, jak twierdza zbudowana na kłamstwach.

Są także bardziej frywolne efekty uboczne. Odkąd prawo to weszło w życie, studenci Uniwersytetu Humboldta w Berlinie Wschodnim chwalą się przed dziewczynami: „Oczywiście, że złożyłem podanie o wgląd w moją teczkę. Boję się myśleć, co tam znajdę, ale po prostu muszę to wiedzieć”. Pojętna Sabine jest pod wrażeniem. A potem przychodzi ten straszliwy list z Urzędu: z tego, co do tej pory udało nam się ustalić, nie ma pan teczki. Upokorzenie. Sabine odchodzi z innym, który ma.

Gdy opowiadam ludziom o mojej teczce, czasem reagują w dziwny sposób, mówiąc na przykład „ale szczęściarz!” albo „co za zaszczyt!” Ci, którzy mieli cokolwiek do czynienia z Europą Wschodnią, mówią: „tak, muszę poprosić o wgląd w moje akta” lub „Gauck twierdzi, że moje prawdopodobnie są w Moskwie”. Nikt nie mówi „jestem pewien, że mnie teczki nie założyli”. Można by właściwie opisać ten syndrom przy pomocy Freuda: zazdrość o teczkę.

W rzeczywistości moje akta są bardzo skromne w porównaniu z wieloma innymi. Czym jest moja pojedyncza teczka wobec trzydziestu pisarza Jürgena Fuchsa? Czym jest moich 325 stron wobec 40 tysięcy o opozycyjnym śpiewaku Wolfie Biermannie? Niemniej jednak małe kluczyki mogą czasem otworzyć duże drzwi, przez które wiedzie

droga do znacznie większych pokoi. Gdziekolwiek była kiedyś tajna policja, nie tylko w Niemczech, ludzie często podnoszą argument, że jej akta są całkowicie niewiarygodne, pełne zniekształceń i zafałszowań. Czy istnieje jednak lepszy sposób weryfikacji niż sprawdzenie własnej teczki? Sam przecież wiem najlepiej, jak było naprawdę. A jakie cele przyświecały funkcjonariuszom i informatorom? Czy teczki oraz ludzie za nimi się kryjący mogą powiedzieć nam coś więcej o komunizmie, zimnej wojnie i sensie bądź nonsensie wywiadu? Systematyczne udostępnianie tajnych policyjnych akt każdemu chętnemu obywatelowi, który w nich figuruje, jest rzeczą bezprecedensową. Nigdy i nigdzie nic takiego się nie zdarzyło. Czy otwarcie teczek jest słuszne? Co dało tym, którzy byli w to zamieszani? Być może możemy z tego doświadczenia dowiedzieć się czegoś nowego o historii, o pamięci, o nas samych, o ludzkiej naturze. Mogłoby się wydawać, że zajmuję się w tej książce sobą samym, w rzeczywistości jednak mój cel jest inny. Jestem tu jedynie oknem, przypadkiem, środkiem służącym do osiągnięcia celu, przedmiotem w eksperymencie.

Aby odpowiedzieć na te pytania, muszę zbadać nie tylko teczkę, ale i życie. Życie człowieka, którym wówczas byłem. Jeżeli budzi to wątpliwości, wyjaśniam, że nie jest to to samo, co „moje życie”. To, co zazwyczaj nazywamy „moim życiem”, nie jest niczym innym, jak tylko wciąż na nowo pisaną wersją własnej przeszłości. „Moje życie” jest autobiografią istniejącą w naszych umysłach, z którą i dzięki której wszyscy żyjemy. To, co zdarzyło się naprawdę – to całkiem inna sprawa.

W poszukiwaniu straconego siebie szukam także straconego czasu. I odpowiedzi na pytanie: jak jedno kształtowało drugie? Czas historyczny i czas osobisty, to, co publiczne, i to, co prywatne, wielkie wydarzenia i nasze życie. Historyk Keith Thomas, pisząc o olbrzymich obszarach ludzkiego doświadczenia ignorowanych przez konwencjonalną historię polityczną, cytuje Samuela Johnsona:

Pośród tego, czego serce doświadcza, jak mało jest rzeczy,
Które mogą prawa i władcy sprawić bądź zniweczyć.

Wszelako patrząc wstecz, widzę, jak wiele z tego, czego doświadczyło przynajmniej moje serce, zostało spowodowane, wzniecone lub zniweczone przez współczesne „prawa i władców”: przez odmienne ustroje Wschodu i Zachodu oraz konflikt, w jakim się znajdowały. Być może jednak Johnson nie wyraził prawdy uniwersalnej, lecz tylko cząstkową. Szczęśliwy to kraj, w którym jego słowa bywały prawdziwe.

II

Wyruszyłem do Berlina w dzień moich 23. urodzin, 12 lipca 1978 roku, swoim nowym granatowym Alfa-Romeo autostradą do przystani promowej w Harwich. Z Hoek van Holland pomknąłem autostradą do przejścia granicznego w Helmstedt, leżącego tuż przy „żelaznej kurtynie” między zachodnimi a wschodnimi Niemcami, a potem starałem się nie łamać ograniczenia prędkości na wyznaczonej drodze tranzytowej biegnącej przez NRD do Berlina Zachodniego. Po półtorarocznym pobycie w Berlinie Zachodnim przekroczyłem przejście graniczne Checkpoint Charlie 7 stycznia 1980 roku i zamieszkałem we wspomnianym pokoju w Berlinie Wschodnim. Moim pierwotnym celem było napisanie doktoratu o Berlinie w czasach Hitlera dla uniwersytetu w Oksfordzie.

W okresie tym – od lipca 1978 do stycznia 1980 – którego polityczną chronologię przygotowywałem ostatnio do mojej książki o historii Niemiec i podzielonego kontynentu, miały miejsce ważne wydarzenia polityczne. Od „szczytu najbogatszych państw świata (G7) w Bonn” po „wprowadzenie przez prezydenta Cartera sankcji wobec ZSRR, co powoduje przerwanie ratyfikacji układu SALT II i grozi bojkotem Igrzysk Olimpijskich w Moskwie”. Gdzieś pomiędzy jest wybór Karola Wojtyły na papieża i pierwsza wizyta papieska w Polsce, także pierwsze bezpośrednie wybory do Parlamentu Europejskiego i „dwutorowa” decyzja NATO dotycząca wprowadzenia nowych pocisków nuklearnych w Europie, jeśli Związek Sowiecki odmówi negocjowania redukcji własnych pocisków, a ponadto sowiecka in-

wazja na Afganistan w grudniu 1979 roku. Z perspektywy czasu wygląda to jak przygotowania do ostatniej wielkiej konfrontacji w czasie zimnej wojny: Reagan kontra Breżniew, amerykańskie pociski typu „Cruise” przeciw sowieckim SS 20, na Wschodzie pokojowa rewolucja w Polsce, na Zachodzie – ruch pokojowy.

Mój dziennik zawiera całkiem inną chronologię. Zamiast szczytu siódemki, jest tam notatka o długiej rozmowie, jaką prowadziłem z poetą Jamesem Fentonem o niemieckiej literaturze, Macaulayu oraz (mało prawdopodobnej) możliwości, by dziennikarstwo stało się formą literacką. Zamiast przełomowego szczytu w Gwadelupie, który doprowadził do dwutorowej decyzji NATO, notuję lunch z Jayem Reddewayem, przyjacielem z czasów studenckich, w Café Moskau w Berlinie Wschodnim, potem wieczór w Berlinie Zachodnim, drinki w „Bilitis”, które przeszły w kolację u „Foofiego” i w końcu kolejne drinki w „Ax Bax”. Wprawdzie pojawia się w moim dzienniku wizyta papieża w Polsce, lecz pierwsze bezpośrednio wybory do Parlamentu Europejskiego zastają mnie przy śniadaniu w Café Einstein, potem idę do galerii sztuki i nie udaje mi się skończyć artykułu dla „Spectatora”.

Gdy polityczna chronologia zawiera drętwą notkę „Gromyko w Bonn”, jestem we Frankonii, wypijam zbyt dużo piwa i oglądam miejsce norymberskiego parteitagu Hitlera. Sowiecka inwazja na Afganistan zastaje mnie w nocnym pociągu, gdy jadę odwiedzić Alberta Speera w jego bajkowym domku w Heidelbergu. Gdy Jimmy Carter grozi sankcjami Związkowi Sowieckiemu, ja jestem zajęty przygotowaniem przyjęcia. Tyle o życiu „w gorączce zimnej wojny” – by użyć metafory mego przyjaciela Marka Wooda, korespondenta Reutera w Berlinie Wschodnim.

Przez te półtora roku doniesienia Stasi są fragmentaryczne. Jest tam ów raport z wieczoru, który spędziłem w Berlinie Wschodnim z „Beretem”. W skróconym rapor-

cie z wydziału XX/4 (Kościoły) „Beret” została właściwie rozszyfrowana, podobnie jak dwa inne kontakty w Berlinie Zachodnim, Ingrid (nazwisko zamazane przez Frau Schulz) i Heinrich (nazwisko także zamazane), oraz mój numer telefonu w Berlinie Zachodnim. Odnotowano także, iż urodziłem się w miejscowości Winbredow (chodzi o Wimbledon), moim college'em w Oksfordzie jest „St. Ansowts” (St. Antony's) i podano datę mojej podróży do Polski, przesuniętą w czasie o trzy miesiące. Zwrócono uwagę, że zajmuję się wraz z obywatelem angielskim Morrisem (nazwisko zamazane) konfliktem między Kościołami a państwem w nazistowskich Niemczech. Ponadto „ustalono, że G. posiada szeroką wiedzę na temat kulturalnych zabytków i miejsc, kulturalnych [sic!] osobowości NRD, a szczególnie na temat problematyki związanej z Bauhausem. W czerwcu 1979 r. G. po raz pierwszy związał się jako tzw. niezależny współpracownik z angielskim tygodnikiem «Spekta», który zamówił u niego artykuł o walce antyfaszystowskiego ruchu oporu”. Człowiek ze „Spekty”.

Informacje te pochodzą głównie z prowadzonego przez wydział XX/4 śledztwa dotyczącego pastora Buka oraz z czterostronicowego raportu porucznika Küntzla z biura w Erfurcie, napisanego po spotkaniu z Osobą Kontaktową „Georgiem” i IMV „Michaelą”. Litera V po IM oznacza, że „Michaela” należała do najwyższej klasy informatorów Stasi, pracujących w bezpośrednim kontakcie z wrogiem. Porucznik Küntzel donosi, że 30 czerwca 1979 roku doktora Georga (nazwisko zamazane), mieszkającego w Schloss (nazwa zamazana) w Weimarze, odwiedził nieznany człowiek, mówiący z brytyjskim lub amerykańskim akcentem, który przedstawił się jako Tim Gartow-Ash, niezależny współpracownik angielskiego tygodnika „Spacktor”.

Zamazywanie jest często, jak widać, nieskuteczne, gdyż w zamku w Weimarze nie może mieszkać wielu doktorów Georgów. Z drugiej strony jednak, prawo dotyczące akt

Stasi zapewnia anonimowość jedynie niewinnym osobom trzecim lub ofiarom, a nie kolaborantom. Zajrzawszy do dziennika, ustalam tożsamość doktora Georga, jak również to, że Stasi znów pomyliło się w dacie.

Doktor Georg był jednym z tych starszych komunistów żydowskiego pochodzenia, którzy należeli do najciekawszych rozmówców w NRD, a w rzeczywistości w całej rządzonej przez komunistów Europie. Gdy go odwiedziłem, wiedziałem prawdopodobnie, że był redaktorem wschodniobermberskiego dziennika i prowadził oficjalnie tolerowany kabaret satyryczny, wiedziałem też pewnie, że spędził okres nazistowski w Anglii, gdzie pracował dla Reutera. Ale dopiero później dowiedziałem się, że w Anglii poznał, a następnie ożenił się z Alice „Litzy” Kohlman, energiczną, ciepłą Austriaczko-Węgierko-Żydówką, była żoną Kima Philby'ego, która – według pewnych świadectw – pomogła nakłonić Philby'ego do pracy na rzecz sowieckiego wywiadu. Natomiast dopiero z raportu Stasi dowiaduję się, że sam doktor Georg również pracował dla wywiadu sowieckiego wtedy, gdy był zatrudniony u Reutera.

Nie jest więc rzeczą dziwną, że sprawa, z jaką do niego przyszedłem, wydała mu się podejrzana. Według porucznika Küntzla, doktor Georg szybko ustalił, że nie znam osoby – Sanda (nazwisko zamazane) – która, jak twierdziłem, zasugerowała, że powinienem go odwiedzić. Gdy spytałem, w jaki sposób nauczył się tak dobrze po angielsku, odparł, że spędził w Anglii wiele lat, pracując dla Reutera: „Wtedy G. udał, że go to interesuje, i zapytał, czy niejaki [nazwisko zamazane] był w tym czasie dyrektorem Reutera. Usłyszawszy odpowiedź twierdzącą, G. wykrzyknął z radością: «Co za zbieg okoliczności! Syn Chancellora jest teraz moim przełożonym [Vorgesetzter]». Cały ten wybuch radości był dobrze sfingowany, jednak [doktor Georg] wyczuł, że G. wie o jego pracy dla «Reutera». Wzbudziło to jego podejrzenia i umocniło w przekonaniu, że próba nawiązania z nim kontaktu miała inny charakter,

niż utrzymywał G., przybrał więc on wobec G. ton powściągliwy, pozostając jednak uprzejmym”.

Fragment ten pokazuje w miniaturze, w jaki sposób zniekształcenia wkradały się do akt Stasi. Na przykład na pewno nigdy nie mówiłbym o sympatycznym Alexandre Chancelorze, wówczas redaktorze „Spectatora”, że to mój „przełożony”, stosując słowo mające wyraźny związek z hierarchią władzy. To słowo należy do doktora Georga lub – co bardziej prawdopodobne – porucznika Küntzla, który żył w świecie, gdzie każdy miał jakiegoś przełożonego. Tutaj jednak pojawia się w bezpośrednim cytacie. Przypuśćmy teraz przez chwilę, że zawartość tego fragmentu jest bardziej ważką i bardziej kompromitującą, przypuśćmy, że interpretacja całego tego fragmentu została oparta – jak to czasem bywa – na tym jednym słowie; przypuśćmy, że zostałem potem prominentnym wschodnioniemieckim politykiem, i załóżmy, że pewnego dnia okazało się, iż fragment ten pojawił się jako oskarżenie na pierwszej stronie zachodnioniemieckiej gazety: cytat – koniec cytatu. Opinia publiczna domaga się dymisji. Kto by mi wówczas uwierzył, gdybym zaprotestował: „Nie, nic takiego nie mówiłem! To znaczy – nie z u p e ł n i e tak. A poza tym, pomyłono datę. I tytuł «Spectatora». I pisownię mojego nazwiska...”

Jednakże mimo niewielkich zniekształceń i niedokładności relacja ta w zasadzie brzmi prawdziwie. Zarówno jeśli wiedziałem, jak i jeśli nie wiedziałem przedtem o powiązaniach doktora Georga z Reuterem – którego dyrektorem był wówczas ojciec Alexandra Chancelora, Christopher – bez trudu mogę sobie wyobrazić, jak przesadnie wyrażam radość z powodu owego zesłanego z niebios zbiegu okoliczności, mając nadzieję na podtrzymanie tej raczej marnej rozmowy i na większą otwartość doktora Georga.

„W tym momencie żona (IMV «Michaela») [doktora Georga], będąca do tej pory w kuchni, weszła do salonu –

donosi dalej raport – została przedstawiona przez męża słowami: «Moja żona, dyrektorka Weimarskich Galerii Sztuki». IMV myślała, że był to gość męża [...], tym bardziej zaskoczyło ją więc, że G. natychmiast sprowadził rozmowę na temat wystawy dotyczącej Bauhausu, zorganizowanej wówczas przez Galerie Sztuki. Wyjaśnił, że widział tę wystawę i był nią zafascynowany. Jednak nie rozumie, czemu Galerie Sztuki nie wydały katalogu. Sposób, w jaki postawiono pytanie, sugerował, iż chciałby on usłyszeć od IMV, że było to niemożliwe ze względu na politykę kulturalną, IMV tego nie powiedziała, wyjaśniła natomiast, że nie wydrukowano katalogu ze względu na ograniczenia papieru [...]”.

„[Doktor Georg] – zirytowany nieuprzejmością G., który nie wrócił już do poprzedniego tematu, czym sprawił, że [doktor Georg] mógł być teraz jedynie milczącym słuchaczem rozmowy – pożegnał się z G. pod pretekstem, że musi załatwić coś na mieście. Do tego czasu rozmowa trwała około 40 minut. G. wyjaśnił wówczas IMV, że pracuje nad artykułem o rozwoju życia artystycznego i kulturalnego w NRD, interesują go więc uwagi IMV. Zadał następujące pytania:

– dlaczego dopiero teraz zorganizowano wystawę Bauhausu w NRD (w Weimarze)?

– jaki jest stosunek NRD do Bauhausu?

– jaki odbiór miała wystawa w skali kraju?

– jaki odbiór miała wystawa w skali międzynarodowej?

W czasie rozmowy okazało się, że G. posiada dobrą znajomość sceny artystycznej, szczególnie w dziedzinie Bauhausu”.

Pod koniec wizyty najwidoczniej napisałem swoje nazwisko na świstku papieru – „z niewiadomych powodów nie chciał podać pełnego adresu” – i wyraziłem chęć przeprowadzenia dalszych rozmów. „Rozmowa z IMV trwała 20 minut, tak więc G. spędził w mieszkaniu w sumie około godziny”.

Porucznik Küntzel twierdzi, że wszystko to ma „znaczenie operacyjne” z kilku powodów. Zauważa on, że doktor Georg mógł być interesujący dla „wrogich agencji” ze względu na poprzednie związki z Kimem Philbym, a także dlatego, że nie podoba mu się obecna polityka kulturalna NRD i może sympatyzować z „dysydentami” (cudzysłów pochodzi od Küntzla). Owe wrogie agencje, jak spekuluje porucznik, mogą być zainteresowane „wykreowaniem dysydenta” (znów jego cudzysłów). Doktor Georg jest więc zarazem źródłem i podejrzanym.

Tymczasem ja sam staję się wysoce podejrzanym, ponieważ, według analizy porucznika, użyłem nie jednej, lecz trzech „legend”, by określić, o co mi naprawdę chodzi: znajomy znajomego, dziennikarz, badacz życia kulturalnego NRD. „Legenda” to określenie Stasi na przyjętą wersję oficjalną, czyli przykrywkę. Zwykle stosuje się je do wersji wymyślanych dla pełnoetatowych agentów i niepełnoetatowych informatorów, tu jednak zostało przypisane również mnie.

Wśród środków, jakie należy podjąć, jest poinformowanie „Michaeli” i „Georga”, co mają zrobić, gdybym skontaktował się z nimi ponownie, oraz powiadomienie wydziału kontrwywiadu II/13, odpowiedzialnego za obserwację zachodnich dziennikarzy.

Niektóre szczegóły są błędne. Interpretacja jest paranoidalna. Jednak ogólnie rzecz biorąc, Stasi dorasta do swojej opinii instytucji wszechwładnej i wszechobecnej. Na podstawie relacji z jednej nieostrożnej rozmowy i kilku mniej lub bardziej niewinnych kontaktów zostałem umieszczony w centralnych aktach jako podejrzanym. Gdy przygotowałem się do przekroczenia granicy Berlina Wschodniego, po osiemnastu miesiącach pobytu w Zachodnim, zebrano w skróconym raporcie informacje o moich kontaktach, adres i numer telefonu w Berlinie Zachodnim, dane dotyczące samochodu, wyglądu, wzrostu (poprawiony na

1,80 m – „Michaela” oszacowała mnie przedtem na pomiędzy 1,65 a 1,70 m), a nawet to, że chyba nie palę.

Uderzające jest także to, czego nie dostrzegli. Brak na przykład informacji o audycjach, jakie zrobiłem dla BBC w Berlinie, oraz artykułach, które napisałem wcześniej dla „Spectatora” o NRD, w tym o hołdzie złożonym najważniejszemu wschodnioniemieckiemu opozycjoniście, Robertowi Havemannowi. „Edward Marston”, pseudonim, pod którym pisałem, stanowił więc skuteczną maskę. Nie ma też żadnego zapisu o świętach Bożego Narodzenia, które spędziłem z przyjaciółmi pod Dreznem, oraz o wielu innych wizytach za żelazną kurtyną.

Nic dziwnego, że nie mają tu wielu informacji o moim życiu w Berlinie Zachodnim. Jednak owe częściowo zamazane nazwiska, adresy i numery telefonów otwierają drzwi mojej pamięci i odsyłają mnie do własnego dziennika.

Świeżo po przyjeździe z Anglii do Berlina pojechałem do mieszkania starszej pani, Ursuli von Krosigk, której zostałem przedstawiony przez Grahama Greene'a, wydawcę i bratanka pisarza. Ojciec Grahama, Hugh Greene, znał ją z czasów, gdy pracował jako korespondent „Daily Telegraph” w Berlinie w latach trzydziestych, zanim został wydalony przez nazistów. Ursula była siwą, trzymającą się prosto starą panną, pruską arystokratką w każdym calu, przy czym osobą życzliwą, spontaniczną i niekonwencjonalną. Jej charakterystyczne, wyzywające potrząsanie głową nadal przypominało nieposłuszną dziewczynkę chodzącą na wagary w Poczdamie pięćdziesiąt lat temu. Większość życia mieszkała w Berlinie. Opowiadała mi o obrazach z przeszłości, na przykład: jak elegancko ubrany tłum, wychodząc z jasno oświetlonego teatru po premierze *Opery za trzy grosze* Brechta, mijał w mroku wzdłuż Schiffbauerdamm rząd prawdziwych żebraków – bezrobotnych, kalekich, inwalidów wojennych. Wielu jej przyjaciół związanych było z opozycją wobec Hitlera, natomiast jej stryj, Lutz Schwerin von Krosigk, był ministrem finansów Führera. Pamiętała, jak pewnego ranka po Kristallnacht jechała z nim do jego wiejskiej posiadłości ulicami pokrytymi szkłem i gruzem ze splądrowanych sklepów żydowskich: „Nikt nie powiedział ani słowa”.

Ursula mieszkała na czwartym piętrze dziewiętnastowiecznej kamienicy w cichym zaułku Pariserstrasse za możnej dzielnicy Wilmersdorf. Z jej okien widać było za drzewami ceglany kościół z epoki wilhelmińskiej. Do mieszkania prowadziły imponujące marmurowe schody, a na

parterze były olbrzymie podwójne drzwi, z kutego metalu i szkła. Aby dostać się do środka lub wydostać na zewnątrz w nocy, gdy portier zamknął już drzwi, każdy mieszkaniec miał pomysłowy żelazny klucz, który wkładało się w dziurkę z jednej strony, a wyjmowało z drugiej. Pamiętam uczucie podniecenia owego pierwszego ciepłego letniego wieczora, gdy zamknęły się za mną ciężkie drzwi i wyruszyłem na zwiedzanie legendarnego miasta.

Samo mieszkanie pełne było niegdyś pięknych mebli i tonęło w książkach. Spałem na podłodze w salonie, obok zakurzonej starej sofy, podpartej przedwojennym bedekerem po Dreźnie; zasypiając pomyślałem sobie, że przedwojenny bedeker nadaje się teraz jedynie do podpierania sofy. Spałem na podłodze, ponieważ Ursula miała lokatora w pokoju gościnnym. Był nim James Fenton, który przyjechał do Berlina jako specjalny korespondent „Guardiana”; poprzednio pisał o literaturze, Indochinach i polityce angielskiej dla „New Statesmana”.

Wkrótce zaczęliśmy spędzać razem sporo czasu. W swoim dzienniku odnotowałem długie wieczory przy zimnym piwie i sznapsach w pobliskim modnym bistrze, nazwanym dziwnie Bistrotet; lub w narożnym barze po drugiej stronie placu, brzydkim Kuchel-Eck, z ozdobnymi serwetkami, aparatami do gier i głośnikami grającymi wciąż *By the Rivers of Babylon*; albo w Presse-Bar, który lubiliśmy, ponieważ nikt z prasy do niego nawet się nie zbliżał; albo w Zwiebelfisch i Ax Bax, ulubionych miejscach weteranów 1968 roku – obecnie zapuszczających brzuszki; lub też w mieszczańskiej Café Mohring; albo w Dicke Wirtin („Grubej Gospodyni”), gdzie kiedyś nad ranem zdesperowany Algierczyk przy sąsiednim stoliku spalił swoją kartę stałego pobytu, a pijany facet w czarnej skórzanej kurtce wyciągnął pistolet i do niego wymierzył.

– Uwaga, on ma broń! – zawołał James.

– To niemożliwe – odrzekła towarzysząca nam młoda Niemka, która pracowała dla Brytyjskiego Zarządu Woj-

skowego w okupowanym nadal mieście. – Posiadanie prywatnej broni jest przecież zakazane w Berlinie. – Pistolet był jednak prawdziwy.

James był człowiekiem o przykuwających uwagę rysach twarzy i niedbałym stroju. Ugiął się pod ciężarem dużej, łysiej głowy – wyglądał jak mnich-heretyk. Po przyjeździe do Berlina słabo znał niemiecki i miejscowe realia. Lokalni korespondenci sądzili z początku, że jest szpiegiem, ponieważ – jak dziwnie rozumowali – żaden dziennikarz wysłany zagranicę nie mógłby wiedzieć tak mało. Nie trwało to jednak długo, miał bowiem bystre oko i nietuzinkowy umysł oraz dociekliwość dziennikarza tropiącego temat – szczególnie, gdy dotyczył on demaskowania uzurpatorów, hipokrytów i możliwych tego świata.

Z różnych powodów, których wielu nawet się pewnie nie domyślałem, nie był to dla niego szczęśliwy okres, dla mnie jednak był wspaniałym kompanem. Miał poetycką błyskotliwość słowa i fantazję, która w sposób nieoczekiwany i czasem szalony odbiegała od wspólnego gruntu doświadczeń, wystarczająco już interesujących. Nauczyłem się od niego wiele o pisarskim rzemiośle i zostaliśmy bliskimi przyjaciółmi.

Jesienią Ursula opuściła mieszkanie i przeniosła się do Monachium. My zamieszkaliśmy kilka kamienic dalej przy Pariserstrasse, w zabawnie tandetnym pensjonacie Pariser-Eck: pomarańczowe lampy, dziwne odgłosy za cienkimi ścianami – jak u Grahama Greene’a. Gdy jesień zmieniła się w mroźną berlińską zimę, i wydawało się, że wschodni wiatr wieje wzdłuż Kurfürsendammm wprost z Syberii, przenieśliśmy się – fatalnie wybrawszy moment – do niewielkiego mieszkania ogrzewanego staromodnym kafłowym piecem. Do pieca należało wciąż dorzucać koksowych brykietów, przynoszonych z piwnicy. Wkrótce porzuciłem niewygody Zachodu dla luksusów Wschodu i spędziłem tradycyjną niemiecką wigilię u nowo poznanych przyjaciół, Krügerów, zamożnej rodziny żyjącej na niezwyklej „wewnętrznej

trzonej emigracji” za wysokimi murami ogrodu w findesieckowej willi w Radebeul koło Drezna. Po drodze mój samochód, nie przyzwyczajony do północnych śniegów, nie chciał zapalić przy wschodniemieckim przejściu granicznym Checkpoint Charlie. Enerdowscy strażnicy jowialnie pomogli mi, popychając auto na Wschód.

Gdy odwiedzali nas goście z Anglii, zabieraliśmy ich razem z Jamesem do Paris Bar przy Kantstrasse, do Exil, restauracji w Kreuzbergu prowadzonej przez wiedeńskich „emigrantów”, do hałaśliwego nocnego klubu transwestytów Romy Haag’s i do kilku innych jeszcze barów. Berlin musiał przecież dorównać mitowi Isherwooda. Rolę Sally Bowles przypisałem nowej przyjaciółce, Irene Dische, atrakcyjnej Amerykance niemiecko-żydowskiego pochodzenia, która przyjechała do Berlina, by zostać pisarką. Rozmawiając teraz z Irene, spostrzegam, że ona z kolei miała nas za Audena i Isherwooda – a może Spendera?

Tak naprawdę nasze zachodniobierlińskie doświadczenia mniej kształtował Isherwood niż ludzie pokolenia ’68, którego centrum, obok Paryża, Amsterdamu, Frankfurtu i Berkeley, stanowił Berlin. Dziesięć lat później nie było już oczywiście owego specjalnego sklepu przy Uhlandstrasse, w którym można było kupić wszystkie rzeczy potrzebne na demonstrację, czerwoną flagę, transparent, maskę przeciwgazową, odpowiednie buty. Mury Freie Universität wciąż pokrywało polityczne graffiti, a co najmniej połowa naszych przyjaciół należała – jak Claudia – do pokolenia ’68. Można ich było łatwo rozpoznać: dzinsy, rozpięta koszula, nieodłączny papieros lub skręt w ustach, natychmiastowe *Du* zamiast zwyczajowego i oficjalnego *Sie*, specyficzne słownictwo pełne socjologiczno-psychologicznych neologizmów na temat związków międzyludzkich, „strukturalnej przemocy” itp. W mieszkaniach podłogi były gołe, ściany pomalowane na biało, a na sosnowych półkach stały komplety pisma „Kursbuch” oraz kultowe książki Enzensbergera, Blocha, Adorno i Marcuse’a.

Jednakże ci, którzy maszerowali wspólnie w '68, teraz zmierzali w różnych kierunkach. Kilku zostało terrorystami we Frakcji Czerwonej Armii (znanej jako grupa Baader-Meinhof) lub w innych ugrupowaniach, podkładając bomby i mordując znanych biznesmenów lub wyższych urzędników państwowych. Zachodnioniemieckie władze reagowały na to żelazną ręką, pozbawiając nawet jedynie podejrzanych „wrogów konstytucji” prawa do pracy w instytucjach państwowych, co w Niemczech obejmowało niezwykłą liczbę posad, od najwyższych cywilnych urzędników państwowych po listonoszy i sprzątających ulice. Krytycy ochrzczili to mianem „*Berufsverbot*”. Wkrótce po moim przyjeździe pojawił się na ekranach film *Niemcy w jesieni*, pełen konnej policji i złowrogich, ciemno ubranych postaci z establishmentu. Czy znów Niemcy schodzą na złą drogę?

Niektórzy nasi przyjaciele wspominali, jak pod koniec lat sześćdziesiątych lub na początku siedemdziesiątych były takie chwile, kiedy i oni mogliby zostać terrorystami. Zostali jednak – mimo *Berufsverbot* – nauczycielami, działaczami społecznymi lub uczonymi. Albo też zajęli się poezją, malarstwem, literaturą, dziennikarstwem lub różnymi „izmami”, jak feminizm czy strukturalizm. Claudia była nauczycielką, Paul wiecznym studentem i dorywczo handlował sztuką, Peter artystą, Yvonne psychologiem i tłumaczką, Elmar politologiem. Friedrich był niezależnym dziennikarzem, zawzięcie dociekającym, dlaczego sądy niemieckie nie zdołały osądzić zbrodni nazistowskich – a w szczególności przestępstw niemieckich prawników i sędziów. Widać tu charakterystyczny cel pokolenia '68: odsłanianie grzechów ojców.

Z początkiem 1979 roku przeprowadziłem się do tak zwanego *Wohngemeinschaft*, jak pokolenie '68 nazywało wspólne mieszkania, przy Traunsteinerstrasse w Schönbergu. Moimi współmieszkańcami, towarzyszami w tej komunie, byli miły, umiarkowanie lewicujący amerykański naukowiec o imieniu Hugh oraz niejaki Bernd. Ojciec Berndą praco-

wał dla nazistów, projektując samoloty, później dostał się do niewoli amerykańskiej i zaczął pracować dla Amerykanów. U progu wydarzeń 1968 roku Bernd nie tylko został lewicowcem, lecz nawet wstąpił do Socjalistycznej Partii Jedności Berlina Zachodniego, będącej na usługach energetycznej partii komunistycznej. Chciał on, jak powiedział mi teraz, wstąpić do czegoś „poważnego”, przez co miał na myśli: związanego z prawdziwą władzą. W tym czasie ciągle jeszcze wydawało się, że potęga sowiecka rośnie, natomiast amerykańska, po Wietnamie, słabnie. Dzięki swej legitymacji partyjnej Bernd dostał pracę w firmie zajmującej się handlem między Wschodem a Zachodem, podległej bezpośrednio – czego wówczas nie wiedziałem – wschodnioniemieckiemu przedsiębiorstwu blisko związanemu ze Stasi.

Bernd był dobrze zbudowanym, wybuchowym człowiekiem o zmarszczonym czole. Nie można powiedzieć, że kontakt z nim był łatwy. Kiedy wpadał w złość i rzucał obelgi, odwoływał się do nazizmu i marksizmu. Zanotowałem w dzienniku, że gdy pewnego ranka przekroczyłem wyznaczony mi czas w łazience, naruszając tym precyzyjny dzienny rozkład zajęć Berndą, zaczął walić pięściami w drzwi, krzycząc „klasa rządząca!” Gdy Heiner, główny lokator, zagroził wniesieniem na niego skargi, gdyż sprowadził do mieszkania swoje dzieci, Bernd odparował: „Ty nazistowska świnię. Jesteś jak strażnik w obozie koncentracyjnym, który w ciągu dnia morduje ludzi, a wieczorem gra na pianinie i pije wino...”

Prawdę mówiąc, swoje miejsce w komunie zawdzięczałem owej gigantycznej kłótni między nimi dwoma, która doprowadziła do tego, że Heiner się wyniósł. Zanim zostawił mi swoje dwa piękne, jasne, wysokie pokoje, udekorowane pustymi ramami na białych ścianach, przeprowadził ze mną rozmowę. Przy świecy, w kłębach papierosowego dymu, zostałem wciągnięty w dwuipółgodzinną psychoanalityczną sesję, która polegała głównie na tym, że Heiner

mówił o sobie. Zanotowałem jeden charakterystyczny fragment opisujący, jak postrzegał siebie jako czternastolatka: „w tym czasie doszedłem do przekonania, że jestem jednostką silnie ego-pozytywną, heteroseksualną, prawdopodobnie jednak z przejawami analnymi”. A wszystko to tylko po to, by przekazać mi klucze.

Gdy już się wyniósł, zacząłem myśleć o kontraście między nim a Jayem, przyjacielem z Oksfordu, który mnie wówczas odwiedził: „między powściągliwym, nie mówiącym wprost, ironicznym, snobistycznym, pełnym zahamowań, emocjonalnie zagmatwanym Anglikiem a otwartym, bezpośrednim, szczerym, lewicowym, używającym bez przerwy żargonu, wyzwolonym, emocjonalnie zagmatwanym Niemcem”. Kilka dni później zadzwonił telefon. Ja odebrałem.

– Halo, czy jest Heiner? – zapytał anonimowy głos w słuchawce.

– Nie.

– A czy jesteś gejem? – użył niemieckiego słowa *schwul*.

– Nie – odpowiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Kilka sekund później telefon zadzwonił ponownie.

– Halo, – powiedział ten sam głos – czy jesteś Anglikiem?

– Tak.

– No więc miałem na myśli, czy sypiasz z mężczyznami?

– Nie!

Bernd mówi mi teraz, że Heiner kilka lat wcześniej zdecydował, że jest homoseksualistą, i w tym czasie systematycznie badał tę kwestię. Nie sądzę jednak, aby się mną szczególnie interesował. Mógł sądzić po prostu, że pomaga mi poczuć się jak u siebie w domu.

Teraz dowiaduję się od Bernda, że Heiner niedawno zmarł na AIDS.

Miałem mieszane uczucia w stosunku do pokolenia '68. Interesowali mnie, bo byli inni. Mogłem rozumieć i sympatyzować z ich niektórymi politycznymi przedsięwzięciami, na przykład z kampanią Friedricha o ujawnienie tego, że nie zdołano oddać sprawiedliwości ofiarom nazizmu. Jednak często wydawali mi się rozhisteryzowani, ogarnięci obsesją samych siebie i wobec siebie zbyt pobłażliwi. Męczyło mnie ich biadolenie o problemach, które wydawały mi się albo sztucznie stworzone, albo drugorzędne w porównaniu z problemami Wschodu. Heiner dowodził, że wizyta prezydenta Cartera w Berlinie Zachodnim była tym samym, co wizyta Breżniewa u jakiegoś wschodnioeuropejskiego satrapy, a jednocześnie wyglądało, że jest całkiem obojętny na to, co dzieje się w rzekomo socjalistycznym państwie NRD, oddalonym o zaledwie kilka kilometrów. Mur otaczający Berlin Zachodni wydawał się im tylko wielkim lustrem, w którym mogli przyglądać się samym sobie i „związkom międzyludzkim”. „Papierowe Narcyzy”, jak mówi mój dziennik.

Jeśli jednak pokolenie '68 było egzotyczne dla mnie, to dla nich młody Anglik w solidnych butach i tweedowej marynarce musiał być dziwną zjawą. Gdy teraz patrzę wstecz, także wydaje mi się on osobliwy. Można sobie ewentualnie wyobrazić zazdrość z powodu teczki, jednakże doświadczenie „zatrutej magdaleny” nie zawsze jest przyjemne. Tak jak dla bohatera *Ferdydurke*, który wyobraża sobie, że ma znów szesnaście lat. Słyszy „dawno pogrzebany swój głosik koguci, piskliwy”, widzi swój „nos niewyrośnięty na twarzy niedokształtowanej” i czuje, że jego „niedopasowane człon-

ki wyśmiewają się z siebie: łydka wykpiwa głowę, palec nabija się z serca”. Podróż w czasie za pomocą teczki jest czymś podobnym.

Moje „legendy” – jak nazywał je pracujący dla Stasi porucznik Küntzel – były w rzeczywistości nie tyle wersjami oficjalnymi, ile różnymi pasmami nie dokończanego życia. Podobnie jak zagubieni, ambitni studenci, którzy teraz przychodzą do mnie w Oksfordzie, pytając o życiowe porady, chciałem wówczas robić wszystko naraz: napisać doktorat o Berlinie Trzeciej Rzeszy, książkę o Wschodnich Niemczech, esej o Bauhausie, być autorem genialnych artykułów do „Spectatora” i zapewne równocześnie Geor- gem Orwellem, ministrem spraw zagranicznych i bohaterem wojennym. Legendy, które sam sobie opowiadałem.

Dziennik przypomina o całej tej niezdarności, niezgrabności, pretensjonalności, snobizmie i nonszalancji, z jaką wtrącałem się w życie innych ludzi. Odsuwając na bok zażenowanie, pozostaje jeszcze zwykła trudność zrekonstruowania tego, co się naprawdę myślało i czuło. O ileż łatwiejsze jest to w stosunku do innych ludzi! Czasami ja z przeszłości wydaję się sobie tak dziwny, że mam wrażenie, iż tam, gdzie napisałem słowo „ja”, powinno być „on”.

Pamięć osobista jest pokrętna. Genialnie ujął to Nietzsche w aforyzmie: „«Zrobiłem to» – mówi moja pamięć. «Nie mogłem być tego zrobić» – mówi moja duma i pozostaje nieugięta. W końcu – pamięć poddaje się”. Jest zawsze pokusa, by selekcjonować własną przeszłość; podobnie czynią narody: pamiętać o Shakespeare i Churchill, ale zapomnieć o Irlandii Północnej. Musimy jednak albo wziąć wszystko, albo-wszystko odrzucić – a ja muszę powiedzieć „ja”.

Oprócz spraw frywolnych mój dziennik zawiera świadectwa długich, męczących godzin, jakie spędzałem, przedzierając się przez akta gestapo w złowrogo nazwanym Tajnym Pruskim Archiwum Państwowym i przez nazistowskie kartoteki tzw. Sądu Ludowego w Berlińskim Centrum Dokumentacji. Papiery Sądu Ludowego leżały stosami na metalowych półkach, zakurzone i nie skatalogowane, a amerykański dyrektor Centrum Dokumentacji – będącego wówczas wciąż instytucją amerykańskiego zarządu wojskowego – jeździł grać w golfa.

Byłem przerażony liczbą oskarżeń w Trzeciej Rzeszy zapoczątkowanych przez denuncjację – nie przez opłacanych informatorów gestapo, lecz zwykłych ludzi: fryzjer zadenuncjowany przez klienta, aptekarz zadenuncjowany przez własnego pomocnika, pomoc domowa zadenuncjowana przez własnych pracodawców; nawet ktoś donoszący na własnego brata i żona oskarżająca męża. Są to wszystko prawdziwe przypadki – wzięte z akt sądowych, których kserokopie wówczas sporządzałem. Większość rozpraw kończyła się wyrokiem śmierci.

Po dniu w archiwach wychodziłem na słoneczne ulice zielonego Grunewaldu, mając dość tego nie kończącego się zapisu ludzkiej podłości i okrucieństwa. Często wydawało mi się, że sam mam ręce splamione krwią. Szedłem więc popływać, by tę krew zmyć. A potem do kawiarni czegoś się napić. Przyglądałem się starszym paniom plotkującym przy sąsiednim stoliku. A co ty wtedy robiłaś, babuniu?

Nie ograniczałem się do archiwów. Rozmawiałem z weteranami i świadkami historii. Był więc Albert Speer

w Heidelbergu, ze swymi wygładzonymi opowieściami technokraty nie interesującego się polityką. Byli przypadkowo poznani ludzie, każdy z niezwykłą historią osobistą: na przykład mechanik samochodowy, którego rodzice zginęli, gdy był niemowlęciem, w czasie desperackiej ucieczki na zachód przed nacierającą Armią Czerwoną, nie znał więc ani miejsca, ani daty własnego urodzenia, ani prawdziwego nazwiska. Wiedział tylko, że pochodził spod Kłajpedy, terytorium niegdyś należącego do Niemiec, a obecnie do Litwy. Byli też wspaniali starzy ludzie z ruchu oporu przeciw Hitlerowi, którzy spotykali się co roku, w rocznicę spisku bombowego 20 lipca 1944, na dziedzińcu dawnej kwatery głównej Wehrmachtu, gdzie przywódca spisku, hrabia Stauffenberg, stanął przed plutonem egzekucyjnym.

Stauffenberg tuż przed śmiercią wykrzyknął wyzywająco: „*Es lebe das heilige Deutschland!*” – „Niech żyją święte Niemcy!” A może było to: „*Es lebe das geheime Deutschland!*” – „Niech żyją tajemne Niemcy!”, odwołanie zarówno do konspiracji, jak i do na wpół mistycznych idei poety Stefana George’a? Ostatnie słowa Stauffenberga wciąż podlegają dyskusji. Wśród duchów tajemnych Niemiec poszukiwałem odpowiedzi na bardziej prywatne pytanie. Co sprawia, że jeden człowiek walczy w ruchu oporu, a drugi jest wiernym poddanym dyktatury? Że jeden będzie Stauffenbergiem, a drugi Speerem? Dzisiaj, po latach, poznawszy osobście wielu ludzi z jednej i z drugiej strony, nadal poszukuję odpowiedzi.

Nie tylko dla studenta historii, lecz także dla każdego Anglika mieszkającego w tym czasie w Niemczech i prawdopodobnie dla większości angielskich czytelników gazet najbardziej interesująca była przeszłość Niemiec – a przez „przeszłość” rozumiano przede wszystkim dwanaście lat nazizmu. Wielkie osiągnięcia powojennej odbudowy, cywilizowana demokracja i wzorowa społeczna ekonomia rynkowa, której przewodził kanclerz Helmut Schmidt – wszystko to było, owszem, podziwiane, ale nudne. Nawet zagro-

żenie ze strony skrajnie lewicowych terrorystów i silna reakcja państwa zachodniemieckiego nabierały znaczenia głównie ze względu na spuściznę Hitlera, obawę, że Niemcy znów staną się niebezpieczne.

James był prawie tak samo zafascynowany nazistowską przeszłością jak ja i nad niektórymi tematami pracowaliśmy wspólnie. Razem z Friedrichem, zaprzyjaźnionym dziennikarzem z pokolenia '68, obserwowaliśmy toczące się w Düsseldorfie procesy strażników z obozu koncentracyjnego na Majdanku. Gdy pewna starsza kobieta, Żydówka, zeznała, że zmuszano ją do noszenia pojemników z cyklonem B do komór gazowych, niemiecki obrońca oskarżonego zerwał się i zażądał natychmiastowego areztowania jej za pomoc i współudział w zbrodni.

Śledziliśmy także tajemniczą sprawę ówczesnego prezydenta RFN, należącego w młodości do partii nazistowskiej. Wybitny malarz Heinz Troekes powiedział nam, że młody Karl Carstens z dumą nosił odznakę partyjną jako instruktor w szkole artylerii, gdzie Troekes był uczniem. Carstens jednak potrafił odbudować swoją popularność dzięki patriotycznym wycieczkom po niemieckiej prowincji i sprawa wkrótce wygasła. Zajmowałem się nią jako nieopierzony jeszcze historyk i początkujący dziennikarz, James zaś jako opierzony dziennikarz, lecz także jako poeta. Z doświadczenia tego powstał wiersz *Niemieckie requiem*, doskonale ujmujący zawodną, natarczywą niemiecką pamięć:

Jakąż ulgę przynosi, raz czy dwa razy do roku,
Zebrać się, by pozapominać dawne czasy.

Pewnego wieczora Friedrich zadzwonił z informacją, że neonazistowska grupa, zwana Młodymi Wikingami, zbierze się w czasie otwarcia nowego baru Café Vaterland. Kilku z nich widział już wcześniej w czasie dyskusji z młodzieżą szkolną, poświęconej amerykańskiemu serialowi telewizyjnemu *Holocaust*, który w tym czasie w Niemczech

robił ogromne wrażenie. „Ideolodzy” tej grupy grozili, że stworzą nowe obozy koncentracyjne w Niemczech.

Café Vaterland znajdowała się na parterze nowego, nie wyróżniającego się niczym budynku przy Tauentzienstrasse. Wewnątrz ściany ozdobione były militariami i nieudolnym olejnym wizerunkiem Hitlera siedzącego na klozecie. Gdy przyszliśmy, lokal był do połowy wypełniony nastolatkami w skórzanych kurtkach i wysokich butach. Jedli chleb ze smalcem i pozdrawiali się komediową wersją nazistowskiego salutowania – zgiętą i tylko do połowy podniesioną prawą ręką. Resztę baru zajmowali dziennikarze obserwujący Młodych Wikingów. Około północy, jako że wydawało się, iż nic się nie dzieje, wyszliśmy kierując się za róg, gdzie w ciemniej uliczce stał zaparkowany mój samochód. Wtem podbiegło do nas kilka postaci w czarnych kurtkach. Mieli przy sobie butelki po piwie z rozbitym dnem.

W tym punkcie moja pamięć przesuwa się w zwolnionym tempie. Widzę zbirów wylaniających się z ciemności w świetle ulicznej latarni. Widzę siebie obchodzącego powoli – idiotycznie – samochód, by otworzyć drzwi od strony kierowcy. James stoi na chodniku, niepewnie wymachując składanym parasolem. Friedrich ucieka na skos na drugą stronę ulicy w kierunku jasno oświetlonego wielopoziomowego parkingu. Zupełnie nie pamiętam uderzenia w bok głowy butelką. Być może, straciłem na kilka sekund przytomność, gdyż następną rzeczą, jaką widzę, są nachylający się nade mną James i Friedrich, gdy zaczynam się podnosić z brudnego asfaltu. Przerażenie malujące się na ich twarzach, majaczących nade mną w oślepiającym ulicznym oświetleniu, było pierwszą rzeczą, która uświadomiła mi, co się stało. Następnie – by zamknąć tę scenę jak z taniego filmu – dotknąłem palcami karku, opuściłem rękę i spojrzałem na krew.

Jeden ze zbirów walnął mnie rozbitą butelką tuż za uchem. Przygodny kierowca odwiózł mnie, oszołomionego i krwawiącego, na najbliższe pogotowie, gdzie zszyla mnie

bardzo niesympatyczna starsza pielęgniarka, podczas gdy James i Friedrich głośno domagali się natychmiastowego dostępu do telefonu. – Pańscy przyjaciele są gorsi od nazistów – powiedziała. Następnego dnia niemiecki dziennikarz irytował się na mnie, ponieważ już wyprałem zabrudzoną krwią koszulę, którą chciał sfotografować.

Enerdowski dziennik partii komunistycznej „Neues Deutschland” zamieścił artykuł o tym zdarzeniu pod tytułem „Plac zabaw dla faszystów w Berlinie Zachodnim”. W duchu interpretacji marksistowsko-leninowskiej, według której faszyzm wyrasta z kapitalizmu, napisano tam, że „przy pomocy finansowej browaru Dortmund Union-Schultheiss”, właściciele baru:

założyli ośrodek neonazizmu i militarizmu w centrum Berlina Zachodniego. Członkowie neonazistowskich Młodych Wikingów zostali zachęcani do przeprowadzenia pierwszych akcji terrorystycznych przeciwko ludziom o odmiennych poglądach politycznych. Zagrozili trzem dziennikarzom, w tym dwóm Anglikom zajmującym się badaniem nazistowskiej Rzeszy. Poszli za nimi ulicą i pobili ich. Do tej pory prokurator państwowy nic nie zrobił w tej sprawie.

W rzeczywistości zarówno władze Berlina Zachodniego, jak i brytyjski zarząd wojskowy wykazały duże zainteresowanie tą sprawą. Miejscowe służby bezpieczeństwa przesłuchiwały mnie szczegółowo. Zostałem skrupulatnie przebadany przez niejakiego doktora Spenglera – w kostnicy. Młodych Wikingów zidentyfikowano i aresztowano. Składaliśmy zeznania w czasie ich procesu w ponurym budynku sądu w Moabicie i zapadł wyrok skazujący.

Mimo wszystko James nie podzielał w pełni mojego zainteresowania NRD, choć w moim dzienniku znajduje się wzmianka o poważnej rozmowie, podczas której miał powiedzieć, że możliwość ewolucji w krajach socjalistycznych była najważniejszą polityczną kwestią dla lewicow-

ców z jego pokolenia. To, co stało się z zachodnią lewicą po 1989 roku, wskazuje być może, że miał rację. W tamtych czasach była to jednak prawda trudna do przyjęcia, szczególnie dla tych, którym w 1968 roku na ulicach Berlina stały czoło stare kobiety, machające parasolkami i krzyżące: „Wynoście się tam!” (co znaczyło – na Wschód).

Pokolenie '68 radziło sobie z tymi sprzecznościami na różne, nie zawsze zręczne, sposoby. Niektórzy stawali na głowie, by dostrzec wszystkie dobre i postępowe elementy w NRD: pomoc społeczna, brak bezrobocia, równe szanse dla kobiet i przedszkola dla wszystkich. Naukowcy i dziennikarze idealizowali NRD, fałszując tym samym obraz własnego kraju. Buntowali się przeciwko topornemu antykomunizmowi swoich rodziców z czasów zimnej wojny; był to nie tyle prokomunizm, ile antyantykomunizm. Była to także rozpaczliwa nadzieja, że wielki projekt socjalizmu nie zostanie zdyskredytowany przez „socjalizm” praktykowany na Wschodzie.

Kilku, w tym Bernd, stało się jednak obrońcami całego wschodniego systemu, z murem włącznie. Kilku poszło jeszcze dalej. Wszyscy funkcjonariusze Stasi zajmujący się zagranicznym wywiadem, z którymi rozmawiałem – z Markusem Wolfem włącznie – twierdzą, że pokolenie '68 stanowiło podatny grunt dla rekrutacji agentów. Ilościowo, rzecz jasna, agenci ci stanowili nieznaczącą część pokolenia, lecz podobnie było z terrorystami. Wszelako większość tego pokolenia nie wybrała żadnej z tych dróg. Ludzie ci po prostu odwrócili się plecami. Z Niemiec Zachodnich pojechali na zachód, południe i na północ, lecz nigdy na wschód. Udało im się to nawet w Berlinie Zachodnim, choć Wschód otaczał ich ze wszystkich stron.

Nie sądzę, by w przypadku Jamesa obawy ideologiczne widocznie wpływały na jego brak zainteresowania Wschodem. Gdy teraz o tym rozmawiamy, przypomina mi, że „Guardian” miał korespondentkę w Europie Wschodniej, która broniła swojego poletka bardziej zazdrośnie niż Leo-

nid Breżniew. NRD była częścią jej terytorium. Gdyby James próbował przejść na drugą stronę muru, prawdopodobnie zastrzeliłaby go.

James, urodzony w 1949 roku, należał do angielskiej wersji pokolenia '68. Ja, sześć lat młodszy od niego, już nie. We wstępnym raporcie Stasi ideologiczna ocena mojego nastawienia – jako „burżuazyjno-liberalnego” – była bliska prawdy. Żywiłem raczej uproszczone, romantyczne poglądy na angielskie dziedzictwo indywidualnej wolności, z którego byłem dumny. I pragnąłem tej wolności dla innych. Moimi intelektualnymi bohaterami byli Macaulay, George Orwell i Isaiah Berlin. Mówiłem: *Ich bin ein Berliner*, mając na myśli Isaiaha Berlina. Przy tego rodzaju poglądach trudno było mi zycziwie obserwować NRD. Jednakże liberalny antykomunizm nie stanowił głównego źródła mojej fascynacji Wschodem. Zafascynowany byłem tym, że także tutaj, w NRD, ludzie naprawdę przeżywali owe nieskończone trudne wybory między podjęciem współpracy a stawieniem oporu dyktaturze. Tutaj mogłem badać problem Stauffenberga/Speera na żywo.

Znalazłem także ową intymną bliskość wysokiej kultury europejskiej i systematycznego bestialstwa, jakie opisał George Steiner w książce *W zamku Sinobrodego*, która wywarła na mnie ogromne wrażenie, gdy czytałem ją w wieku siedemnastu lat. W moim dzienniku nazwałem to zjawisko „dębem Goethego”, od starego dębu na Ettersbergu koło Weimaru, pod którym Goethe napisał wspaniałą *Pieśń wędrowca w nocy*, a który potem znalazł się na terenie obozu koncentracyjnego Buchenwald. Goethe i Buchenwald, szczyt i dno ludzkiej historii, w jednym i tym samym miejscu. Miejscu zwanym Weimar. Miejscu zwanym Niemcy. Miejscu zwanym Europa.

Owa fascynacja dyktaturą i oporem, skrajnościami dobra i zła, cywilizacji i barbarzyństwa, zaprowadziła mnie także dalej w głąb komunistycznej Europy. W lecie 1978 roku odbyłem „postępową wycieczkę” przez Albanie z sied-

mioma nauczycielami marksizmu-leninizmu z Leeds, szkockim inżynierem i byłym imperialnym policjantem o nazwisku Mr Godsave. Przy filiżance kawy zakropionej spirytusem, zwanej w komunistycznej Albanii „lumumbą” – od nazwiska przywódcy ruchu niepodległościowego w Kongu, Patrice’a Lumumby – Mr Godsave zwierzył mi się, że zwiedził już wszystkie komunistyczne państwa świata. Dlaczego? „Wroga należy poznać”.

Następnego lata odwiedziłem sześć krajów tak zwanej wówczas Europy Wschodniej. W Polsce znalazłem ducha oporu, jakiego od dawna poszukiwałem. Kraj ten – z wierzchu biedny, brudny i zaniedbany, choć gdzieś wcióż wciąż pełen dawnego piękna – był czarujący dzięki ludziom, którzy tam mieszkali, wzmocnionych niedawną, niewiarygodną pielgrzymką papieża. W Krakowie, przy „zrazach po nelsońsku”, wesola, nieposkromiona Róża Woźniakowska opowiedziała mi, jak arcybiskup krakowski, przysły papież, rozkazał, by zakazany przez władze wykład „Rok 1984 Orwella a współczesna Polska” został wygłoszony w kościele. W Warszawie Władysław Bartoszewski, który przeżył Oświęcim i więzienia stalinowskie, powiedział głośno w zatłoczonej restauracji: „Liczymy na upadek rosyjskiego imperium w dwudziestym pierwszym wieku!” Jakież to kontrast z tchórzliwym NRD.

Gdy wróciłem do Berlina Zachodniego, okazało się, że James zdecydował się wrócić do Anglii. Zapytał, czy nie zechciałbym przejąć wynajmowanego przez niego mieszkania przy Uhlandstrasse 127. Mimo iż wojna zniszczyła zewnętrzną fasadę, którą teraz pokrywała brzydka warstwa cementu, ozdobiona dziwacznymi wyłobieniami, wewnątrz znajdowało się piękne, stare mieszkanie. Wchodziło się po marmurowych schodach, pod gipsowymi popiersiami z epoki wilhelmińskiej i sypiącym kwiatami cherubinem, do szarych drzwi wsejściowych. Za nimi otwierał się długi korytarz, na tyle szeroki, że można w nim było zmieścić fortepian, i wysoki na pięć metrów. Po lewej stronie były dwa

mniejsze pokoje, potem trzy piękne, duże pokoje z wysokimi oknami, połączone podwójnymi drzwiami. Poprzedni lokatorzy byli politycznymi uchodźcami z Iranu. Wrócili właśnie do swej – jak sądzili – wyzwolonej ojczyzny, jednakże nad ogromnym, podwójnym łóżem wciąż wisiał złowrogi plakat z napisem „Śmierć Szachowi”.

Jak mogłem oprzeć się takiemu miejscu? Wynająłem je, pożegnawszy moją małą komunę na Traunsteinerstrasse. W dzienniku zanotowałem, że po raz ostatni widziałem się z Berndem, który wyruszał w służbową podróż do NRD. Bernd, chociaż był teoretycznie przekonany, że Niemiecka Republika Demokratyczna stanowi lepsze Niemcy, nie bardzo lubił tam jeździć. Tego dnia załadował samochód puszkami, słoikami, butelkami, tubkami i paczkami zachodniego prowiantu. „Wiesz przecież, że jedzenie jest tam marne – wyjaśnił. – A ta obsługa...” Żegnaj, towarzyszu.

Mieszkanie przy Uhlandstrasse było drogie jak na studenta. W rzeczywistości, odkąd przybyłem do Niemiec, mile, acz szybko wydawałem niewielki spadek, pozostawiony mi przez dziadka ze strony ojca, którego znałem jedynie z surowej, czarno-białej fotografii portretowej, stojącej na pianinie w domu babci. Wątpię, by aprobował to, że owoce jego wiktoriańskiej zapobiegliwości wydawane były w Ax Bax, Romy Haag’s i u Foofiego, nie mówiąc już o Warszawie i Tiranie.

Listy od mojego agenta bankowego stały się wówczas nieco chłodne. By trochę oszczędzić, zacząłem zaludniać mieszkanie sublokatorami. Najpierw dwa pokoje od frontu zajęła Isabella, niemiecka przyjaciółka mojego amerykańskiego współlokatora z Traunsteinerstrasse. Później doszedł Daniel Johnson, blade i przystojny, z Nietzschem w dłoni. Potrafił rano wpadać do mnie gwałtownie przez podwójne drzwi i rozpromieniony oświadczać, że zlokalizował kolejnego niemieckiego pesymistę. W końcu przyjęliśmy Mela, polskiego rzeźbiarza, i jego żonę Dot. Uciekli

z Polski, zostawiając tam wszystko, i starali się właśnie o azyl polityczny w Niemczech. „Polska dobra, polska komunista zła!” – wyjaśniła Dot w łamanej niemczyźnie. Doskonale ją rozumiałem. Pijąc brandy na śniadanie i studiując zawile sformułowane warunki konkursu rzeźbiarskiego, Mel nagle wykrzyknął: „Luftwaffe London!”. Rzeźba, którą zgłosił na konkurs, przedstawiała mężczyznę i kobietę przytulonych do siebie, odwróconych tyłem od przerażającego świata. Mel i Dot. Poza tym były jeszcze kawiarnie i ładne dziewczyny, które Daniel zaskakiwał uwagami typu: „Czy nie zauważyłaś, że Steiner używa słowa «moment» w znaczeniu heglowskim?”

Pod koniec 1979 roku przygotowywałem się do przeprowadzki z tej radosnej wieży Babel do Berlina Wschodniego, gdzie dzięki nowej umowie kulturalnej podpisanej niedawno między Anglią a NRD umożliwiono mi badania na Uniwersytecie Humboldta.

W tym czasie Oksford i Londyn wydawały mi się bardzo odległe. Od czasu do czasu latałem do Anglii na kilka dni, odwiedzałem rodziców, jadłem lunch w „Spectatorze”, szedłem do teatru, na kolację z przyjaciółmi i próbowałem odpowiedzieć na owo trudne, często bez prawdziwego zainteresowania stawiane pytanie: „Jak tam jest...?” Jechałem pociągami do Oksfordu, rozmawiałem z moim opiekunem naukowym, kupowałem kilka książek w księgarni Blackwell's, potem wracałem do Londynu, aby zdać egzamin organizowany przez administrację państwową (Civil Service), a przy kolejnej wizycie ubiegać się o posadę w MSZ (Foreign Service).

Określenie Foreign Service oznacza z reguły służbę dyplomatyczną. W Anglii może jednak także oznaczać coś trochę innego: wywiad. I tutaj dotykam sprawy, o której nie myślałem przez długi czas, dopóki nie zacząłem badać teczki założonej mi przez Stasi. Muszę głęboko przekopywać własną pamięć, dzienniki, a nawet zakurzoną starą walizkę, ukrytą na strychu naszego domu, aby odkryć szczegóły i zrekonstruować tego dalekiego siebie.

Gdy miałem dziewiętnaście czy dwadzieścia lat i byłem studentem w Oksfordzie, interesowałem się kulisami wywiadu. Zainspirowały mnie historie śmiałych wyczynów z czasów drugiej wojny światowej. Trzydzieści lat po zakończeniu wojny cała niezwykła historia angielskiego wywiadu została wreszcie spisana, szczególnie przez kilku oksfordzkich profesorów, którzy w niej uczestniczyli. Miałem coraz głębsze wrażenie, że nadal toczy się wojna – tym razem z sowieckim komunizmem. Intrygowały

mnie historii życia Anglików, którzy szpiegowali na rzecz Związku Sowieckiego: Philby'ego, Burgessa, Macleana i wciąż nie zidentyfikowanego „czwartego człowieka”. Uwielbiałem też powieści Grahama Greene'a – a szpiegowanie było głównym zajęciem w Greenelandii.

Godzinami rozmawiałem o tym z przyjacielem ze studiów przy kawie w moim mieszkaniu z widokiem na Broad Street, w środku starego miasta. Jak dowiedziałem się później, jego ojciec pracował dla MI5, brytyjskiej służby bezpieczeństwa. Nie interesowałem się tym tematem w sposób obsesyjny – jak bez wątpienia Graham Greene – było to po prostu jedno z wielu zainteresowań, takich jak teatr, współczesna architektura, literatura i polityka.

Mam poza tym w pamięci pewną scenę. Obraz frontowego dziedzińca Exeter College pięknego słonecznego ranka. Podchodzi do mnie, w pobliżu kaplicy, rektor college'u, rosły, sympatyczny człowiek, w tweedowym garniturze. Nie pamiętam dokładnie, co mówi, grząc konfidencjonalnie, sens jednak był taki, że słyszał on, iż interesuję się tymi rzeczami i czy nie chciałbym porozmawiać o tym z kimś w Londynie.

Dziś wydaje mi się to bardziej sceną z filmu niż czymkolwiek, co zdarzyło się naprawdę w moim życiu. *Słoneczny dziedzińiec oksfordzkiego college'u, zielona murawa, złotawe mury z piaskowca. Profesor w tweedowym garniturze spaceruje po dziedzińcu. Zatrzymuje się pod kaplicą przy młodym studencie. Słyszymy ich urywane słowa, „...porozmawiać z kimś w Londynie...”, „Dziękuję, panie rektorze...” Przejdźcie do pustego biura w Londynie.*

W teczce na dnie walizki schowanej na strychu naszego domu znajduję list z datą 8 czerwca 1976 roku. W nagłówku listu pojawia się nazwa sekcji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, nie wymienionej w żadnych oficjalnych publikacjach, oraz adres w centrum Londynu. „Jak rozumiem, interesują Pana informacje co do możliwości pracy w Departamencie, do którego rekrutacją się zajmujemy”. Do tego formularz i propozycja „rozmowy wstępnej”.

„Gdyby musiał Pan specjalnie odbyć podróż do Londynu, pokryjemy oczywiście koszt biletu kolejowego drugiej klasy”. Podpisano nazwiskiem, prawdziwym nazwiskiem, które odnajduję w *Spisie pracowników służb dyplomatycznych z 1995 roku*.

Przypominam sobie teraz puste biuro, łysiejącego człowieka z blizną na podbródku, w znoszonym garniturze. Z rozmowy pamiętam tylko, że bardzo mu zależało, bym odniósł wrażenie, iż praca w tych służbach nie przyniesie żadnego zewnętrznego prestiżu ani zaszczytów, tytułów ani fanfar. W tym czasie – mając dwadzieścia jeden lat – brzmiało to dla mnie trochę śmiesznie. Ciągłe mnie to śmieszy, choć nieco lepiej potrafię sobie teraz wyobrazić, jak to jest być członkiem takich służb w średnim wieku, pozującym na dyplomatę, patrzącym, jak jego być może mniej utalentowani rówieśnicy, właściwi dyplomaci, pną się powoli coraz wyżej w hierarchii – doradca, minister, ambasador – i obrastając w kolejne orderzy Świętego Michała i Świętego Jerzego: CMG, KCMG, GCMG, czyli, jak w starym dowcipie, *Call Me God* [nazywaj mnie bogiem], *Kindly Call Me God* [uprzejmie nazywaj mnie bogiem], *God Calls Me God* [Bóg nazywa mnie bogiem]. Ze *Spisu...* wynika, że mój rozmówca pięć razy z rzędu zajmował stanowisko pierwszego sekretarza. Nikt nie nazywa go bogiem.

Tak czy owak, byłem za młody na tę pracę, wróciłem więc do studiowania historii w Oksfordzie. Z zawartości mojej zakurzonej teczki wynika, że ponownie starałem się o przyjęcie tuż przed wyjazdem do Berlina w lecie 1978 roku. Mam nawet kserokopie podań. W punkcie „Działalność polityczna i społeczna, lektury, zainteresowania” wpisałem: „Kwestie międzynarodowe; oba państwa niemieckie; Europa Wschodnia [...]. Lektury: Wydarzenia współczesne i historia najnowsza; współczesna literatura europejska; literatura i krytyka angielska; prasa”. Zwierzam się także z przynależności do Towarzystwa Porozu-

mienia Angielsko-Chińskiego, umiarkowanej organizacji, do której wstąpiłem po prostu dlatego, że interesowały mnie Chiny (mam wciąż na półce „czerwoną książeczkę” przewodniczącego Mao). Jako osoby, które mogą udzielić mi referencji, wymieniam oczywiście rektora, następnie mojego wuja sir Hugh Linstead, emerytowanego posła, oraz mojego ojca chrzestnego, adwokata, doradcę Królowej, a wkrótce sędziego Sądu Najwyższego. Wybitnie szanowani, szanownie wybitni.

Kiedy zdawałem egzaminy do Civil Service jesienią 1978 roku (za „konstruktywne myślenie” dostaje się tylko 10 procent oceny – jak donosi mój dziennik), a z początkiem 1979 roku stanąłem przed komisją selekcyjną Civil Service, starałem się o przyjęcie zarówno do wydziału dyplomatycznego, jak i do tajnych służb. Były to dwie z kilku opcji, które brałem pod uwagę, tak jak robi wielu absolwentów wyższych uczelni, dopóki nie zapadną ważne klamki życiowych decyzji. Później wróciłem z Berlina jeszcze raz na jeden dzień, 17 maja 1979 roku, by odbyć długą rozmowę kwalifikacyjną do służb wywiadowczych. W moim dzienniku jest tylko notatka: „2 i pół godziny. Rozmowa. Wielka Rozgrywka”, oraz informacja, że później poszedłem na wystawę w Królewskiej Akademii i odbyłem rozmowę telefoniczną z Melvinem Laskym (redaktorem „Encountera” i weteranem zimnej wojny), po czym, „poruszony Rozmową”, wróciłem do Berlina.

Patrząc w przeszłość, przypominam sobie pokój gdzieś w budynkach Whitehall, puszysty dywan, czerwoną skórę, ciemne drewno, jakichś ludzi za stołem. Wśród nich rozpoznaję profesora historii z Oksfordu. Z samej rozmowy pamiętam tylko fragment, gdy poproszono mnie, bym udawał angielskiego dyplomatę spotykającego przypuszczalną osobę kontaktową w restauracji czy barze w Barcelonie. Osobę kontaktową odgrywał jeden z mężczyzn siedzących za stołem, a z całej udawanej konwersacji pamiętam wyraźnie tylko to, że często powtarzałem: „Może

jeszcze coś do picia?” Komisja wydawała się z tego zadowolona.

Wśród starych papierów znajduję jednak również inną, sporządzoną naprędce notatkę z tego spotkania. Jest częściowo nieczytelna, lecz oprócz wzmianki o „barcelońskich wyglupach” jest tam także coś o Libii i „poglądach na eurokomunizm”, a następnie hasło: „Zdrada Przyjaciela”. Czyżby zadano mi odwieczne pytanie dotyczące wyboru między zdradą przyjaciela a zdradą własnego kraju?

Z mojego dziennika wynika, że wyleciałem z Berlina 11 czerwca 1979 roku, by poddać się kontrolnym badaniom lekarskim oraz weryfikacji pod kątem bezpieczeństwa w siedzibie głównej wywiadu (SIS, często nazywanym MI6), anonimowym budynku biurowym na południe od Tamizy, po czym jadłem lunch w restauracji „South of the River”. Z wizyty tej pamiętam niewiele oprócz tego, że pokoje przyjęć i biura były wprost nadzwyczajnie zwyczajne. Szare gabloty z dokumentami, biurka pełne papierów, nieokreśleni mężczyźni w garniturach: jak w urzędzie dzielnicowym.

Tym razem jednak mój dziennik zawiera więcej komentarzy. Po powrocie do wspólnego mieszkania przy Traunsteinerstrasse zapisałem kilka wrażeń o „biurze, firmie, służbach [...] wesołych sekretarkach i gońcach. Lekarz, [wyglądający jak] Malcolm Muggeridge [...], dający porady pracownikowi w sprawie alkoholizmu. Amatorszczyzna. Wyrachowana nieszczerość”. „Krótka rozmowa – zanotowałem dalej – z nieco absurdalną, choć niewątpliwie bystrą, «Betty»”. Zdaje się, że Betty, „wyglądająca na nieco roztargnioną, zapytała, mając na myśli moich rodziców i brata, «Czy oni są świadomi?»”

Notuję także atrakcje: „elementy jak z GG (tzn. Grahama Greene’a) [...] tajemnica. Poczucie przynależenia do elity. Wyzwanie tkwiące w grze”. Byłem jednak także bardzo zaniepokojony. Zwróciwszy uwagę na uprzejmość i eleganckie maniery urzędnika, który podał mi lunch, ko-

mentuję „być może jest to (z pewnością mniej skrajna) angielska wersja *dębu Goethego*”. A następnie notuję odnoszące się do planowanej przeze mnie podróży przez państwa bloku sowieckiego owo „złowrogie i niepokojące zdanie (rzucone nad doskonałą zapiekanką z dziczyzny) «wolelibyśmy mieć pana pod kontrolą»”. Notatka kończy się podsumowaniem: „Wracając samolotem, czytałem Bonhoeffera, odkrywając w sobie – odkrywając na nowo – intelektualny apetyt i prawie już zdecydowałem, w którą pójść stronę”.

Jednakże ostatni dokument w mojej teczce jest kopia listu z 21 czerwca 1979 roku na Traunsteinerstrasse, w którym piszę tylko, że: „Chciałbym odłożyć wstąpienie do wywiadu do września 1980”. Ostrożny ruch, pozostawiający otwartą furtkę. Następnie jednak wyjechałem w dwumiesięczną podróż po bloku sowieckim – nie będąc pod niczyją kontrolą. Ostatni zapisek w moim dzienniku dotyczący tej sprawy pochodzi z listopada 1979 roku i brzmi: „«Chcemy mieć pana pod kontrolą». A więc nie”. W ten sposób przed wyjazdem do Berlina Wschodniego podjąłem jasną decyzję.

W Anglii związki z wywiadem od dawna miały pewien urok. Wiadomo było, że niektórzy znani pisarze, biografowie i historycy mieli niegdyś koneksje z wywiadem, od Somerset Maughama, przez Alistaira Horne'a po Hugh Trevor-Ropera. Dla mnie, jako studenta, było to pociągające. Jednakże wracając do tego teraz, po lekturze akt Stasi i po latach intensywnego zajmowania się Europą Środkową, nieco mniej mnie to bawi. Chociaż nigdy nie wstąpiłem, mogę sobie wyobrazić, jak usiłowałbym tłumaczyć to czeskiemu lub polskiemu przyjacielowi, dla którego „wywiad” natychmiast kojarzy się z bezpieczeństwem, że w ogóle mogłem brać to pod uwagę. Trudność, prawie niemożliwość wytłumaczenia tego, jak wyglądało to z perspektywy studenta Oksfordu, dziwnie ukształtowanego przez an-

gielską *public school*. Tak samo trudno byłoby im wyjaśnić niektóre rzeczy pogrążone w półmroku dzieciństwa i wczesnej młodości.

Gdzie tkwi początek? Czy był to *Kim* Kiplinga, czytany w dzieciństwie? Romantyczna powieść o „wielkiej rozgrywce” na północno-zachodniej granicy Indii była mi na pewno bliska, gdyż mój dziadek od strony matki służył imperium w Indian Civil Service. Gdy odwiedzałem dziadków, zabawiali mnie opowieściami z Indii: przejażdżki po dżungli na słońcach, tygrys skaczący ponad ścieżką, gdy szli do klubu.

Później były pewnie wspomnienia mojego ojca z wojny, opowieści o lądowaniu w pierwszym rzucie na plażach Normandii w 1944 roku; matka brała mnie na stronę – miałem może sześć, siedem lat – i pokazywała mi dyplom nadania Military Cross: „[...] podczas zaciętej, nieustającej walki na przyczółku Normandii jego opanowanie i pogarda dla niebezpieczeństwa dały się szybko zauważyć [...]. Jego dowodzenie, odwaga i poświęcenie podczas całej kampanii godne są najwyższej pochwały [...]”. Słowa te, mimo swej oficjalnej sztywności, wciąż mnie głęboko poruszają.

Wkrótce potem doświadczyłem „kształtowania charakteru” w tradycyjnej angielskiej szkole z internatem, dokąd wysłano mnie w wieku ośmiu lat. Uroczystości z okazji dnia pamięci poległych w czasie wojny w St. Edmund's School; zimne stopnie do kaplicy w Sherborne, gdzie nazwiska poległych na wojnie wyryte były w ścianach; codzienne powtarzanie retoryki patriotyzmu, służby, poświęcenia; prawdziwi bohaterowie wojenni przybywający na obchody. Do tego znów Kipling („ten podróżuje najszybciej, kto podróżuje sam”); cudowne historyjki Johna Buchana; a nawet, w pewien dziwny sposób, książki Tolkiena w młodzieńczym okresie; oraz, w niewielkim stopniu, dwuwymiarowy, papierowy James Bond z powieści Iana Fleminga. A ponadto zwykle prawa przetrwania w życiu szkoły z internatem, które wymagają nauczania się

w bardzo młodym wieku polegania na sobie samym i nawyku dyskrecji, jak Kim.

Jak wyjaśnić to wszystko komuś, kto nigdy tego nie doświadczył?

Potrafię dobrze zrozumieć, jak dochodziło do tego, że niektórzy wstępowali do wywiadu. Oczywiście, tylko ludzie z wewnątrz mogą powiedzieć, jak tam naprawdę jest – a tego robić im nie wolno. Lecz nawet nie wiedząc dokładnie, co straciłem lub czego uniknąłem, jest mi o wiele lżej dzięki temu, że tego nie zrobiłem. Chciałem walczyć z komunizmem, lecz na swój własny sposób – piórem.

Nie miałem potem żadnych dalszych kontaktów z MI6; przynajmniej, co powinienem ostrożnie zaznaczyć, świadomych kontaktów. Od czasu do czasu, gdy podróżowałem po różnych krajach, przychodziło mi na myśl, że jakiś Nigel, Dick czy Catherine z brytyjskiej ambasady, którzy tak przyjacielsko proponowali mi lunch lub drinka, mogli pracować dla wywiadu. Bez wątpienia, kilkoro z nich to robiło, lecz oczywiście nie mówili mi tego – a poza tym, rozmowy z miejscowymi były o wiele ciekawsze.

Jednakże mit, który otacza angielski wywiad, jest tak silny, że angielscy dziennikarze, pisarze i naukowcy pracujący za granicą bardzo często uważani są za szpiegów. Niemieccy dziennikarze w Berlinie Zachodnim podejrzewali, że James Fenton może być szpiegiem, a mnie podejrzewało na pewno nie tylko Stasi. Na przykład niektórzy Polacy, z którymi zaprzyjaźniłem się w Berlinie. Tymczasem James i ja przesiadywaliśmy w barze, zastanawiając się, czy Stephen X lub Kevin Y przypadkiem nie robili czegoś na boku dla MI6. W wielu przypadkach były to tylko bezpodstawne plotki, rozsiewane przez jakąś wrogą agencję lub złośliwego rywala, albo po prostu produkt wyobraźni pobudzonej owym mitem. Jednak w niektórych przypadkach musiała to być prawda. Niektórzy „dziennikarze” i „studenci” byli czymś więcej, niż się wydawali.

Tak więc nie jestem zaskoczony ani oburzony tym, że Stasi zdecydowało się przyjrzeć mi się z bliska. Szokujące jest to, w jaki sposób szpiegowali oni własnych ludzi i zmuszali ich do szpiegowania siebie nawzajem: olbrzymia nawała inwigilacji, zastraszania i represji, w której „Schuldt”, „Smith”, „Michaela” i reszta byli tylko kilkoma zwykłymi żołnierzami. Sam fakt śledzenia mnie nie wykacza poza zakres „normalnych” działań służby bezpieczeństwa. W odczycie wygłoszonym w 1994 roku, wkrótce po tym, jak zacząłem pracować nad tą książką, Stella Rington – wówczas stojąca na czele Służb Bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii (MI5) – zauważyła, że: „Rządy niektórych państw usiłują stosować różne środki – w tym zapisywanie swoich studentów na angielskie uniwersytety – by ominąć międzynarodowe porozumienia i osiągnąć własny cel. Obecnie razem z innymi pracujemy szczegółowo nad tym, by wykryć i udaremnić ich wysiłki”.

Co więcej, nie mając wprawdzie żadnego tajnego programu wyznaczonego mi przez rząd angielski, miałem jednak własny tajny program. Używając pseudonimu w „Spectatorze” i nie informując, rzecz jasna, władz enerdowskich co do moich zamierzeń, zbierałem materiały dotyczące dyktatury w NRD. A im bliżej ją poznawałem, tym bardziej jej nienawidziłem. Czy były to tajne przygotowania do pisarskiej akcji wywrotowej? Jak najbardziej.

Dla komunistycznego państwa takiego jak NRD, oparte go na pełnej kontroli środków masowego przekazu, cenzurze i zorganizowanym okłamywaniu, jakiekolwiek gruntowne badania lub krytyczne dziennikarstwo musiały być wywrotowe. Zachodnimi dziennikarzami rutynowo zajmował się wydział kontrwywiadu Stasi II/13. Częściowo dlatego, że szukano w ten sposób schowanych pod przykrywką dziennikarstwa szpiegów, lecz także dlatego, że dla Stasi różnica między dziennikarzem a szpiegiem nie była zbyt wyraźna. Dla nich zarówno zachodni dziennikarz, jak i za-

chodni szpieg stanowili zagrożenie dla bezpieczeństwa systemu komunistycznego.

Oczywiście, wszystkie rządy zawsze są skłonne do tłumienia niewygodnych dociekań i demonizowania krytyków jako „wywrotowych”. Działania państw zachodnich nie były oczywiście wolne od błędów w tej dziedzinie podczas zimnej wojny. Niemniej jednak to, co robiłem w NRD, nigdy nie zostałoby określone mianem „działalności wywrotowej” w RFN, Anglii czy Ameryce. Nie jest to oczywiście różnica między pełną bielą absolutnie wolnej prasy i pełną czernią prasy w pełni uzależnionej, lecz między jasną szarością prasy w dużym stopniu wolnej i ciemną szarością – w dużym stopniu uzależnionej. W NRD ta szarość była bardzo ciemna.

Dla mnie, w przeciwieństwie do Stasi, istnieje ostre rozgraniczenie między tajną pracą szpiega dla rządu a – czasami potajemną – pracą pisarza. Istnieją jednak niepokojące powiązania między obiema działalnościami. Bliskość tę widać nawet w języku. Nazwa zachodnioniemieckiego wywiadu brzmi Bundesnachrichtendienst, co można dosłownie przetłumaczyć jako „federalna służba informacyjna”. W języku angielskim słowo „*intelligence*” oznacza – między innymi – zarówno wywiad, jak i informacje: w pierwszym numerze dziewiętnastowiecznego „Spectatora” obwieszczone, że „głównym celem gazety jest zbieranie i przekazywanie informacji [*intelligence*]”. Także i polskie słowo „wywiad” posiada zarazem konotacje szpiegowskie i dziennikarskie. Jako człowiek ze „Spekty”, zajmowałem się „wywiadem” w tym drugim znaczeniu. Wywiadem dla czytelnika.

Nie byłem w tym odosobniony. Wielu dziennikarzy piszących o dyktaturze robiło podobne rzeczy, większość dziennikarzy robi to od czasu do czasu. I nie tylko dziennikarzy. Pisarze znajdują się w podobnej sytuacji. Graham Greene w autobiografii zwraca uwagę, że „każdy powieściopisarz ma coś wspólnego ze szpiegiem: podgląda,

podsluchuje, szuka motywów, analizuje charaktery i służy literaturze bez skrupułów”. Lecz do jakiego stopnia można nie mieć skrupułów? Jakie środki uświęca cel „literatury”?

III

Wieczorem w przeddzień wyjazdu za mur urządziłem przyjęcie dla przyjaciół i znajomych poznanych w Berlinie Zachodnim, otwierając wysokie podwójne drzwi łączące pokoje w mieszkaniu przy Uhlandstrasse 127. Według mojego dziennika, poszedłem spać za piętnaście piąta rano w poniedziałek, 7 stycznia 1980 roku, wstałem kwadrans po szóstej, skończyłem się pakować, napisałem kilka ostatnich listów, a następnie pojechałem samochodem przez Checkpoint Charlie i posterunek graniczny NRD („wszyscy się uśmiechają”), wzdłuż zasypanej śniegiem Unter den Linden, przez Alexanderplatz i Schönhauser Allee do mojego nowego mieszkania w robotniczej dzielnicy Prenzlauer Berg, przy Erich-Weinert-Strasse 24.

IM „Schuldt” z mojej teczki przypomniał mi, jak ono wyglądało. Pisząc starannie na maszynie, z pojedynczym odstępem między linijkami, notuje: „Jest to stosunkowo niewielki pokój (jak na stary budynek) z oknem wychodzącym na ulicę. Drzwi do pokoju zamykane są od wewnątrz na zamek, który, jak się wydaje, założono całkiem niedawno. Oprócz łóżka, stołu i dwóch krzeseł rzuca się w oczy przede wszystkim duży kredens, na którym lokator – jak zauważyłem – poustawiał głównie książki. Gazety położono na stole (przede wszystkim zauważyłem numery „Sonntag”), a notatki na marginesach świadczyły o intensywnym czytaniu. Oprócz nich było tam kilka słowników”. Nie zwrócił uwagi – być może dlatego, że był do tego przyzwyczajony – na ogólną obskurność, brudnawożółte ściany, brązowe linoleum na podłodze, tandetny plastikowy abażur i lodowate zimno.

W tym pokoju, z ciemnym obłym kredensem, mieszkałem dziewięć miesięcy, opuszczając Berlin Wschodni 7 października 1980 roku, w 31. rocznicę ustanowienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. W czasie obchodów rocznicy, jak zwykle, odbyła się defilada wojskowa, którą rutynowo oprotestowali zachodni sprzymierzeni jako pogwałcenie statusu Berlina, rządzonego przez cztery mocarstwa. Statusu uzgodnionego z Rosjanami w 1945 roku i wciąż teoretycznie obowiązującego. Idąc oglądać paradę, spotkałem wesołego amerykańskiego czarnego żołnierza, spacerującego po Alexanderplatz z ogromnym pluszowym misiem, maskotką olimpiady w Moskwie. Gdy Młodzi Pionierzy, komunistyczni skauci i skautki, rozdawali czekoladki i kwiaty żołnierzom z pułku gwardii „Friedrich Engels”, zobaczyłem, jak angielski oficer w mundurze khaki i zielonym berecie biega tu i tam z przenośną drabinką, filmując całe to wydarzenie. Później gwardziści Engelsa odmaszerowali z goździkami wetkniętymi w lufy karabinów.

Książki historyczne notują, że między styczniem a październikiem 1980 doszło do intensyfikacji konfliktu Wschód–Zachód. W maju RFN niechętnie dołączyła do bojkotu moskiewskich Igrzysk Olimpijskich, któremu przewodzili Amerykanie, jako formy protestu przeciwko sowieckiej okupacji Afganistanu – choć najwyraźniej amerykański komunikat nie dotarł do owego żołnierza na Alexanderplatz. Pod koniec sierpnia fala strajków w Polsce zakończyła się podpisaniem porozumienia ze strajkującymi w Stoczni im. Lenina w Gdańsku. W porozumieniu tym uznano prawo robotników do utworzenia niezależnych związków zawodowych, co było ustępstwem bezprecedensowym w historii komunizmu. Nowy związek nazwano „Solidarność”. Niektórzy komentatorzy mówili o tym okresie jako „początku drugiej zimnej wojny” – było to mocne określenie, przeoczone jednak fakt, iż zimna wojna nigdy się tak naprawdę nie zakończyła.

Moje życie zaczęło się wówczas włączać bezpośrednio w tę zewnętrzną historię. Najpierw w NRD, a potem w Polsce życie publiczne spłotło się z prywatnym. Fizyczna odległość mojego dużego mieszkania w Zachodnim Berlinie od małego pokoju w Berlinie Wschodnim wynosiła niecałe piętnaście kilometrów; psychologiczny dystans – kilka tysięcy. Wpadałem do Berlina Zachodniego dość często: w mojej teczce zanotowano skrupulatnie datę i godzinę każdego przekraczania granicy. Przyjaciele z Berlina Zachodniego dzwonili i odwiedzali mnie w moim obskurnym mieszkaniu.

Niemniej już dziesięć dni po przeprowadzeniu się na wschodnią stronę notowałem z przekonaniem: „Odczuwam coś więcej niż obojętność do [słowo nieczytelne] kontaktów z moim zachodnioberlińskim życiem... Odczuwam czynną awersję. Dlaczego? Ponieważ większość ich spraw to sprawy (relatywnie) nieważne. Jest rzeczą ważną, że poniża się i kaleczy ludzi w imię Równości, Pokoju i Sprawiedliwości. Jest rzeczą ważną, że wsadza się kogoś do więzienia na długie lata tylko za to, że chciał opuścić państwo, w którym zdarzyło mu się urodzić. Jest rzeczą ważną, co dzieje się w Afganistanie”. A miesiąc później, po tym, jak zadzwoniła Irene: „Ach, tam ten świat, «związków międzyludzkich» przez telefon, wiecznych problemów ze «związkami międzyludzkimi»”.

W Berlinie Wschodnim dalej miałem pracować nad doktoratem o Trzeciej Rzeszy. Teczka zawiera referencje napisane przez moich oksfordzkich nauczycieli, Tima Masona i Tony’ego Nichollsa, dla British Council, która zorganizowała mój pobyt jako pierwszego przyjeźdnego doktoranta na mocy nowej umowy kulturalnej. Tim Mason był nauczycielem inspirującym i, co bardzo rzadkie wśród oksfordzkich historyków, był marksistą, chociaż bardzo niekonwencjonalnym, angielsko-empirycznym. I rzeczywiście, nie został zakwalifikowany przez Stasi jako marksista; w moich aktach oceniono, iż pisze „z burżuazyjno-

-demokratycznej pozycji”. Na ścianie jego pokoju w St. Peter’s College wisiał plakat z Marksem i Engelsem, głoszący: „Wszyscy rozmawiają o pogodzie – a my nie!” Doskonale podsumowywało to bezdenną pogardę, jaką Tim Mason żywił dla trywialności angielskiej klasy średniej, jego zainteresowanie sprawami ważnymi i twardą purytańską etykę zawodową. Wypadki potoczyły się tragicznie – kilka lat później odebrał sobie życie.

Czuję wzruszenie – i mam poczucie długu – czytając napisany przez Tima ciepły list rekomendujący. Obawiam się, że wraz z Tonym Nichollsem byli potem rozczarowani, że nie skończyłem doktoratu o Berlinie pod rządami Hitlera, sądząc jednak, że rozumieli to, co zrobiłem zamiast niego. W swych najlepszych przejawach oksfordzka szkoła historii tolerowała odmienność, a nawet ekscentryczność. „W domu Historii jest mieszkań wiele” – oświadczał krypto-biblijnie ówczesny profesor historii współczesnej, Richard Cobb, sam będący czystej krwi badaczem najdalejszych granic dyscypliny, na jednym ze swoich nie zawsze całkiem trzeźwych, mało uczęszczanych, jednak dla mnie absolutnie zachwycających wykładów, wygłaszanych w jakimś mrocznym kącie uniwersytetu w melancholijne piątkowe popołudnia.

W rzeczywistości, nadal spędzałem czas w archiwach, choć władze NRD umożliwiły mi jedynie bardzo ograniczony dostęp do odpowiednich akt. Prawdopodobnie głównie z tego powodu, że przeczytanie w całości nazistowskich akt wykazałoby, jak relatywnie mały i być może jak bardzo spenetrowany przez gestapo był komunistyczny ruch oporu przeciw nazizmowi; podczas gdy enerdowskie państwo zbudowane zostało na micie wielkiego „oporu antyfaszystowskiego” pod wodzą komunistów. Pracowałem także w starej Państwowej Bibliotece Pruskiej przy Unter den Linden, w tak zwanym Specjalnym Wydziale Badawczym, zawierającym wszystkie książki i czasopisma, których państwo zabraniało czytać zwykłym obywatelom. Potocznie

nazywano go „komodą trucizn”. Gdy czytałem pożółkłe strony nazistowskiej gazety „Völkischer Beobachter”, wyższy oficer z pułku gwardii „Feliks Dzierżyński”, będącego wojskowym ramieniem Stasi, siadał przy stoliku obok i studiował numery zachodnioniemieckiego ilustrowanego magazynu informacyjnego i zachodnie pismo poświęcone uzbrojeniu.

Podobnie jak mój wzrok wędrował od nazistowskiej gazety do oficera Stasi, tak i moja uwaga przenosiła się od Niemiec Hitlera do Niemiec Honeckera. Powziąłem wówczas mocne postanowienie napisania książki o współczesnej dyktaturze niemieckiej. Komunistyczna bieda wprowadziła duże uproszczenia w moim codziennym życiu: jeden mały pokój zamiast pięciu dużych, jeden rodzaj ciężkiego, czarnego chleba w ponurym państwowym sklepie na rogu, zamiast dwudziestu różnych rodzajów chleba, bułek, różków i ciastek w piekarni nieopodal mojego mieszkania przy Uhlandstrasse. Wspomagany tymi przymusowymi uproszczeniami mogłem się bardziej skoncentrować na jednej rzeczy i rozpocząłem gromadzenie informacji.

IM „Schuldt” słusznie zauważył, że szczegółowo studio wałem prasę. Oglądałem telewizję, słuchałem radia, czytałem więcej współczesnych powieści, zastępując tym częściowo brak wolnej prasy, i często chodziłem do teatru. „Berliner Ensemble” był wówczas w zasadzie jedynie mauzoleum Brechta, natomiast w „Deutsches Theater” i „Volksbühne” odkryłem rodzaj wyrafinowanego kulturalnego oporu, który tak dobrze znałem z badań nad Berlinem lat trzydziestych. Czasami były to te same teatry, a nawet te same teksty. Pamiętam na przykład elektryzującą interpretację fragmentów poematu *Niemcy. Opowieść zimowa* Heinego w „Deutsches Theater”:

I wojsko pruskie widziałem znów,
Zmiany u nich nieduże.

Głośny śmiech.

Jak czaple patrzą z dumnych sztyj
Z sztywnością wymuskań.
Całkiem jak gdyby polknęli kij
Którym za młodu ich prano.

Bo tutaj nigdy nie znikł bat,
Tkwi teraz w ciemni ich wnętrzy.
I w poufałym „ty” wciąż ślad
Dawnego „on” jeszcze brzęczy

(przełożył Stanisław Jerzy Lec)

W pełni wykorzystałem swoją nietypową swobodę poruszania się, gdyż jako doktorant miałem wizę na cały kraj, w przeciwieństwie do akredytowanych korespondentów gazet zachodnich, którzy musieli ubiegać się o zezwolenie na podróżowanie poza rogatki Berlina i prawdopodobnie śledzono ich skrupulatniej niż mnie. Mój dziennik lamentuje nad horrendalnymi rachunkami za naprawy samochodu, gdy jeździłem po kraju wyboistymi drogami. Do Lipska na targi, gdzie po raz pierwszy widziałem z bliska przywódcę partii Ericha Honeckera, i zdziwiło mnie, że jest taki niski. Do Drezna na rocznicę zbombardowania miasta przez wojska angielsko-amerykańskie w lutym 1945 roku: „Ach, dlaczego to zrobiliście?” – zapytała mnie w kawiarni kobieta w średnim wieku. Do Greifswald, by odwiedzić mojego przyjaciela Rolfa-Achima Krügera, studiującego tam wówczas medycynę; na bałtycką wyspę Rugię; do Schwerinu, z Andreą i jej byłym mężem, na bardzo złe przedstawienie *Fausta* Goethego. Potem, jak mogłem najczęściej, na zalesione wzgórze Turyngii, mojej ulubionej krainy w Niemczech, i oczywiście do Weimaru, tego miejsca skrajności w historii Niemiec. Po powrocie do stolicy poszedłem kiedyś z polskim przyjacielem do „Ballhaus Berlin”, lokalu dansingowego, w którym wciąż przy stolikach były telefony z indywidualnymi numerami. Wypatrzywszy ładne dziewczyny, wykręciliśmy ich numer. Ale to był Berlin Wschodni, telefon więc oczywiście nie działał.

Zazwyczaj jednak udawało mi się rozmawiać z ludźmi wszędzie, gdzie byłem, a potem zapisywałem to, co mi opowiedzieli. Początkowo były bariery podejrzeń, wzmocnione przez strach przed Stasi. Nie stosuję tutaj retrospektywnej oceny; przestrzegali mnie przed tym otwarciem przyjacieli. W Schwerinie powiedziano nam: „Uważajcie! Aktor grający Fausta pracuje dla Stasi”. Od szpiclów roіło się jak od much na targach w Lipsku. Rolf-Achim zastanawiał się kiedyś, czy w moim samochodzie nie ma podsłuchu, gdy jechaliśmy autostradą, śpiewając protestsongi Wolfa Biermanna, których mnie nauczył. „Gałęzie wybuchają zielenią – śpiewaliśmy, pędząc w ciemnościach nocy – wkrótce zobaczycie, co jest grane”.

Jadałem często w pobliskim barze w Prenzlauer Berg, z lakierowanym drewnianym wnętrzem i zniszczonymi życiem kelnerkami. Ponieważ wolne krzesła w barach niezmiennie należały do rzadkości, zwykle musiałem dzielić z kimś stolik. Gdy kiedyś piłem piwo, czekając na ociekający tłuszczem *wiener schnitzel*, trzej młodzi robotnicy głośno narzekali na służbę wojskową. Nagle przestali rozmawiać i spojrzeli podejrzliwie na milczącego, uważnie przysłuchującego się im sąsiada. Rozpoczęło się nieoficjalne przesłuchanie, które prowadził krępy, muskularny mężczyzna w koszulce z napisem „University of California”, bez palca u prawej dłoni. „No dobra, mówisz, że jesteś historykiem – warknął. – Powiedz w takim razie, gdzie się urodził Karol Marks”. Na szczęście, znałem właściwą odpowiedź. „W porządku, a kto w 1930 był przywódcą KPD [Komunistycznej Partii Niemiec]?” Znów dobra odpowiedź. „Hmmm, a kto doprowadził Hitlera do władzy? Tylko mi nie mów – nie mógł się już dłużej powstrzymać – że to ci cholerni kapitalistyczni monopolisci”.

Moja angielska karta czekowa ostatecznie rozwiązała ich podejrzania. „California” przeprosił mnie i później opowiedział trochę o sobie. Jego rodzice mieszkali w Berlinie Zachodnim. W nocy, gdy postawiono mur – miał wówczas

trzy lata – był akurat u dziadków w Berlinie Wschodnim. Władze NRD nie wypuściły go. Przekazano go potem rodzinie zastępczej, stracił palec w czasie służby wojskowej, a obecnie pracuje jako kierowca ciężarówki. Czasami przyjeżdża do niego ojciec z Berlina Zachodniego w odwiedziny błyszczącym, najnowszym modelem mercedesa i przywozi mu jakiś mały prezent. Stąd koszulka „University of California”.

Taka była jego opowieść. Być może, nie wszystko jest prawdą. Na pewno były ważne szczegóły – na przykład skomplikowana sytuacja rodzinna – o których nie wspominał. Niemniej jednak prawnik zajmujący się takimi przypadkami ustalił, że gdy postawiono mur w sierpniu 1961 roku, aż 4 tysiące dzieci zostało odseparowanych od rodziców. Tajny raport, jaki znalazłem niedawno w dokumentach kanclerza Willy Brandta, zawierał przypuszczenie, iż w sierpniu 1972 roku w NRD trzymano wciąż ponad tysiąc takich dzieci. Tak więc opowieść „Californii” mogła być prawdziwa: był jednym z tych, którym nie udało się wy dostać.

Tak czy owak, jego nienawiść do systemu była bardzo głęboka. „Afganistan? – mówił. – Amerykanie powinni wkroczyć tam z Pakistanu i wypędzić Rosjan”. Potrzebowaliby, oczywiście, zaproszenia, ale Rosjanie pokazali już, jak można to załatwić. Wystarczy spojrzeć na zaproszenie ZSRR przez czechosłowackich komunistów, by „ocalili” Czechosłowację w 1968 roku, czy niedawne zaproszenie do Afganistanu wystosowane w tym samym celu przez Babraka Karmala.

Przy Erich-Weinert-Strasse w oficynie na poddaszu mieszkał znajomy, należący do umiarkowanej opozycyjnej sceny artystycznej Prenzlauer Berg. Miał nieustannie dwudniowy zarost, pisał wiersze i komponował. Ochrzciłem go „Młody Brecht”. Jako uczeń w 1968 roku, w ramach protestu przeciwko sowieckiej inwazji na Czechosłowację, zorganizował z przyjaciółmi czytanie wspaniałej piosenki

antynazistowskiej Brechta ze *Szwejka na drugiej wojnie światowej*:

Wszystko się zmienia. I największe plany
Potężnych ludzi los do bajek kładzie,
Z placu jak kogut schodzę pokonany,
Wszystko się zmienia, któż ma nad tym władzę?

(przełożył Andrzej Braga)

Napisał potem w pełnym emocji liście do przyjaciela: „tworzymy grupę oporu”. Został za to skazany na dwa i pół roku więzienia, w którym spędził ostatecznie piętnaście miesięcy. Zanim go wypuszczono, jego matka wyemigrowała na Zachód. Nie zezwolono jej go odwiedzać; jemu nie pozwolono jeździć do niej.

Udało mu się zdać egzamin na Uniwersytet Humboldta, ale jako byłego więźnia nie przyjęto go. Wówczas sam zwrócił się o pozwolenie na wyjazd. Odmówiono mu. Żona go rzuciła. Pracował przez trzy dni w tygodniu na cmentarzu, a resztę czasu spędzał w środowisku cyganerii Prenzlauer Berg. Pamiętam, że korespondentka czołowej zachodnioniemieckiej gazety, która także znała Młodego Brechta, powiedziała mi, iż udało mu się całkiem dobrze urządzić sobie życie za murem.

„California” i Młody Brecht byli przypadkami skrajnymi. Bardziej typowe było małżeństwo, od którego Uniwersytet wynajął dla mnie pokój. Inteligentni, wykształceni, dobrze poinformowani dzięki oglądaniu zachodniej telewizji, praktycznie jednak całą energię skierowali na prywatne życie, a w szczególności na rozbudowywanie, dekorowanie i utrzymywanie domku nad niewielkim jeziorkiem, jakieś półtorej godziny samochodem od Berlina. Własnymi rękami odbudowali ten domek, łącznie z – co mi z dumą pokazali – elektryczną pompą wodną, zadaszoną werandą, oświetleniem do wieczornej gry w ping-ponga, niewielkim własnym pomostem i pontonem z silnikiem.

Moja przyjaciółka Andrea także skoncentrowała się na życiu prywatnym, wychowywaniu dzieci w urokliwej atmosferze podupadłej starej willi na dalekich przedmieściach Berlina. Spędzało się tam leniwe popołudnia w ogrodzie, jeździło na rowerach, pływało i żeglowało. Mała idylla, zwłaszcza dla dzieci. „Wewnętrzna emigracja” i „apolityczni Niemcy” – to wielkie formuły, za którymi kryją się takie egzystencje.

Umyślnie nie szukałem towarzystwa zachodnich korespondentów, częściowo dlatego, że chciałem dowiadywać się sam, a częściowo, ponieważ sądziłem, że mogłoby to wzbudzić podejrzenia władz. Niemniej jednak widywałem się często z Markiem Woodem, korespondentem Reutera. Na ścianie ponurego biura Reutera przy Schönhauser Allee wisiał przybity gwoździem zwój starej żółknącej taśmy teleksowej. Był to przygotowany zawczasu nekrolog zastępcy Hitlera, Rudolfa Hessa, wówczas jedyne więźnia alianców pozostającego w twierdzy Spandau. Jednym z poprzedników Marka w tym biurze był znany pisarz Frederick Forsyth, autor słynnej wiadomości Reutera. Pewnej nocy w kwietniu 1964 roku, wracając późno do biura, zobaczył rosyjskie czołgi wjeżdżające do centrum miasta. Wysłał teleksem do Londynu pilną, dramatyczną wiadomość – „osiem dzwonek”, co oznaczało na tych starych teleksach, że dzwonek faktycznie zadzwonił po drugiej stronie osiem razy – po czym poszedł zbadać sprawę. Gdy już wiadomość o nadchodzącej trzeciej wojnie światowej obiegnęła świat, uświadomił sobie, że były to tylko przygotowania do regularnej defilady pierwszomajowej. Wkrótce odwołano go z berlińskiego biura.

Pewnego śnieżnego dnia w styczniu Mark i ja pojechaliśmy oglądać otoczone murem i dokładnie strzeżone osiedle w Wandlitz, gdzie znajdowały się wille najwyższych przywódców partyjnych, specjalne sklepy i rozległe ogrody. Młody strażnik przy bramie spisał nas z paszportów. Gdy udając niewinność, spytaliśmy, co znajduje się na tym

terenie, odpowiedział nerwowo, że nic. Potem wyższy oficer poinformował nas, że jest to „obiekt wojskowy”.

W swoich aktach znajduję raport sporządzony przez naczelnika wydziału głównego PS (ochrona osobista, odpowiedzialny za bezpieczeństwo przywódców) dla naczelnika wydziału XX/4. To getto, które sami sobie zbudowali przywódcy partyjni, nazwane tam jest „obiektem mieszkalnym naszych czołowych przedstawicieli”. Według tego raportu, pojawiliśmy się o 17.55, podjeżdżając ciemnozielonym Alfasud (w rzeczywistości granatowym), zapytaliśmy o drogę do restauracji w Wandlitz i o 18.15 zostaliśmy „wydaleni z terenu obiektu”. Z raportu wynika także, co nie jest zaskakujące, że Mark znajdował się pod kontrolą wydziału II/13 (dziennikarze), ja zaś podlegałem wciąż pod XX/4 (Kościoły) ze względu na koneksje z pastorem Bukiem.

Gdy siedzieliśmy kiedyś o pierwszej w nocy, popijając w mieszkaniu obok biura Marka, zadzwonił telefon. Odgłos ciężkiego oddychania, potem cisza. Pół godziny później telefon znowu zadzwonił i czyjś głos powiedział: „Widzę, że masz gościa”. Doszliśmy do wniosku, że są znudzeni lub po prostu chcą, byśmy poszli już spać. Wiedząc, że mieszkanie jest na podsłuchu, z lubością krytykowaliśmy głośno ostatni artykuł „Edwarda Marstona” – mój pseudonim w „Spectatorze”. „Czy widziałeś ostatni kawałek Eddiego Marstona, Tim?” „Tak. Okropny, prawda? Znowu pewnie był pijany”. Teraz proszę Frau Schulz, by sprawdziła, czy istnieje teczka tego wroga ludu lecz, niestety, centralny indeks nie odnotowuje nikogo pod Marston Edward.

Mark, który jest obecnie redaktorem naczelnym Reutera, dowiedział się po zjednoczeniu, że w sąsiednim mieszkaniu znajdowało się centrum inwigilacji Stasi, przewody z tablicy rozdzielczej biegły do wielu urządzeń podsłuchowych zamontowanych w ścianie mieszkania należącego do Reutera, w tym kilku w sypialni. Mieli oni także stanowisko obserwacyjne po drugiej stronie ulicy.

Techniczna strona inwigilacji Stasi przekraczała nawet najdziksze fantazje Zachodu.

Moim najulubieńszym miejscem i schronieniem przed ogólną szarżą i konformizmem było probostwo Wenera Krätschella. Werner, rosły mężczyzna o szerokiej, prawdziwie luteranckiej twarzy z silnie zarysowanymi kośćmi i głębokim, śpiewnym głosem, pochodził z długiej linii pruskich żołnierzy i pastorów. Gdy wzniesiono mur w sierpniu 1961 roku, był dwudziestojednoletnim studentem teologii i był właśnie, nielegalnie, na wakacjach w Szwecji. Po długich dyskusjach z bratem postanowił w końcu wrócić na Wschód. Grupa zachodniobermberskich studentów, zajmujących się podrabianiem dokumentów ludziom, którzy chcieli wyostać się z NRD, trochę zdezorientowana przygotowała mu fałszywe dokumenty umożliwiające powrót do kraju, którego oficjalnie nie opuścił. Dziś Werner mówi, że może tylko w połowie rozwikłać prawdziwy splot motywów, z powodu których podjął tę niezwykłą decyzję powrotu, ale na pewno jednym z nich było poczucie, że będzie „bardziej potrzebny tam” niż na Zachodzie.

Z pewnością był tam potrzebny. Jako pastor otaczał pasterską opieką społeczność, która potrzebowała tego przynajmniej tak samo jak każda inna, pomimo roszczeń ideologicznego państwa do zapewniania pełnej opieki od kołyski po grób. Później, jako dziekan w Pankow, coraz częściej czuł się powołany do zajmowania się ludźmi, którzy traktowali kościół raczej jako trybunę wolności, gdzie można było wypowiadać kilka prawd, niż miejsce wiary w Prawdę objawioną.

Przy kawie lub winie Werner opowiadał mi piękną, trochę staromodną niemiecką o swych wysiłkach negocjacji z urzędnikami partyjnego państwa. Tkwiąc w tradycji Dietricha Bonhoeffera i antynazistowskiego Kościoła Wyznającego w okresie Trzeciej Rzeszy, wciąż uważał, że dialog z komunistami może być owocny. Opowiedział mi także o represjach i kosztach, jakie poniosła jego rodzina.

Jego najstarszemu synowi Joachimowi, jak wielu dzieciom pastorów, nie zezwolono nawet na normalną edukację licealną. Bardzo ceniłem sobie te rozmowy i ciepłą, spokojną atmosferę starego probostwa. Od czasu do czasu szliśmy razem na obiad lub wykład, albo jechaliśmy samochodem przez wiejskie tereny Brandenburgii, mając za przewodnik *Podróże po Marchii Brandenburskiej* Fontane'a. Tak niewiele zmieniło się od stu lat!

Kilka moich spotkań z Wernerem jest opisanych w raportach obserwacyjnych: niektóre w jego teczce, niektóre w mojej, a niektóre w obu. Najkrótszy raport pochodzi z 17 października 1979 roku, gdy szpicel namierzył mnie przy Friedrichstrasse o 18.35, lecz stracił o 18.45. Według mojego dziennika, wyszedłem wówczas na odczyt komunistycznego pisarza Stephana Hermlina.

27 lutego 1980 roku zanotowano, że „Romeo”, „Buk” i jego syn udali się do biblioteki miejskiej: „O godz. 17.40 «Buk» zaparkował swój samochód marki wartburg przed budynkiem. Następnie trzy osoby weszły do biblioteki miejskiej. Zostawili płaszcze w szatni i skierowali się do sali wykładowej na drugie piętro. Tam wysłuchali wykładu o historii Prus i pruskości”. Można powiedzieć, że raport tego szpicla sam jest kolejną stronicą w historii pruskości, chociaż Werner, przejawiający romantyczne przywiązanie do pruskiego dziedzictwa, wciąż nie chce się z tym pogodzić.

W teczce Wenera znajduję ten sam raport, jak również – starannie przechowywane w miękkiej kopercie – czarno-białe zdjęcia, przedstawiające nas wchodzących do biblioteki miejskiej. Prawdopodobnie zostały zrobione z ukrytego aparatu. Oto i Werner, dobrze zbudowany o wyraźnych, silnych rysach. Miał wówczas czterdzieści lat – tyle ile ja teraz. A to młody Joachim, mała figurka z kręconymi pejsami, zdumiewająco podobny do tych małych żydowskich chłopców z niezapomnianych fotografii zaginionego świata Żydów Europy Wschodniej przed 1939 ro-

kiem. Joachim miał wówczas dwanaście lat, tyle, ile teraz ma mój starszy syn. A oto i ja, dwudziestoczteroletni, młodzieńczy, wciąż gładko ogolony, z krótkimi włosami, w tweedowej marynarce z jedwabną chustką w butonierce, sztruksowych spodniach i niewątpliwie owych oksfordzkich butach.

W moim dzienniku znajduje się zapis poprzednich 36 godzin z życia tej dawnej istoty, mnie/nie mnie. Rano lekcja polskiego. Później wizyta w ambasadzie Albanii: „Albańska raki i rozmowa”, tajemniczo donosi dziennik. Skok do ambasady brytyjskiej, by odebrać korespondencję, która była tam dostarczana zarówno dla mnie, jak i dla kilku innych Anglików mieszkających w NRD, ten sposób wydawał się bowiem szybszy i bezpieczniejszy. Lektura przez kilka godzin. Kolacja w restauracji Stockinger przy Schönhauser Allee z Ursulą von Kardorff, pełną werwy osobą, która przeżyła wojnę w Berlinie, a wówczas pisała nowy przewodnik po mieście. Odkładając na chwilę dziennik, sięgam na półkę po przewodnik Kardorff i znajduję: „Stockinger [...] zwyczajna w typowo enerdowskim stylu z pretensjonalną kuchnią”.

Później tego samego dnia, przejściem granicznym tzw. „Charlie” do Berlina Zachodniego. Najpierw do Paris Bar, później na Kurfürsterdamm do mieszkania Ingrid Schick, „czerwone wino i hałaśliwa dyskusja od około 22. do 5.15 rano”. Stamtąd prosto na wczesne śniadanie do całonocnej kawiarni „Mau Mau”. Powrót przez granicę do Berlina Wschodniego, w domu tuż przez siódmą, „spotkanie na schodach ze strażnikiem granicznym, wychodzącym właśnie do pracy”. Dwie godziny snu. Trochę pracy w bibliotece. Spotkanie z doktorem Dempsem, „opiekunem” wyznaczonym mi przez uniwersytet. Następnie wyprawa z Wernerem i Joachimem na ów wykład o Prusach i pruskości. Potem wspólna kolacja znowu w Stockinger. I do łóżka.

Werner został moim bliskim przyjacielem. Kiedy kilka lat później urodziło się moje pierwsze dziecko, Werner zo-

stał jego ojcem chrzestnym: wujkiem Wernerem zza muru. Razem pracowaliśmy nad zdobywaniem materiałów do tej książki. Wkrótce po zjednoczeniu poznał pułkownika Wieganda, wyższego funkcjonariusza Stasi odpowiedzialnego za Kościoły. Wiegand powiedział mi, że szczególnie zainteresował ich telefon, jaki Werner wykonał do mnie do Oksfordu z mieszkania przyjaciela w Berlinie Zachodnim, w czasie jednej z rzadkich okazji, gdy pozwolono mu wyjechać. Werner sądził, że telefonowanie z Zachodu jest bezpieczne, lecz najwyraźniej Stasi mogło namierzyć każdy telefon w Berlinie Zachodnim. Do podsłuchiwania telefonów między Berlinem Zachodnim a RFN służyła wymyślna stacja nasłuchowa, stosownie zlokalizowana na górze Brockenu, miejscu sławnego sabatu czarownic. Sprzęt był tak zaprogramowany, by można było nagrywać każdą rozmowę, w której pojawiało się konkretne słowo lub nazwisko.

Do sierpnia 1980 roku zgromadziłem odpowiednią ilość materiału, by zacząć pisać. Pożegnawszy się z Andrea, pojechałem pociągiem do Włoch, gdzie rozpocząłem pracę nad książką, zatrzymując się u przyjaciół, Sally i Grahama Greene'ów. Byłem bardzo zawiedziony zachodnimi relacjami na temat NRD, które wówczas się pojawiały, często pisane przez ludzi z pokolenia '68, buntujących się przeciwko temu, co uważali za toporny antykomunizm starszego pokolenia. Tak na przykład ani słowa „Stasi”, ani „Służba Bezpieczeństwa Państwowego” czy „tajna policja” nie pojawiały się wcale w dwudziestostronicowym indeksie do najlepszej książki o NRD opublikowanej wówczas w Anglii. Za to praca Jonathana Steele'a *Socialism with a German Face: The state that came in from the cold* kończyła się wnioskiem, iż wschodniemiecki „ogólny system społeczny i ekonomiczny stanowi wzorowy model tego rodzaju autorytarnych państw dobrobytu, którymi stały się obecnie narody Europy Wschodniej”. Lecz wzorowy dla kogo? Nie dla

większości Niemców z NRD, których spotkałem. Nie popierałem prawicy przeciwko lewicy. Mój sprzeciw wobec tych opisów budziło nie to, że były one lewicowe, lecz to, że były błędne – niedokładne, częściowe, protekcyjne, głuche na proste prawdy, które wypowiadali ludzie w rzeczywistości tam mieszkający. Chciałem to po prostu opisać tak, jak było naprawdę.

W moim opisie Stasi istniało. „Podejrzliwość – pisałem – uderza w barze, czai się w telefonie, podróżuje z tobą w pociągu. Gdzie dwóch lub trzech się zbierze, tam będzie podejrzliwość”. Cytowałem zachodnie szacunki, według których dla tajnej policji pracowało co najmniej 100 tysięcy informatorów. Szczególnie interesował mnie sposób, w jaki reżim komunistyczny wykorzystywał stare niemieckie tradycje i nawyk posłuszeństwa.

W kilka dni po rozpoczęciu pracy serwis światowy Radia BBC podał informację o rozpoczęciu strajku okupacyjnego w Stoczni Gdańskiej imienia Lenina. Włoskie gazety drukowały niewyraźne fotografie wąsatego robotnika o nazwisku Lech Wałęsa. Natychmiast zrozumiałem, że muszę tam być. Przerwałem wakacje i pojechałem pociągiem z powrotem do Berlina. Siedząc w bufecie dworcowym w Monachium, przeczytałem w „Le Monde”, że strajkujący odrzucili rządową propozycję zbudowania specjalnego sklepu zamiast żądanego przez nich pomnika upamiętniającego robotników zabitych podczas poprzedniej fali protestów nad Bałtykiem. Woleli symbol od jedzenia. W poniedziałek wczesnym rankiem wszedłem do Ambasady Polskiej w Berlinie Wschodnim po wizę i wkrótce byłem już w Stoczni Lenina.

Siedziałem z nie ogolonymi, wycieńczonymi strajkującymi, oglądając w telewizji zakończenie plenum Komitetu Centralnego, a gdy pokazano przywódców partii wstających, by zaintonować *Międzynarodówkę*, ludzie wokół mnie spontanicznie zerwali się i zaczęli śpiewać hymn Polski. „Wyklęty, powstań ludu ziemi” – odezwał się telewi-

zor. „Jeszcze Polska nie zginęła – ryknęli strajkujący – póki my żyjemy!” Wszystkie ręce wystrzeliły w górę w geście zwycięstwa. Jednak wszyscy mieliśmy świadomość, że sowieckie czołgi mogą znów wkroczyć, tak jak dwanaście lat wcześniej, gdy zdusiły Praską Wiosnę.

IV

Źródła, które Stasi uznawało za najważniejsze, stanowili „nieoficjalni współpracownicy”, czyli IM. Byli niezwykle liczni. Według wewnętrznych danych, w 1988 roku – ostatnim „normalnym” roku NRD – Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwa miało ponad 170 tysięcy „nieoficjalnych współpracowników”. Z tego około 110 tysięcy stanowili stali informatorzy, reszta zamieszana była w usługi „konspiracyjne”, jak wynajmowanie mieszkań na tajne spotkania, lub była wymieniana jako wiarygodne kontakty. Samo Ministerstwo posiadało ponad 90 tysięcy pełnoetatowych pracowników, z których niecałe 5 tysięcy służyło w skrzydle zagranicznego wywiadu HVA. Zestawiając pełną liczbę pracowników z dorosłą populacją w tym samym roku, widać, że mniej więcej jeden na pięćdziesięciu dorosłych obywateli NRD miał bezpośredni związek z tajną policją. Gdy dodamy tylko jednego bliskiego krewnego do każdej z tych osób, wówczas relacja wynosi jeden do dwudziestu pięciu.

Hitlerowcy nigdy nie mieli tak wielu. W 1941 roku liczba pełnoetatowych pracowników gestapo, tajnej policji nazistów, na o wiele większym terytorium Wielkich Niemiec, z Austrią i dzisiejszą Republiką Czeską włącznie, wynosiła niecałe 15 tysięcy. Nawet dodając Służbę Bezpieczeństwa Rzeszy i inne zbliżone jednostki, nie osiągnie się proporcji Stasi. Nie mamy oficjalnych danych statystycznych co do liczby stałych informatorów, wszystko jednak wskazuje na to, że liczba ta także była o wiele mniejsza. W czasie swego stosunkowo krótkiego istnienia, zaczynając od powszechnego entuzjazmu, a kończąc na pięciu i pół latach wojny,

Trzecia Rzesza opierała się zasadniczo na ochotniczych denuncjacjach – co odkryłem w owych zakurzonych aktach Sądu Ludowego. W NRD reżim na początku nie był specjalnie popularny, lecz im dłużej trwał, tym bardziej rozrastała się sieć informatorów.

Wygląda na to, że moją osobą zajmowało się pięciu. Ich informacje i operacyjne możliwości były dokładnie oceniane przez porucznika Wendta. Gdy badam teraz ich raporty na mój temat, identyfikuję te osoby, odnajduję je i rozmawiam z nimi osobiście, zdaję sobie sprawę, że ingeruję nie tylko we własną przeszłość, lecz także w życie tych osób, kiedyś na krótko skrzyżowane z moim.

Nie jestem ofiarą tych informatorów, jak stało się z wieloma obywatelami NRD. Nie wyrządzili mi żadnej poważnej szkody. Jednakże opierając się na wiedzy, jak działał cały system, można śmiało przypuścić, że wyrządzili szkody innym. Nie wiem, do jakiego stopnia byli oni typowymi informatorami Stasi, choć znam dostatecznie dużo innych przypadków, by stwierdzić, że niektóre elementy są wspólne. Ale fakt, iż donosili na mnie, daje mi szczególną możliwość sprawdzenia wiarygodności teczek – i być może głębszego zrozumienia. Dlaczego to robili? Czym to dla nich było? Jak widzą to teraz?

Rozpoczynam od owego „IM z HVA I – opiekuna G. na HUB [Uniwersytecie Humboldta w Berlinie]”, który, według wstępnego planu działania, miał być włączony do „działań operacyjnych”. Moim opiekunem był Laurenz Demps, człowiek, którego znałem całkiem dobrze. Był rosyjskim, jowialnym berlińczykiem o niezwyklej znajomości historii miasta i skłonnościach do czarnego humoru. Wciąż mam piękny tom rysunków Heinricha Zillego, który dał mi w prezencie na pożegnanie. Był także wiernym członkiem partii, żywiącym romantyczną nostalgię za dniami, gdy w Berlinie czasów weimarskich komuniści toczyli walki uliczne.

Jego przypadek interesuje mnie szczególnie, gdyż należy on do stosunkowo nielicznej grupy wschodnioniemieckich historyków, którzy utrzymali swoją pozycję po zjednoczeniu kraju z RFN. Co więcej: zdobył tytuł profesora Instytutu Historii Uniwersytetu Humboldta pomimo rygorystycznej czystki dokonanej wśród dawnego personelu przez nowe, zachodnie władze uczelni. Zanim spotykam się z samym Laurenzem Dempsem, omawiam tę sprawę z dyrektorem Instytutu, Heinrichem Augustem Winklerem, wybitnym zachodnioniemieckim historykiem, oraz ze Stefanem Wolle, Niemcem z NRD, który nie poszedł na polityczne kompromisy, konieczne dla pięcia się po drabinię kariery akademickiej pod rządami komunizmu, i obecnie rozpoczyna karierę ze stosunkowo niskiej pozycji. Obaj zwracają uwagę, że Demps, w przeciwieństwie do wielu swoich kolegów, przeszedł bez szwanku przez intensywne uniwersyteckie procedury lustracyjne. Decydujące w tych przypadkach jest badanie przez Urząd Gaucka, znane potocznie jako „zgauckowanie”.

Jednak łatwo można by wyjaśnić to, że Laurenz Demps otrzymał świadectwo zdrowia od Urzędu Gaucka, jeśli był informatorem wywiadu Markusa Wolfa – HVA. Większość dokumentów tych służb została zniszczona – lub, jak czasem się mówi, przetransportowano część z nich do Moskwy. Klaus Eichner, rumiany na twarzy były pułkownik HVA, opowiada mi, jak już z końcem jesieni 1989 roku zajmowali się oni niszczeniem i paleniem najbardziej drażliwych akt oraz usuwaniem kart swoich agentów z centralnych archiwów Ministerstwa. Na jakiś czas zostało to wstrzymane w połowie stycznia 1990 roku, gdy zajęto siedzibę Stasi. Później jednak, po niezwyklej decyzji wschodnioniemieckiego Okrągłego Stołu, HVA, jedyne wśród wszystkich wydziałów Stasi, zostało formalnie upoważnione do kontynuowania swego „samorozwiązywania”. Tak więc przez całą wiosnę i początek lata niszczyli oni wszystkie akta, dzięki którym można by zidentyfikować poszczegól-

nych agentów i informatorów. „Niszczyłem własnym rękami pracę mojego życia” – mówi pułkownik Eichner.

Nazwiska z dwóch dodatkowych kopii indeksu dotarły tymczasem do zachodnioniemieckich władz, a niektórzy wyżsi funkcjonariusze Wolfa zaczęli zeznawać, co stanowiło materiał dowodowy dla pewnej liczby procesów. Źródła te dotyczą jednak głównie agentów pracujących na Zachodzie. Informator wywiadu zagranicznego bywa demaskowany zwykle wtedy, gdy zdarzy się, że jest wymieniony w aktach innych wydziałów. W przeciwnym wypadku wyjdzie z opresji obronną ręką: nie jako groźny dla otoczenia „gauck-pozytywny” lecz, jak Laurenz Demps, z wynikiem „gauck-negatywnym”. Kolejny odkrywczy kolokwializm: mieć przeszłość Stasi to tak, jakby mieć AIDS.

„Można temu wierzyć albo nie – mówi Stefan Wolle, który sam studiował na uniwersytecie w latach siedemdziesiątych – ale ludzie mówili, że Demps miał do czynienia ze Stasi”. I dodaje: „No cóż, jeśli chcesz go powiesić...” Mówi to jednak z pewnego rodzaju cierpkim znuzeniem; słyhać w tych słowach: „no cóż, jeśli naprawdę musisz...” Tak mówi Stefan, który od upadku komunizmu energicznie domagał się radykalnej czystki wśród dawnych współpracowników Stasi.

„No cóż, jeśli chcesz go powiesić...” Jakże ogromna odpowiedzialność. Za pomocą raptem ośmiu słów z jednej teczki – „IM z HVA I – opiekun G. na HUB” – mogę, jeśli zechcę, zrujnować człowiekowi karierę, może nawet życie. IM jest bowiem pocałunkiem śmierci. Jakież mam prawo, by bawić się w sędziego i kata? I po co? Rzeczywista zawartość dwustronicowego dokumentu zatytułowanego „kopia raportu IM”, przesłanego Wydziałowi II/9 przez HVA w lipcu 1980 roku, jest całkowicie nieszkodliwa. Przypisuje doktorowi Dempsowi moją ocenę jako pracującego wytrwale i dokładnie, z burżuazyjno-liberalnym nastawieniem – chociaż „bez przywiązania do klasy pracującej” – i kończy się sugestią (pobożnym życzeniem), że powinien on pojechać

do Oksfordu jako recenzent mojej pracy doktorskiej. Raport ten nie uczynił mi żadnej szkody.

Jedynie wyraźna identyfikacja Dempsa jako informatora sprawia, że rzecz staje się poważna. Jeśli to prawda, wówczas historyczna sprawiedliwość nakazywałyby poinformować o tym uniwersytet, z którego usunięto innych uczonych, będących informatorami. Słowo „usunięto” nie jest wystarczająco precyzyjne. Nie zakazano im całkowicie pracy, a jedynie zwolniono ze szczególnie newralgicznych stanowisk – nauczycieli akademickich. Ponadto nie wszyscy ci, których zidentyfikowano jako informatorów, zostali zwolnieni z pracy. Według pierwszego zachodnioniemieckiego rektora uniwersytetu, jeden na sześciu profesorów i jeden na dziesięciu pracowników uniwersytetu pracował w tajnej policji komunistycznego reżimu lub w jakiś sposób współpracował z nią. Wielu spośród nich odeszło na własną prośbę, a około siedemdziesięciu zwolniono. Uniwersytecka „komisja honorowa” w wielu innych przypadkach stwierdziła, że przewinienia nie były dostatecznie poważne, by uzasadniały zwolnienie. Jeśli skrupulatnie przestrzegać sprawiedliwości, nikt nie powinien uniknąć próby, której poddani zostali inni, tylko dlatego, że zaginął zestaw akt.

Refleksje te bynajmniej nie poprawiają mojego humoru, gdy pewnego dnia w czerwcu 1995 roku dzwonię do profesora Dempsa, by umówić się z nim na spotkanie: Nie miałem z nim kontaktu od 1981 roku. Jest wyraźnie zaskoczony moim telefonem i tym, że chcę z nim „o czymś porozmawiać”, godzi się jednak na spotkanie. Dzięki swej wybitnej znajomości historii Berlina zdobył posadę w prestiżowej komisji proponującej zmiany nazw ulic w Berlinie Wschodnim: Marx-Engels-Platz na Schlossplatz, odcinek Karl-Liebknecht-Strasse na Schinkelallee, odcinek Karl-Marx-Allee na Hegelallee i tak dalej.

Jest równo jedenasta i oto i on przy stoliku przed kawiarnią. Rosły mężczyzna o ziemistej cerze i łzawiących oczach, w szarych spodniach i czerwonym pulowerze z patkami.

Nieco sztywne powitanie. Zamawiamy herbatę i kawę. Potem przystępuję do sedna sprawy. Czytałem swoją teczkę, założoną mi przez Stasi, i wygląda na to, że on znajduje się tam jako informator HVA.

– *Au weia!* – mówi Laurenz Demps.

Wyjaśniam mu, co znajduje się w aktach, i pokazuję kopie odpowiednich stron. Jego ręka drży nieco, gdy bierze dokumenty. Zapalając papierosa, strąca popiół na sweter.

– Widzi pan, jaki jestem wstrząśnięty.

– Nie, – mówi, nie był informatorem, nie miał nic wspólnego ze Stasi. – To dziwne, ale nigdy nie próbowali się do mnie zbliżyć. – Przypomina sobie, że rozmawiał o mnie z szefem Wydziału Kontaktów Międzynarodowych na uniwersytecie. „Jak się ten człowiek nazywał? Pamięta pan, jedliśmy razem lunch w Operncafé pewnego dnia?”

Gdy to mówi, wszystko staje się jasne. Od początku intrygował mnie fakt, iż „kopia raportu IM” przesłanego z wywiadu nie nadaje informatorowi kryptonimu, a jedynie w połowie tekstu identyfikuje mojego rozmówcę pod pełnym nazwiskiem: „Tow[arzysz] doktor Laurenz [nazwisko zamazane]”. Niemniej jednak, rozumując dalej, jeśli porucznik Wendt z kontrwywiadu Stasi czytał to i uznał, że Demps był informatorem wywiadu, dlaczego miałbym mu nie wierzyć? Wendt musiał wiedzieć, co robi. Być może, wywiad rządził się nieco innymi zasadami niż reszta ministerstwa.

Teraz zrozumiałem, że informatorem był ów człowiek z uniwersyteckiego Wydziału Kontaktów Międzynarodowych – a ktoś na jego stanowisku bez wątpienia miał kontakty, które interesowały szpiegów Wolfa. Dokumentem, który przekazał wywiad, była kopia jego raportu, stąd pojawienie się doktora Dempsa pod prawdziwym nazwiskiem. To porucznik Wendt okazał się w swej pracy nieporządny, gdyż opuścił informatora i jego źródło.

Demps, wczytując się w raport, zwraca uwagę, że choć większość informacji bez wątpienia pochodziła od niego,

są tam także rzeczy, których nie wiedział – jak mój kontakt z panem Wildashem z brytyjskiej ambasady. „Proszę spojrzeć na to zdanie” – mówi i obaj pochylamy się nad dokumentem. Dwaj historycy dyskutują interpretację pierwotnego źródła.

Najpowszechniejszą pierwszą reakcją IM jest, jak mi powiedziano, całkowite odrzucenie zarzutów. Odpieranie zarzutów ma miejsce czasami jeszcze długo po przedstawieniu informatorowi niepodważalnych dowodów; jest to negacja zarówno w sensie psychologicznym, jak i prawnym. Natomiast reakcja Laurenza Dempsa wydaje mi się reakcją niewinnego człowieka, a jego wyjaśnienia natychmiast przekonują. Po powrocie do Oksfordu stwierdzam, że wciąż mam notatki z tamtego lunchu w Operncafé z (jak się okazało) 27 marca 1980 roku. Opisuję tam w następujący sposób szefa Wydziału Kontaktów Międzynarodowych: „Smart Alec/Flash Harry. Brązowa kurtka. Krzykliwy krawat. Wąsy Sancho Pansy”. Zwróciłem uwagę na wymuszoną przyjaźliwość obu członków partii, demonstracyjne stosowanie popularnego *Du* wobec siebie i bardziej oficjalnego *Sie* w stosunku do mnie. Flash Harry studiował „naukowy komunizm” w Lipsku. – Wie pan, że krąży tutaj taki dowcip – powiedział mi konfidencjonalnie przy kolejnym kieliszku. – Mówi się „dyktatura proletariatu”. Proletariat widzę, ale gdzie jest dyktatura? – I tak dalej. Z zadowoleniem dowiaduję się od Laurenza Dempsa, że ten nieprzyjemny typ dawno już opuścił uniwersytet. Ciekaw jestem, co teraz robi.

A jak sam Demps postrzegał mnie wówczas?

Wskazuje na raport Stasi: „W dużej mierze tak, jak tu napisano! Bardzo interesującą rzeczą było mieć angielskiego studenta, choć, wie pan, jak to jest, studenci zawsze zabierają cenny czas na własne badania”. A potem pyta, jak ja go postrzegałem.

Odpowiadam, że jako przekonanego komunistę i kogoś z prawie romantycznym poglądem na przedwojenną partię komunistyczną.

– To prawda – odpowiada, dodając jednak, że wielu rzeczy nie mówiło się obcokrajowcom. Według moich notatek z 1980 roku, powiedział mi wówczas podczas lunchu: „Nie oczekujemy, że wstąpi pan do Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii [...]. Chcemy tylko, żeby traktował nas pan poważnie i powiedział ludziom w Anglii, że jesteśmy ludźmi poważnymi”. Potem jednak dodał na boku coś od siebie: „Czy mógłby pan splunąć w moim imieniu na grób Churchilla?”

Był to prawdopodobnie jeden z tych żartów, dzięki którym straciłem ochotę na dalsze kontakty w czasie kolejnych wizyt w NRD. Niemniej mam jedynie współczucie – i odrobinę podziwu – dla sposobu, w jaki znosi wstrząs, który mu zafundowałem.

– Myślałem o wielu rzeczach, gdy pan zadzwonił – mówi – ale nigdy o tym. Niedawno przysłano mu kopie akt przyjaciela, w których on sam pojawia się jako podejrzany, ponieważ przewodniczył prywatnej grupie dyskusyjnej. Co do mojej wzmianki o romantyzmie, zamyśla się: „No tak, ale romantyzm może być niebezpieczny”.

Wkrótce zegnamy się, gdyż ma oprowadzić wycieczkę amerykańskich studentów po Wilhemstrasse. – Po tym wszystkim – mówi – strzelę sobie dużego sznapsa. – Nadal widać, że jest wstrząśnięty, jak człowiek, który przez chwilę stał pod szubienicą. Gdyby był prominentną postacią publiczną, a ja niesumiennym dziennikarzem, bez wątpienia mógłby zostać „powieszony”. Wyobrażam już sobie artykuł w „Spieglu” – tak często czytało się je w ostatnich latach – z dołączoną niewielką czarno-białą fotografią strony z teczki, na której obciążającą linijkę zakreślono na czerwono: „IM z HVA I – opiekun G. na HUB”. Obciążającą, lecz błędną.

Natomiast mnie samemu bardzo, ale to bardzo ulżyło. Nie mogę się doczekać, kiedy wrócę do hotelu i zadzwonię do Winklera i Wollego i wyjaśnię im pomyłkę Stasi.

Jakiś czas później Stefan Wolle przesyła mi faksem wycinek z gazety o nowo założonym Berlińsko-Brandenburskim Stowarzyszeniu Pruskim. Z członków założycieli w artykule wspomniane jest tylko jedno nazwisko: „historyk z Uniwersytetu Humboldta Laurenz Demps”.

Podano tam numer telefonu, a gdy dzwonię, Stowarzyszenie Pruskie przesyła mi plik informacji. Dowiaduję się stamtąd, że Stowarzyszenie służyć ma kultywowaniu „prawdziwych wartości i cnót pruskich” oraz ma „położyć kamień węgielny pod duchową odnowę naszej ojczyzny”, gdyż Niemcom zagraża degeneracja w „wielokulturowy zlepek nietolerancyjnych indywidualistów”. W statucie Stowarzyszenia znajduje się specjalna wzmianka o „filozoficznych pismach Fryderyka Wielkiego”. Autor artykułu programowego wychwala odwagę króla i jego żołnierzy podczas bitwy pod Lutynią w 1757 roku. „Prawdziwa pruskość”, jak pisze, wiąże się z patriotyzmem, bezinteresownością, tolerancją, skromnością, lojalnością oraz poczuciem obowiązku, a także z „cnotami drugorzędnymi, jak punktualność, zamiłowanie do porządku i czystości”.

V

Najpracowitszym z donoszących na mnie informatorów jest „Michaela” z Weimaru. 9 stycznia biuro w Erfurcie składa raport wydziałowi kontrwywiadu II/13 (dziennikarze), iż ponownie byłem w kontakcie z ich IMV, „Michaelą”. Erfurt załącza także spisana z taśmy rozmowę z jej mężem, poprzednio nazywanym „Georg”, obecnie zaś „Michael”. W rozmowie tej doktor Georg przypomina swoje doświadczenia z czasów, gdy pracował dla Reutera w Londynie, począwszy od 1943 roku. Jako zastępca kierownika redakcji europejskiej, miał kłopoty, redagując artykuły pisane przez takich „zaprzysiężonych wrogów ZSRR”, jak „Richard Löwenthal [...]”, obecnie profesor nauk politycznych na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie”, Alfred Geiringer i Szwajcar Jon Kimsche.

I tak oto teczka Stasi, jak papierowy wehikuł czasu, przenosi mnie nie piętnaście, lecz całe pięćdziesiąt lat wstecz, do Anglii czasów wojny. Owe trzy nazwiska, które wymienia, reprezentować mogą wielu uchodźców z Europy Środkowej, którzy schronili się wówczas w Londynie: mężczyźni i kobiety, którzy zawdzięczali wolność oporowi, jaki Anglia stawiała Hitlerowi i którzy potem wiele w zamian zrobili dla Anglii i Europy. Na następnej stronie mógłbym równie dobrze przeczytać o Arthurze Koestlerze, André Deutschu, Sebastianie Haffnerze, Georgu Mikesie lub o pewnym środkowoeuropejskim uchodźcy, pracującym wówczas jako komentator wydażeń europejskich dla brytyjskiego i północnoamerykańskiego serwisu BBC, teraz znanym całemu światu jako George lord Weidenfeld of Chelsea.

Doktor Georg, komunista, rozmawiał o problemach cenzurowania „zaprzysiężonych wrogów ZSRR” z towarzyszem Hansem [nazwisko zamazane], który zajmował podobne stanowisko w tygodniku „Time”. Jego problemy z redagowaniem tych antysowieckich komentarzy – „tak by usunąć najbardziej szkodliwe fragmenty” – pogłębiły się, jak stwierdził, pod koniec wojny i zdecydował się skontaktować z odpowiednią sekcją Ministerstwa Wojny, by znaleźć posadę w powojennych Niemczech. Tak też zrobił „za zgodą naszych towarzyszy – kierownictwo londyńskiej grupy przejął tymczasem Feliks Albin (Kurt Hager)” (Kurt Hager stał się potem jednym z najdłuższych urzędujących członków enerdowskiego politbiura i głównym ideologiem partii). Ministerstwo Wojny w swej mądrości powierzyło temu niemieckiemu komuniście zadanie stworzenia „pierwszej [powojennej zachodniemieckiej] agencji informacyjnej DENA w Hamburgu”. Zorientowanie w geografii, jakie wykazali angielscy urzędnicy, było bodaj tak samo rozchwiane jak ich polityczne sądy, gdyż doktor Georg zdołał ich przekonać, iż droga z Londynu do Hamburga wiedzie przez Berlin.

Tak więc 13 maja 1946 roku otrzymał oficjalną, ręcznie pisaną zgodę na podróż do Berlina. „Zostało ustalone z towarzyszami w Londynie, że powinienem zgłosić się do KC [...]. Miejscowi towarzysze mieli zdecydować, czy mam podjąć pracę w Hamburgu, czy pozostać w Berlinie”. Po długich dyskusjach zdecydowano, że powinien pozostać w Berlinie i stworzyć wschodniemiecką agencję informacyjną, „ale skończyłem w sowieckiej agencji informacyjnej w Weissensee”.

Napisał do szefa rodzącej się agencji hamburskiej, wyjaśniając, że nie może podjąć pracy z powodów politycznych, gdyż nie zgadza się z polityką Wielkiej Brytanii wobec Niemiec. Doktor Georg wspomina także, z widocznym rozbawieniem, że gdy nie dawał znaku życia przez prawie dwa i pół tygodnia, w angielskich gazetach pojawiły się ar-

tykuły o jego tajemniczym zniknięciu i spekulacje, że został być może porwany przez Rosjan. Rozmowa kończy się podsumowaniem: „Od mojego powrotu do SBZ [Sowieckiej Strefy Okupacyjnej] nie miałem żadnych bliskich kontaktów z ludźmi, których poznałem podczas mojej działalności w Londynie”.

Do tego autoportretu doktora Georga z czasów wojny trzeba dodać dwie rzeczy. Pierwsza dotyczy jego ówczesnego szefa w agencji Reutersa, Christophera Chancellora. Zapis rozmowy w mojej teczce zawiera tylko informację, że doktor Georg dowiedział się, że Chancellor skrytykował jego decyzję opuszczenia Reutersa, odbierając ją jako „aroganczką”. W trakcie pisania tej książki spotkałem syna Christophera Chancellora, Alexandra, mojego dawnego redaktora naczelnego ze „Spectatora”, na pewnym przyjęciu wydanym przez naczelnego „Timesa” na cześć naczelnego „New Yorkera”. Wśród ogólnego gwaru zapytałem go, czy kiedykolwiek słyszał, by jego ojciec wspominał niejakiego Georga (tu podałem prawdziwe nazwisko), i wyjaśniłem okoliczności. Przez moment gorzki smak pogmatwanej historii Europy Środkowej zmieszał się z szampanem owego pięknego letniego wieczoru w północnolondyńskim ogrodzie. Alexander wstukał nazwisko do swojego przenośnego komputera i powiedział, że musi skonsultować się ze swym starszym bratem. Kilka tygodni później spotkaliśmy się ponownie i poinformował mnie o wynikach swoich poszukiwań. Jego brat nie znał tego nazwiska. Jednak przypomniał sobie, że mniej więcej w tym czasie ich ojciec wracał do domu zmartwiony i zły z powodu rewelacji o sowieckich szpiegach pracujących u Reutersa.

Druga sprawa dotyczy ówczesnej sympatii doktora Georga: Alice „Litz” Philby. Kim Philby odszedł od Litz – komunistki żydowskiego pochodzenia – w 1936 roku, gdy pozował na sympatyka faszyzmu i popierał stronę frankistów w hiszpańskiej wojnie domowej. Tymczasem Litz za-

mieszkała w Paryżu i wygląda na to, że poprzez nią Philby utrzymywał kontakty z sowieckim wywiadem. W 1939 roku przeniosła się do Londynu i zdołała wydostać swoich rodziców z Wiednia – w samą porę. W Londynie związała się z doktorem Georgiem. Okoliczności ostatecznego rozwodu z Philbym i wyjazdu z Anglii są dość niejasne, jednakże w roku 1947 przyjechała do doktora Georga do Berlina i tam go poślubiła, używając podczas ślubu panieńskiego nazwiska. Po dziewięciu latach oni z kolei się rozwiedli. Doktor Georg ożenił się później z „Michaelą” i przeniósł się do Weimaru. Litz została w Berlinie.

Na początku mojego pobytu w Berlinie Wschodnim odwiedziłem tę kobietę, której życie było tak blisko związane z historią XX wieku. Rozmawialiśmy przy popołudniowej herbacie i wiedeńskich makaronikach w jej niewielkim mieszkaniu przy Karl-Marx-Allee. Na półkach stały książki Tennysona, Keatsa, *Oxford Book of English Verse* i *Szkola dyktatorów* Ignazia Silone. W moich zapiskach pojawia się obraz niedużej, energicznej kobiety z wiedeńskim akcentem i kręconymi włosami, „wyglądającej młodo jak na swój wiek” – miała wówczas siedemdziesiąt lat – i, jak to dziwnie określiłem, „przesadnie docieklivej”. „Czy to dzięki szkoleniu dla sowieckich agentów?” – pytałem siebie. „A może ostrożność ze względu na złe doświadczenia z obcokrajowcami? Czy też po prostu – najbardziej odpowiadająca mi hipoteza – nawyk wiedeńskiej burżuazji?” Była to prawdopodobnie mieszanka wszystkich tych rzeczy. Po burzliwej młodości ostatnie dwadzieścia lat przed emeryturą spędziła, dubbingując zagraniczne filmy dla państwowego dystrybutora. Korzystała teraz z dobrej państwowej emerytury jako „kombatantka walki z faszyzmem”.

Opowiadała z czułością i podziwem o Kimie. – Był bardzo błyskotliwy – powiedziała, ostatnie dwa słowa wymawiając po angielsku – i miał wielki talent do języków. – Był jednak, dodała, „raczej powściągliwy”. Pewna była, że powstanie robotników w Wiedniu 1934 roku i jego brutalne stłumienie

było przełomowym doświadczeniem, które ukształtowało go jako przekonanego komunistę. W rzeczywistości, ona także odegrała w tym procesie ważną rolę. To dzięki niej młody człowiek z chłodnej starej Anglii zetknął się ze światem politycznych emocji, szybkich, gorących przyjaźni, pozornie prostej solidarności i pewnie także w niemałym stopniu seksualnego wyzwolenia. Co więcej, to prawdopodobnie ona wprowadziła go do sowieckiego wywiadu.

Trudno mi było pytać ją o sprawy seksu. Zapytałem za to, czy oboje wybraliby tę samą drogę, gdyby wiedzieli, co naprawdę działo się w ZSRR w latach trzydziestych. Po długim milczeniu odpowiedziała bardzo poważnie: „Naprawdę nie mogę na to odpowiedzieć. Musi się to panu wydawać niewiarygodne, ale wcale o tym nie wiedzieliśmy...”

Co myślała teraz o NRD?

– Cóż, powiedzmy, że nie jest tak, jak mieliśmy nadzieję lub wierzyliśmy, że będzie.

Krytykowała powszechny brak zaufania, strach i tchórzostwo przywódców, brak wolności wypowiedzi i wolności podróżowania oraz przywileje – nawet swoje własne. Jednakże wciąż wierzyła w coś, co nazywała socjalizmem. „Czy jest jakaś alternatywa? Ja nie widzę żadnej”.

Powróćmy do teczki. „Michaela” donosi, że 5 stycznia 1980 roku otrzymała ode mnie egzemplarz katalogu wystawy zatytułowanej „Między oporem a konformizmem. Sztuka niemiecka 1933–1945”. Potwierdza, że pismo, którym napisano dołączone pozdrowienia, oraz pismo na świstku papieru, na którym napisałem swoje nazwisko podczas swej ostatniej wizyty, jest takie samo. „W celu podjęcia dalszych środków mających na celu zacieśnienie kontaktu oraz *Blickfeldmassnahmen* [specjalne określenie Stasi, oznaczające obserwację] wysłałam list z podziękowaniem na podany poniżej adres:

Tim Gartow Ash
Kunstgalerie
Berlin-West”.

Pod spodem napisano „Michaela”. Raportu nie podpisano ręcznie, jednakże dopisek na dole świadczy o tym, że odnosi się to do akt IM.

Cztery miesiące później pojawia się notatka „oparta na ustnej informacji podanej przez IMV «Michaelę»”, w której donosi ona, iż mąż poinformował ją, że ponownie usiłowałem ich odwiedzić w czasie weekendu 26–27 kwietnia. Doktor Georg uchylił się od spotkania, twierdząc, że jest chory. Niemniej jednak dowiedział się o szczegółach mojej wizyty w Weimarze od lekarki, która się nim opiekowała. Mężem lekarki okazał się Eberhard Haufe, „samodzielny badacz literatury niemieckiej”. Zatrzymałem się wówczas właśnie u tych ludzi.

Pamiętam ten weekend. W Weimarze odbywały się w tym czasie „Dni Shakespeare’a”, a głównym wydarzeniem miał być wykład George’a Steinera. Był to charakterystycznie brawurowy występ, od *Leara* po *Wieczór trzech króli*, poprzez *Edypa* i *Don Giovanniego*. Potem byłem na kolacji z wielkim Steinerem. Miałem wrażenie, że było coś szczególnie stosownego w rozmowie z nim tutaj, w Weimarze, w cieńcu Buchenwaldu – będącym kwintesencją owej niepokojącej bliskości wysokiej kultury i barbarzyństwa, co tak wymownie zauważał sam Steiner. W moich notatkach niewiele jest na temat tej rozmowy: „Miał ochotę jedynie na plotki – toteż plotkowaliśmy, bezlitośnie, bezustannie, lawinowo przez ponad godzinę w czasie kolacji w [Hotelu] Elephant. Czy słyszał pan historię o profesorze X? itd. «Jakże musi panu tego wszystkiego brakować!»” W moich notatkach pojawia się rozczarowanie, które dzisiaj uważam za trochę niesprawiedliwe; przecież wielki człowiek przez resztę dnia rozprawiał o wielkich sprawach.

Niemniej jednak to nie Shakespeare ani George Steiner, lecz Goethe i Eberhard Haufe sprawili, że weekend ten pozostał w mojej pamięci.

*Wen den Dichter will verstehen
Muss in Dichters Lande gehen.*

By zrozumieć poetę, trzeba odwiedzić jego kraj, pisał Goethe, a żadne miejsce w Europie nie nadaje się do tego lepiej niż Weimar. Po pierwsze, dom Goethego, z doskonale zachowaną biblioteką i pulpitem: Hebbel nazwał go je-dynym polem bitwy, z którego Niemcy mogą być dumni. Następnie Schloss Kochberg, gdzie Goethe wielbił Charlottę von Stein, zanim poszedł do łóżka z bardziej przy-tulną Christiane. Dalej dom Schillera, grób dwóch ksią-żąt-poetów i wspaniałe parki: nad rzeką Ilm i Tiefurt, a także park przy Schloss Belvedere – gdzie dwieście lat po księżnej Annie-Amalii mieszkała IM „Michaela”.

Duch tego miejsca doskonale się w moim odczuciu łączył z towarzystwem Eberharda Haufego i jego rodziny, z którymi, jak notuje mój dziennik, spacerowałem po par-kach i zwiedziłem Schloss Kochberg. Eberhard Haufe był niedużym, delikatnym mężczyzną, o dokładnym i nieco staroświeckim sposobie mówienia. Od końca lat pięćdzie-siątych, gdy zwolniono go z powodów politycznych z uni-wersytetu lipskiego, działał jako redaktor i krytyk, pra-cując nad wydaniem niemieckich klasyków oraz swoją szczególną pasją, Johannesem Bobrowskim, poetą europej-skiego Wschodu.

Spacerując prowadziliśmy jedną z tych intensywnych rozmów o książkach, ideach i polityce, które często odby-wałem z intelektualistami i duchownymi w Europie za że-lazną kurtyną, rzadziej jednak na Zachodzie. Tutaj docho-dził jeszcze urok pobytu w Weimarze ze specjalistą od kla-syków niemieckich i miałem wrażenie, gdy szliśmy przez park Tiefurt, że ta siwa, delikatna postać obok mnie to nie tylko znawca intelektualistów klasycznego Weimaru; to jeden z nich. Należał do pewnego kontinuum, a nasza roz-mowa obejmowała dwieście lat. Rozmowa o znaczeniu po-jęcia *Humanität*, centralnego dla niemieckich pisarzy od Goethego do Thomasa Manna.

W przeciwieństwie do enerdowskich przewodników po Weimarze, doktor Haufe nie miał złudzeń, by pojęcie

Humanität zostało przyswojone przez reżim Niemieckiej Republiki Demokratycznej – mimo iż umieszczono Goe-thego na dwudziestomarkowym banknocie. Reżim ten był dla niego zaprzeczeniem *Humanität*. Opowiedział mi o otwieraniu listów przez Stasi i podsłuchiwanie rozmów telefonicznych, i o swoich długich walkach z cenzurą, któ-ra miała obiekcje wobec zredagowanej przezeń książki pod tytułem *Niemieckie listy z Włoch*. NRD usiłowała wcielić w życie ideologiczny werdykt Kurta Hagera, głoszący, iż nie ma już narodu niemieckiego, lecz tylko „naród socjali-styczny” i „naród kapitalistyczny” – stąd walka o to, by usuwać zewsząd przymiotnik „niemiecki”, nawet z nie-szkodliwej książki doktora Haufego.

Jako pożegnalny prezent dał mi niewielki tom, który zredagował. Pisząc te słowa, mam go przed sobą. Nosi ty-tuł *Niewczesna prawda* i zawiera aforyzmy, krótkie fragmen-ty prozatorskie i esej „o rozgłosie” autorstwa zapomnia-nego niemieckiego pisarza z początku dziewiętnastego wieku, Carla Gustava Jochmanna. Pochodzący z Rygi i zainspirowany doświadczeniami życia w Anglii w niespo-kojnych latach 1812–1814 Jochmann z pasją dowodził poli-tycznego znaczenia wolności słowa. W redaktorskim po-słowiu z 1975 roku Haufe zdołał przemycić te wywrotowe poglądy przez enerdowską cenzurę, posługując się chy-trym manewrem: „ponieważ [Jochmann] przemawia z mro-ków zacoфанego, ograniczonego świata burżuazyjnego, mówi także wciąż niewinnym głosem intelektualnej pra-wości i tęsknoty. Opinia publiczna nie była wówczas jesz-cze rozpoznana jako «fałszywa świadomość», przykrywka dla interesów wyłącznie klasy burżuazyjnej, jak pół poko-lenia później dla młodego Marksa”. Czytelnicy, mający długie doświadczenie w czytaniu między wierszami, z łatwością odczytali przesłanie i pierwsze wydanie zostało natychmiast rozkupione.

W moim egzemplarzu na karcie przedtytułowej zna-lałem dedykację napisaną drobnym, starannym pismem:

„Gdzie walczy się przeciwko prawdzie, tam ona już zwyciężyła, C.G. Jochmann. Z wiarą w prawdę tego i podobnych zdań, serdecznie dedykuję tę książkę Timothy’emu Gartonowi Ashowi – Eberhard Haufe, Weimar 27 IV 1980”.

Była to więc niezwykła i wzruszająca wizyta. Nie sprawia takiego wrażenia w raporcie Stasi sporządzonym przez „Michaelę”. Jestem tam nieuprzejmym, niepożądanym gościem: „Wieczorem G. zignorował dyskretne uwagi, iż rodzina H. uważa rozmowę za zamkniętą i doprowadził do tego, że gościnnie rodzina zaproponowała mu nocleg”. Następnie ocenia ona doktora Haufego i jego żonę, twierdząc, że „oboje charakteryzuje burżuazyjny styl życia [...]”. Sądzę, iż zdobywają oni informacje z RFN-owskich środków masowego przekazu”. Niemniej jednak podkreśla ona, iż nie są oni wrogami „naszego systemu społecznego”. W końcu zwraca uwagę na potrzebę osłaniania źródła (tzn. jej), gdyż „tylko nasze dwie rodziny wiedzą o wizycie tego Anglika”. Przesyłając kopię raportu do Berlina, podpułkownik Maresch, szef kontrwywiadu w biurze w Erfurcie, dodaje, iż rodzina Haufów jest obecnie inwigilowana przez jego jednostkę.

Miesiąc później „Michaela” składa raport z kolejnej wizyty, jaką im złożyłem. Najwidoczniej nie rozpoznałem wówczas córki doktora Georga z pierwszego małżeństwa, którą poznałem już wcześniej podczas wizyty u jego pierwszej żony, byłej pani Philby. „Michaela” twierdzi, że zmieszałem się bardzo i nie zdołałem przekonywająco wyjaśnić, czy interesowałem się tak naprawdę żydowskim oporem wobec nazizmu, czy Kimem Philbym (odpowiedź brzmi: jednym i drugim). Dowiedziała się także od pani Haufe, że odwiedziłem ich ponownie i poszedłem na Cmentarz Goethego z ich synem Christophem, który studiował w Jenie. Na dole strony porucznik Küntzel zapisał kolejne środki, jakie należy przedsięwziąć. W tym poinformowanie „Michaeli”, iż ma ona utrzymywać ze mną kontakt, oraz dalszą inwigilację Christophą Haufego w Jenie.

Dla niego, studenta z podejrzanej rodziny, mogło to mieć poważne konsekwencje. W tym systemie kilka krech od Stasi mogło przyczynić się do usunięcia z uniwersytetu. Jest to więc przypadek, gdy nieszkodliwa gadanina „Michaeli” groziła komuś, kto był bezbronny i, w przeciwieństwie do mnie, nie mógł po prostu wyjechać z kraju. Ale w ostatecznym rozrachunku to ja byłem źródłem niebezpieczeństwa.

Mija kolejny miesiąc i tym razem „Michaela” załącza tekst kartki pocztowej, którą jej wysłałem, podając moje numery telefonu we Wschodnim i Zachodnim Berlinie. Gdy wydział II/9 odpowiedział, że IM musiała błędnie odczytać numery, biuro w Erfurcie wysłała im kserokopię kartki pocztowej, zauważając wyniośle, iż „informacja podana przez naszą IM została potwierdzona”. Podpisano „pp. podpułkownik Maresch”. Ta absurdałna biurokratyczna przepychanka trwała dwa miesiące, od czerwca do sierpnia; przez ten czas prawie skończyłem zbieranie materiałów do książki i wyjechałem do Włoch, by zacząć pisać.

Teraz, piętnaście lat później, wysyłam kopie tych dokumentów do Haufów, wyjaśniając, że mam zamiar pisać o aktach, że chciałbym ich znów odwiedzić w Weimarze i zapytać „Michaelę” – jeśli jeszcze tam jest – dlaczego to robiła i czy ma coś do powiedzenia na ten temat. Zdaję sobie oczywiście sprawę z tego, że mogą oni nie być życzliwie nastawieni do całego tego przedsięwzięcia. Jednakże przyjacielska dedykacja na książce Jochmanna *Niewczesna prawda* pozwala mi mieć nadzieję, że moja wizyta w 1980 roku nie była aż tak niepożądana, jak mogłoby się wydawać z akt Stasi.

Gdy dzwonię jakiś czas później z Königswinter nad Renem, doktor Haufe mówi mi, że z przyjemnością się ze mną spotka. Haufowie witają mnie przy Cranachstrasse z całym tym ciepłem, jakie pamiętałem sprzed piętnastu lat. Zapewniają mnie, że moja ówczesna wizyta wcale nie była niepożądana. „Próbowaliśmy sobie przypomnieć – mówi energiczna Frau Haufe. – To było dokładnie dwudziestego piątego, w urodziny Christoha. Nakryliśmy do stołu, były świeczki. Stał pan wówczas przed drzwiami. Pamiętam, że zaprosiłam pana do pokoju, posadziłam przy tamtym stole i przyniosłam jedzenie”. Znowu efekt Proustowski. „Zachowywał się pan z rezerwą, bez natrętności, którą ona panu przypisuje”.

Przez chwilę rozmawiamy o historii teczek i traktowaniu komunistycznej spuścizny. Przypominają mi, że lokalna siedziba służb bezpieczeństwa znajdowała się na przeciwległym końcu tej samej ulicy. Weimar był więc znów miejscem dwóch skrajności: doktor Haufe na jednym koń-

cu Cranachstrasse, tuż przy cmentarzu Goethego i Schillera, a Stasi na drugim. Stasi zajmowało piękną willę zaprojektowaną przez Henry’ego van de Velde, podobnie jak pobliskie Archiwum Nietzschego. Bieżące akta dotyczące Haufów zostały najwidoczniej zniszczone, zanim budynek zajęła okoliczna ludność – w tym Haufowie – 5 grudnia 1989 roku. Niemniej jednak Urząd Gaucka znalazł wcześniejsze akta z lat 1957–1958, dotyczące wydalenia go z lipskiego uniwersytetu i końca kariery akademickiej.

Został zadenuncjowany między innymi przez niejakiego doktora Warmbiera, wykładowcę marksizmu-leninizmu. Znalazłszy adres w książce telefonicznej Lipska – nie ma w niej wielu Warmbierów – Haufe przesłał mu kopie odpowiednich stron. Warmbier odpisał, przeprosił i dołączył kopie stron ze swojej teczki, wykazujące, jak on sam został wyrzucony z uniwersytetu w 1974 roku za swe coraz bardziej krytyczne poglądy i został skazany na dwa lata więzienia za „antypaństwową agitację”. Obecnie doktor Warmbier ubiega się o rehabilitację; Eberhard Haufe mówi: „Nie chciałbym być na miejscu tego, kto musi rozsądzić tę sprawę”.

A co z „Michaelą”? Cóż, mówi Frau Haufe, między nimi nigdy nie było bliskiej przyjaźni. Przyjaźnili się naprawdę z doktorem Georgiem, który pojawił się pewnego dnia z córką i powiedział: „Polecono mi panią jako pediatrę”. Teraz sądzi, że prawdopodobnie przysłało go Stasi. Był interesujący, inteligentny, dowcipny. Ostatni raz widzieli go, gdy przyszedł złożyć życzenia z okazji pięćdziesiątych urodzin doktora Haufego w 1981 roku. Trudno było wówczas o mięso, był jednak pewien rzeźnik, który robił sympatyczne niewielkie tacki z wędlinami, i doktor Georg taką tackę im przyniósł.

Ona natomiast była wulgarna i samolubna. I, jak mówi rozgniewana Frau Haufe z wyraźnym turyńskim akcentem, miała czelność powiedzieć Stasi, że mamy „burżuazyjny styl życia”! Ja, wstając o szóstej rano, by posprzątać mieszka-

nie przed pójściem do pracy, a ona, objijająca się w swoim zamku, zatrudniająca sprzątaczkę, co było bardzo rzadkie w tamtych czasach. I to ona im mówi, że my mamy burżuazyjny styl życia...

„Michaela”, będąc wyższym urzędnikiem państwowym, bez wątpienia zobligowana była do współpracy ze Stasi, nie musiała jednak być IM. Dlaczego to robiła? Prawdopodobnie dla kariery. Po śmierci męża zaczęła pracować w Berlinie, w państwowej agencji handlującej sztuką. Przedsiębiorstwo to było blisko związane z osławionym pułkownikiem Alexandrem Schalck-Golodkowskim, któremu powierzono funkcję zdobycia za wszelką cenę jak największej ilości twardej waluty dla ciężko zadłużonego państwa komunistycznego. Haufowie nie mieli z nią potem kontaktu, lecz może figuruje ona w berlińskiej książce telefonicznej...

Gdy mknę wyboistą autostradą do Berlina, tak jak za dawnych czasów, rozmyślam nad tą rozmową: teczka z jednej strony otwiera drzwi do olbrzymiego podziemnego labiryntu zapomnianej przeszłości, z drugiej jednak – sam akt otwarcia drzwi zmienia pogrzebane artefakty, jak wpuszczenie powietrza przez archeologa do szczelnie zamkniętego egipskiego grobowca.

Nie są to bowiem zwykłe doświadczenia z przeszłości odkrywane ponownie w swym oryginalnym stanie. Nawet bez dodatkowego światła rzucanego przez nowy dokument bądź pamięć kogoś innego – otwarte drzwi – nasze wspomnienia zanikają lub zaostrzają się, dojrzewają lub gorknieją, z biegiem czasu i zmianą okoliczności. Tak więc na przykład Frau Haufe z pewnością inaczej wspominała „Michaelę” w 1985 roku, gdy istniała jeszcze NRD, niż dziesięć lat później, w przededniu mojej wizyty. Jednak pod wpływem nowego światła pamięć zmienia się nieodwołalnie. Jakieś drzwi się otwierają, inne zaś zamykają. Nie ma już powrotu do własnej dawniejszej pamięci danej osoby, danego wydarzenia. Jest to jak wyznanie uczynione po latach przed kimś bliskim. Albo jak pełen wzajemnych pretensji rozwód, w którym dzisiejsza gorycz zmienia całą wspólną przeszłość – permanentnie i bez reszty. Tylko że i to gorzkie wspomnienie zblaknie i ulegnie zmianie z biegiem czasu.

Tak więc mamy do czynienia z nieskończoną liczbą wspomnień jakiegoś momentu, wydarzenia lub osoby: wspomnień, które powoli się zmieniają, z każdą mijającą sekundą, a co jakiś czas dramatycznie, po jakimś wstrząsie

lub objawieniu. Jak na jednej z tych komputerowych fotografii, na których każdy kolor, odcień lub szczegół można zmienić na ekranie, tylż że tutaj nie mamy nad tym kontroli i nie możemy powrócić do poprzedniego obrazu. Mówi się, że „przeszłość to obcy kraj”, ale tak naprawdę przeszłość to inny wszechświat.

Czy jest więc ostatecznie prawdą, że – jak pisze Thomas Hobbes we fragmencie, który James Fenton wybrał jako motto dla swojego *Niemieckiego requiem* – „Wyobrażenia i Pamięć są jednym i tym samym”? Polsko-amerykańsko-żydowski pisarz Jerzy Kosiński dawał do zrozumienia, że jako żydowskie dziecko w Polsce w czasie wojny został odłączony od rodziny, wrzucony do dołu kloaczego przez chłopów z wioski, w której się ukrywał, i w wieku lat dziewięciu stracił mowę, jak bohater jego powieści *Malowany ptak*. Powieść była lansowana, zachwalana i sprzedawana jako świadectwo Holocaustu. Jednakże badacze pojechali do tej wioski i okazało się, że wieśniacy, którzy przeżyli, pamiętają wydarzenia zupełnie inaczej: młodego Kosińskiego nigdy nie wrzucono do dołu kloaczego i ukrywał się razem z rodziną. Tak więc albo wspomnienia chłopów są błędne, albo pamięć Kosińskiego przemieszała się z wyobraźnią i uwierzył on, że te rzeczy naprawdę mu się przytrafiły, albo też świadomie udramatyzował swoje wspomnienia. Przyjaciela zaciekle go bronili. Erica Jong, na przykład, powiedziała: „Co za różnica, czy doświadczył [tego], czy nie?”

Istnieje jednak prawdziwa linia oddzielająca pamięć – nawet wyblakłą lub udramatyzowaną – czegoś, co zdarzyło się naprawdę, od wyobrażania sobie czegoś, co nie zdarzyło się nigdy. Fakty historyczne istnieją. Albo młody Kosiński wylądował w dole kloacznym, albo nie. Albo „Michaela” podpisała pisemne zobowiązanie, że zostaje informatorem Stasi, albo nie.

Dowody te, jak materiały używane do kolażu, mają różną strukturę: tutaj fragment twardego metalu, tam

skrawek wyblakłej gazety, tu znów strzępek bawełny. Reporterzy, detektywi i historycy mogą składać bardzo różne kolaże z tego samego pudełka skrawków, i jeszcze bardziej zmienić obraz za pomocą farb czy akwareli własnej wyobraźni. Istnieją jednak testy prawdy, które te obrazy muszą przejść – w przeciwieństwie do obrazów poety bądź powieściopisarza. Testy te będą stosować do każdej napisanej tu linijki. I dlatego sprawa jest tak trudna.

Po zameldowaniu się w hotelu sięgam po książkę telefoniczną. Nie ma prawdziwego nazwiska „Michaeli”. Przez moment zastanawiam się, czy nie powinienem po prostu zjawić się pod jej drzwiami – i zaskoczyć ją, jak reporter z popołudniówki – czy też zaryzykować niepowodzenie telefonując. Wykręcam numer. „Ach, Herr Esch, odwiedzał nas pan w Weimarze, prawda? Czytałam potem pańską książkę...” Wyjaśniam, że jestem na krótko w Berlinie i z pewnego szczególnego powodu chciałbym się z nią spotkać. Ustalamy, że przyjdę po południu. „Z pewnością ma pan wiele pytań – mówi. – Naprawdę cieszę się na to spotkanie”.

Szary wieżowiec w charakterystycznym socjalistyczno-nowoczesnym stylu; ma dobrą lokalizację i jest elegancki jak na enerdowskie standardy. Uprzywilejowany. Wita mnie wysoka, dość głośna kobieta: „Dzień dobry, jak się pan miewa?” Wydatne rysy, jaskrawa szminka, szare oczy za okularami w metalowych oprawkach. Spodnie i wysokie obcasy. Marlena Dietrich. Starannie urządzone wnętrze, neobiedermeierowskie meble.

– No więc – mówi pogodnie, /gdy siedzimy przy kawie i ciastkach – czym się pan obecnie zajmuje?

– Frau [prawdziwe nazwisko] – zaczynam – czy domyśla się pani, dlaczego chciałem się z panią spotkać?

Chwila milczenia, odrobinę zbyt długa, a potem: – Nie, tak naprawdę, to nie. – Znow to „naprawdę”.

Mówię jej.

– Tak – odpowiada natychmiast – na moim stanowisku każdy był do tego zobligowany. – Przychodzili do niej

mniej więcej raz w miesiącu. Jej sekretarka mówiła wówczas: „Pani dyrektor, znow ma pani gościa”. Przedstawiali się jako pracownicy lokalnych władz, podawali jednak tylko imiona: „Heinz” lub „Dieter”, lub „Michael”. Rozmowa miała charakter czysto urzędowy, *dienstlich*, *nur dienstlich*. Ale przecież nasza znajomość była wyłącznie prywatna? Tak, ale Litzy i Georg byli przekonani, że pracują dla angielskiego wywiadu, tak więc była to co najmniej sprawa półurzędowa, *halb-dienstlich*. Jak kurczowo trzyma się tej ostatniej deski ratunku – *dienstlich*.

Mówi w sposób bezpośredni, pewny siebie, potem jednak nerwowo pyta: „Co oni pisali w tych raportach?” Nie „ja”, lecz „oni”.

Podaje jej kserokopie raportów i zaczyna je czytać. Różne szczegóły oraz informacje o jej mężu robią na niej wrażenie.

Pytam, jak normalnie przebiegała taka rozmowa. Czy „Dieter” albo „Heinz” mieli notatnik? Tak, tak, mieli otwarty notatnik i skrupulatnie wszystko zapisywali. I było się zmuszonym do współpracy. Próbowano się podawać jak najwięcej nieszkodliwych szczegółów. Sądziło się też, że być może pomoże to w pracy. I czasami pomagało: w trudnościach z przyjęciem planu, w rzeczach tego typu. Stasi interweniowało i było to załatwiane. I, wie pan, była taka sprawa sądowa dotycząca dwóch obrazów Dürera z kolekcji weimarskiej, które żołnierze amerykańscy skradli pod koniec wojny. Myślała: jeśli wygramy tę sprawę, to być może wyślą mnie do Ameryki, by je odebrać! No cóż, wygrali, lecz Ministerstwo Kultury wysłało do Ameryki kogoś innego. Poskarżyła się na to Stasi.

Doktor Georg zmarł w 1984 roku, po tym, jak jego córka z pierwszego małżeństwa z Litzy Philby wyemigrowała. Na łożu śmierci powiedział, że wciąż wierzy w socjalizm. Litzy także wyemigrowała do Wiednia, by być bliżej córki, pasierbicy „Michaeli”, której niedawno zezwolono na wyjazd. Tak, Litzy pracowała dla KGB; pod koniec jednak jej

złudzenia się rozwiały i stała się stanowczo apolityczna. Później wyemigrowała również córka „Michaeli” i doktora Georga. Ona sama przeniosła się do Berlina, przeszła na wcześniejszą emeryturę – wysoką, jako wdowa po „bojowniku z faszyzmem” – i w 1987 roku wystąpiła z partii. W aktach przyjaciółki znalazła wzmiankę o kontaktach z „Żydem [prawdziwe nazwisko doktora Georga]”. Był to dla niej szok, choć oczywiście wiedziało się o ukrytym antysemityzmie. „Nie starałam się jednak o wgląd w moją teczkę, nie chcę tego”. Wygląda na to, że traktuje siebie niemal jako obiekt inwigilacji Stasi, prawie jak opozycjonistkę.

Potem jednak wraca do czytania kserokopii. Banalne, groteskowe szczegóły, które podawała o mnie, o Haufach i ich „burżuazyjnym stylu życia”, o młodym Christophe Haufe. Lista środków porucznika Küntzla, jakie należało przedsięwziąć: inwigilacja rodziny i studenta Christoph'a, poinstruowanie IM co do dalszego kontaktu. Nagle odkłada papiery i mówi: „Nie mogę dalej czytać. Jest mi niedobrze. Mam ochotę się wyrzygać”. Odwraca się i wychodzi z pokoju, a po chwili wraca płacząc. Zdławionym głosem mówi: „Tego nie można wybaczyć”. Próbuje jednak wyjaśnić.

Jej dziadek był pruskim oficerem, lecz babka Żydówką. Tak więc według nazistowskiej klasyfikacji z ustaw norymberskich, ojciec był tzw. *Mischling*. Niemniej jednak, ponieważ był utalentowanym ginekologiem, SS zatrudniło go, pomimo mieszanej krwi, w jednym ze swoich szpitali w Turynii. Po wojnie ojciec wrócił na posadę starszego lekarza w Brandendurgu, wstępując najpierw do socjaldemokracji, a później do Niemieckiej Socjalistycznej Partii Jedności, która powstała z wymuszonego zjednoczenia socjaldemokracji z komunistami. W 1945 roku miała piętnaście lat, był to dla niej czas uniesień i prawdziwej wiary w nowy początek. Była pewna, że budują lepsze Niemcy. Oczywiście, mówi, styl nowego ustroju był strasznie drobnomie-

szczański i filisterski dla kogoś z jej wychowaniem, ale cóż... Jej nadzieje powoli rozplywały się. Sowieckie stłumienie Praskiej Wiosny było dla niej ważnym momentem w procesie rozwiewania się iluzji. Jednak nawet w latach siedemdziesiątych wciąż wierzyła, że socjalizm jest lepszym systemem. W każdym razie był rzeczywistością, którą знаła przez całe swe dorosłe życie.

W 1975 roku dostała dobrą pracę w Weimarze. Razem z pracą pojawili się jednak „Dieter” i „Heinz”. Jej opowieść, pełna emocji i nieskładna, pokazuje dość wyraźnie mieszankę motywów, które skłoniły ją do kolaboracji. Nieco wiary w system. Poczucie, iż jest to służbowy obowiązek: „na tym stanowisku było się zobligowanym...” I jeszcze nadzieja, że będzie się używać Stasi do biurokratycznych rozgrywek. A także do swych własnych celów: przez Dürera do Ameryki! Co więcej, Georg i Litzy myśleli, że naprawdę jestem szpiegiem, a poza tym toczyła się wojna, prawda? Zimna wojna między jej systemem a moim.

A strach?

– Tak, oczywiście, wewnątrz był strach. Jak cholera. – Tak więc próbowało się rozwiewać jakiegokolwiek podejrzenia, pokazywać, że jest się gotowym do współpracy, wciąż gadać, podając możliwie nieszkodliwe szczegóły. „A oto, co z tego wyszło...”

Ogląda kserokopie raportów IM „Michaeli” i omal nie załamuje się ponownie, w jej oczach za metalowymi okularami pojawiają się łzy.

– Naprawdę, powinno się napisać do Haufów. – Próbuje się opanować, zmagając się z tym, co zrobiła.

– Ale to nie z tego powodu wyrzucono pana, prawda?

Nie, było to po publikacji mojej książki w RFN.

Ach, to do nich podobne. Dla nich tak naprawdę liczyła się tylko opinia Zachodu. „To powinno być dać mi do myślenia”. „I chce pan teraz coś na ten temat napisać? Chciał pan zobaczyć moją reakcję? A ja zachowałam się

właśnie tak, jak pan chciał, prawda?” Gorzko się śmieje, a potem pyta: „Czy umieści pan prawdziwe nazwiska?”

Wyjaśniam, że nie chcę nikogo krzywdzić i nie użyję jej prawdziwego nazwiska. Niemniej jednak ze względu na związki z Weimarem i Philbym trudno będzie opowiedzieć tę historię w taki sposób, by nie została zidentyfikowana, przynajmniej przez rodzinę i znajomych.

Miotają nią sprzeczne myśli i uczucia. Raz mówi: „Naprawdę, to dobrze, że mi pan to pokazał”. A potem: „Ach, cóż, może mogłabym pana pozwać do sądu i wygrać mnóstwo pieniędzy... Nie, nie, przepraszam, to tylko żart... Ale może jest jakaś obrona...”

„Tak wiele tłumiliśmy w sobie... Dlaczego nie starałam się o wgląd w moją teczkę? Ponieważ nie chciałam wiedzieć, co w niej jest... i o moim mężu... Kto wie, co tam jeszcze jest... Myślę, że tylko raz składałam tego rodzaju raporty o sprawach prywatnych. Myślałam, że to *diensulich*, ale... Cóż, mam nadzieję, że jeśli pan to napisze, będzie pan próbował wyjaśnić zarówno subiektywne, jak i obiektywne okoliczności. Jak to wówczas było. Ale to pewnie niemożliwe. Nawet ja teraz nie mogę sobie naprawdę przypomnieć...”

Rozmowa wygasa o zmroku. Co mogę powiedzieć na pożegnanie? „Miło było znów się z panią zobaczyć”. Raczej nie. Lub może: „Przykro mi, że zrobiłem to pani”? Mówię: „Kopie są dla pani. Gdyby miała pani coś do dodania, proszę do mnie napisać. Tutaj jest mój adres”.

Ona na to: „Ach, Oksford!” Niedawno spędziła tam miły dzień. Jeździ do Anglii co roku odwiedzać starych przyjaciół. Przyjaciół Litzy z dzieciństwa. „Czy napisał pan swój numer telefonu? Może następnym razem ja do pana zadzwonię!”

Gdy ściskamy sobie dłonie przy drzwiach, nie mówi „przepraszam”. Mówi: „Czym pan tu przyjechał, samochodem?”

Nie, metrem.

– Ach, to bardzo dobre połączenie, prawda? – Usiłuje zachować poczucie własnej godności i normalności, tak jak gdyby nic się nie stało. Naprawdę nic.

Gdy pół godziny później siadam w pokoju hotelowym i biorę do ręki pióro, spostrzegam, że drży mi ręka.

Można sobie wyobrazić podobne rozmowy co wieczór, w kuchniach i pokojach w całych Niemczech. Bolesne spotkania, rewelacje, zerwane przyjaźnie, zmory z przeszłości. Setki, tysiące takich spotkań, przekazujących potęgę wiedzy od Stasi do pracowników Urzędu Gaucka, a od pracowników Urzędu Gaucka do pojedynczych osób, takich jak ja. Dających nam władzę nad życiem innych – taką, jakiej większość z nas nigdy nie mogłaby mieć w innych warunkach.

Czyż w końcu nie byłoby mądrzej zgodzić się na ich szczególnie skonstruowaną mieszankę pamięci i zapomnienia, poczucie godności zbudowane na okłamywaniu samego siebie? Czy lepsza jest konfrontacja? Lepsza nie tylko dla nas samych, dla zaspokojenia własnej chęci dowiedzenia się, lecz także dla nich. Nawet „Michaela” w pierwszym odruchu powiedziała: „naprawdę, to dobrze, że mi pan to pokazał”.

Podczas naszej rozmowy stanowczo zaprzeczała temu, że Stasi uważało ją za informatora. Z początku byłam skłonny jej uwierzyć, jednak specjaliści i przyjaciele ostrzegali mnie, bym nie był tak naiwny: „Oni zawsze tak mówią”. Frau Duncker, która przejęła moją sprawę po odejściu Frau Schulz na emeryturę, sugeruje, że archiwum mogłoby poszukać teczek „Michaeli”. Zwykły petent otrzymuje jedynie kserokopie stron z teczek informatorów, które odnoszą się bezpośrednio do niego. Może także domagać się urzędowego, pisemnego potwierdzenia tożsamości ludzi, którzy na niego donosili, „na tyle, na ile wynika to jasno z dokumentów”. Jako badaczowi wolno mi, wyjątkowo, oglądać ich teczki.

Typowa teczka informatora składa się z trzech części, opracowanych według ścisłych zasad. W części I znajdują się dokumenty dotyczące biografii informatora, sposobu, w jaki Stasi skłoniło go do współpracy, w tym pisemne zobowiązanie się do pracy jako informator, osobisty wybór kryptonimu oraz własne akta, zawierające kserokopie prywatnej korespondencji, informacje podane przez innych informatorów oraz wszystko, co wiązać się może z wiarygodnością tych ludzi dla Stasi. Część II zawiera plon ich pracy: szczegółowe zapisy prowadzących ich funkcjonariuszy Stasi na temat informacji, jakie podali w czasie regularnych spotkań, zwykle w „zakonspirowanych mieszkaniach”, ich własne pisemne raporty, przeglądy rocznej pracy, plany dalszego działania itd. Część III zawiera rachunki za wszystkie koszty i „premie”, które otrzymali.

Niestety, w archiwum znaleziono jedynie część II teczki „Michaeli”, i to nie całą. Niemniej jednak ma ona prawie sześćset stron, dotyczących okresu od 1976 do 1984 roku. Weimarskie lata. Rozpoczyna się od tego, że porucznik Küntzel zapewnia „Michaelę”, że – jak to określa – „nasz organ” zagwarantuje, iż nie poniesie ona żadnych niepomysłnych konsekwencji dlatego, że została przyłapana na próbie nielegalnego wywiezienia twardej waluty z kraju podczas oficjalnego wyjazdu na Węgry. Sprawia jej to dużą ulgę. Obawiała się bowiem następstw w związku z jej późniejszymi oficjalnymi podróżami zagranicznymi. Kilka tygodni później porucznik odwiedza ją ponownie i notuje, iż wykazuje ona gotowość do pracy „z naszym organem [...] w dziedzinie jej spraw zawodowych. Uważa samą siebie za osobę nie nadającą się do innych zadań”. Jej mąż opowiadał jej trochę o tamtych sprawach. Dobrze znał Kima Philby’ego „i także pracował dla przyjaciół, będąc na wygnaniu w Anglii” („przyjaciele” to sformułowanie, jakim ludzie w NRD, często ironicznie, określali Rosjan). „Uważała, iż nie nadaje się do takiej pracy”.

Dwa miesiące później składa raport z udanej podróży służbowej do Szwajcarii – było to coś, o czym większość obywateli NRD mogła tylko marzyć. Porucznik Küntzel utwierdza ją w swojej „legendzie”, iż pracuje dla władz okręgowych. I tutaj znajduję pierwszy ręcznie napisany raport, podpisany „Michaela”.

Trzeba jednak zachować ostrożność. W aktach znajdują się także inne ręcznie pisane raporty, również podpisane „Michaela”, charakter pisma należy jednak do osoby, która przejęła od porucznika Küntzla prowadzenie z nią regularnych spotkań (ten człowiek – może „Dieter” albo „Heinz”? – nie był pełnoetatowym funkcjonariuszem, lecz informatorem, którego zadaniem było kontrolowanie innych informatorów). Niemniej jednak wyraźne, damskie pismo pojawiające się we wcześniejszych raportach wydaje się pismem samej „Michaeli”. W dodatku jeden dokument napisany tym pismem – szkic listu do *attachés* kulturalnych kilku ambasad – jest podpisany jej prawdziwym nazwiskiem, które zostało następnie przekreślone, i napisano na tym „Michaela”.

Jej drugi ręcznie pisany raport dotyczy kwestii ogromnie ważnej dla bezpieczeństwa państwa. Przez trzy strony „Michaela” skarży się na obsługę w restauracji w Hotelu Elephant. Została bardzo niegrzecznie potraktowana przez głównego kelnera, Herr Göbbla, w obecności gości z Anglii, którzy z tego żartowali. „Co więcej – pisze ona – rozkazujący ton [Herr Göbbla] został oceniony jako nie liczący z rangą hotelu międzynarodowego. Ten rodzaj gościnności nie polepsza, moim zdaniem, międzynarodowej reputacji NRD”.

15 września 1976 roku porucznik Küntzel zanotował, że podczas ich następnego spotkania odbędzie się rozmowa, mająca na celu formalną rekrutację jej jako informatora. Spotkanie odbędzie się, nietypowo, w jej mieszkaniu. Zapisu z tej kluczowej rozmowy nie ma w tej teczce, prawdopodobnie dlatego, że został on umieszczony – zgodnie ze

standardowymi procedurami – w części I jej akt, wraz z odręcznym zobowiązaniem – jeśli takie złożyła. Niemniej jednak otrzymuje wkrótce skrót oznaczający informatora mającego bezpośredni kontakt z wrogiem, IMV. Dalej w teczce określa się ją jako IMS, co w skrócie oznacza informatora zajmującego się bezpieczeństwem określonego obszaru. A więc bez wątpienia wciąż o czymś donosiła.

Pewnej jesieni, na przykład, Galerie Sztuki odwiedził ważny gość z Niemiec Zachodnich – Helmut Kohl. „Michaela” wyraża ubolewanie, że personel – zachęcany przez towarzysza [nazwisko] – nadgorliwie wykonywał swoje obowiązki, „otwierając drzwi i kłaniając się”.

To, co następuje dalej, jest już mniej zabawne. W czasie spotkań odbywających się co dwa lub trzy tygodnie – schemat ten zaburzają jedynie jej urlopy i zagraniczne wyjazdy służbowe – hojnie udziela swojego czasu i wiedzy. Składa raporty o politycznych zapatrywaniach swych podwładnych: ten skrytykował wydalenie opozycyjnego śpiewaka Wolfa Biermanna, tamten wykazał „prawie burżuazyjny stosunek do różnych problemów naszego społeczeństwa”. Składa pięciostronicowy raport z wizyty u kogoś, kogo nazywa jednym ze swych najlepszych przyjaciół na Zachodzie.

Czytając taką teczkę, można prześledzić stopniowe wciąganie informatora, jak rybę na wędkę, zaczynając od wstępnego ustalenia, by rozmawiać jedynie o „sprawach zawodowych”, a kończąc na najbardziej intymnej zdradzie. Albowiem na końcu „Michaela” donosi nawet na mieszkającego w Zachodnich Niemczech narzeczonego własnej pasierbicy. Pod hasłem „Instrukcje dla IM co do dalszych środków” porucznik Küntzel umieszcza złowrogie słowa: *Abschöpfung der Tochter*. *Abschöpfung* to kolejne techniczne pojęcie Stasi, mozolnie zdefiniowane w słowniku Stasi z 1985 roku jako „systematyczne prowadzenie rozmów celem wyzyskania wiedzy, informacji i dojść do innych osób”. Najbliższym naszym odpowiednikiem byłoby

„wysondowanie”. Tak więc „Michaela” miała wysondować swoją pasierbicę dla potrzeb tajnej policji.

Być może sama naprawdę myślała, że jest to zwykłe gadanie z „Dieterem” lub „Heinzem”, wykazujące, że jest dobrą towarzyszką i lojalną obywatelką, która nie ma nic do ukrycia. Nieszkodliwe plotki, wie pan. Być może nigdy sobie nie wyobrażała, że to wszystko jest zapisywane tak szczegółowo, choć wydaje się – jeśli rozpoznany przeze mnie charakter pisma rzeczywiście do niej należy – że sama była gotowa opisywać wszystko z detalami. Bez wątpienia, takie „instrukcje” mogły nie mieć wiele wspólnego z tym, co naprawdę się odbywało, o czym przekonuję się z własnej teczki. Przyjacielskie pytanie „jak się ostatnio miewa pani pasierbica?” zostaje przekształcone w złowrogie *Abschöpfung der Tochter*. Jednakże jeśli nie wiedziała, co robi, to dlatego, że nie chciała wiedzieć, co robi.

By osądzić ją sprawiedliwie, musiałbym się dokładnie dowiedzieć, jakie szkody, jeśli w ogóle, „Michaela” wyrządziła ludziom, na których donosiła, jest to jednak bardzo trudne do ustalenia. Jak wymaga prawo, nazwiska niewinnych osób trzecich są zamazane. Nawet jeśli zdołałbym je zidentyfikować, nie uzyskałbym dostępu do ich teczek. Jedynie mając wgląd w te dokumenty, mógłbym ocenić efekty jej informacji przez porównanie z informacjami pochodzącymi z innych źródeł. Tak więc mogą to naprawdę ocenić jedynie ci, którzy byli bezpośrednio poszkodowani, a obecnie zdecydowali się na wgląd w swoje teczki. Jednakże wiemy, że Stasi przywiązywało szczególną wagę do informacji pochodzących od IM-ów. Ich pozornie nieszkodliwe strzępy informacji zszywano razem w coś, co w całości było bardziej szkodliwe. Na tym polegało działanie całego systemu.

Tymczasem, choć nie mogę definitywnie określić, jakie szkody wyrządziła innym, mogę powiedzieć, jakie zyski osiągnęła dla siebie. Miesiąc później, na przykład, nota do użytku wewnętrznego potwierdza, iż nie ma żadnych obie-

kcji, by dalej podróżowała ona za granicę: rzadki to przywilej. Rozważa się, w jaki sposób mogłaby służyć państwu w czasie zbliżającej się podróży do Japonii, i porucznik Küntzel notuje: „Zadania zlecane IM zawsze były natychmiast akceptowane i realizowane. IMV «Michaela» osiągnęła operacyjną wiedzę i zdolności, które pozwalają mu [sic!] wykonywać skomplikowane zadania”. Słowo „mu” odnosi się do IM, gdyż Stasi nie odróżniało żeńskiej formy, *Mitarbeiterin*. Był to w rzeczywistości w dużej mierze świat mężczyzn: jedynie około dziesięciu procent informatorów Stasi stanowiły kobiety.

We wrześniu 1979 roku wkraczam na scenę. Na następnym spotkaniu porucznik Küntzel „instruuje” ją, jak ma się w stosunku do mnie zachowywać. Przez następny tydzień nie byłem z nią w kontakcie. Mija miesiąc i wciąż ani słowa ode mnie: „IM był przekonany [tzn. była przekonana], że być może coś źle zrobił [zrobiła]. Wątpliwości te udało się rozwiać”. Podsumowując roczną pracę pod koniec grudnia, porucznik Küntzel zanotował z satysfakcją, że IM jest teraz gotowy robić rzeczy, do robienia których nie był gotowy na początku. „Za główny cel uznano kontakt z Gartonem Ashem. IM otrzymał pochwałę za osiągnięcia”.

Raporty z lat 1980 i 1981 obrazują nasze sporadyczne kontakty, zapisane w mojej teczce, z przerwami na jej podróże do Włoch i Danii. Pod koniec 1981 roku informator kontrolujący informatorów, kryptonim „Singer” (czyli „Śpiewak”), przejmuje obowiązki porucznika Küntzla. „Michaela” nadal śpiewa, by otrzymywać wizy wyjazdowe. W marcu 1982 roku „Singer” i „Michaela” – jak pokazują dokumenty – „oceniał” fragmenty mojej książki o NRD, które ukazały się w „Spieglu”. W czerwcu „Singer” gratuluje jej z okazji otrzymania srebrnego orderu za zasługi dla ojczyzny i dołącza prezent od Ministerstwa w postaci 50 marek. Przy następnym spotkaniu składa ona długi raport w sprawie owych Dürerów. Gdybym z nią wcześniej

nie rozmawiał, nigdy bym nie wywnioskował z tego dokumentu, iż powstał on tylko dlatego, że odebrano jej szansę wyjazdu do Ameryki.

I tak dalej, i tak dalej. Kontakt z ambasadą szwajcarską. Ocena kolejnego pracownika. Prezent od Ministerstwa dla „Michaela” – a właściwie: doktora Georga – z okazji jego osiemdziesiątych urodzin. „Miłe zebranie odbyło się w pełnym godności, uroczystym stylu”, pisze „Singer”. Potem raport o nowym mężu pasierbicy.

Podróż do Austrii. Doktor Georg ciężko choruje. Spotkanie, „którego celem było okazanie «Michaeli», że w nadchodzących trudnych dla niej [przynajmniej raz użyto żeńskiej formy] chwilach będzie mogła liczyć na pomoc ze strony naszych organów”. Jej raport o liście od Litzy, byłej pani Philby, która informuje, że nie wróci do NRD z wycieczki do Wiednia.

Potem śmierć doktora Georga, odejście z pracy w Weimarze na emeryturę i propozycja przeniesienia się do Berlina, co ułatwił list do członka politbiura Kurta Hagera (pseudonim Feliks Albin), znającego niegdyś doktora Georga, gdyż obaj spędzili wojnę w Anglii. A tuż przed odejściem: ostatni raporcik o artyście, który próbował wyemigrować...

Badając trywialne i czasami intymne szczegóły kolaboracji „Michaeli”, zadaję sobie pytanie: czy tak naprawdę powinienem to wszystko czytać? A nawet jeśli ja powinienem, czy powinieneś Ty, Czytelniku?

Gdy krytykuje się pisarzy lub redaktorów gazet za publikowanie szczegółów z czyjegoś prywatnego życia, powołują się oni na „interes społeczny”. W praktyce jednak ich definicja „interesu społecznego” sprowadza się często do tego, „co interesuje opinię publiczną” – to znaczy, co podnosi sprzedaż gazet lub książek. Czy w tym przypadku istnieje prawdziwy interes społeczny, aby upubliczniać osobiste szczegóły, co bez wątpienia będzie dla „Michaeli” bardzo nieprzyjemne i może zaszkodzić jej stosunkom z pasierbicą?

Oficjalną odpowiedź znaleźć można w prawie dotyczącym akt Stasi. Według artykułu 32, dla celów naukowego badania historii Stasi oraz „politycznej edukacji” mogą czytać oraz publikować osobiste informacje z akt „osób mających miejsce we współczesnej historii, pełniących funkcje polityczne oraz osób na urzędowych stanowiskach, w przypadku, gdy nie są to osoby poszkodowane ani osoby trzecie”, także pełnoetatowych pracowników Stasi oraz wszelkiego rodzaju współpracowników, wreszcie tych, którzy czerpali korzyści z działalności Stasi. Niemniej jednak stosuje się to wówczas, gdy „nie przynosi to szkody żadnym nadrzędnym, zasługującym na ochronę interesom prywatnym tych osób”.

Lecz kto jest „osobą mającą miejsce we współczesnej historii”, a co „nadrzędnym interesem prywatnym zasłu-

gującym na ochronę”? Wyjaśnia to ekspert prawny w Urzędzie Gaucka. Pierwsze określenie oznacza ludzi, którzy na Zachodzie nosiliby miano „osoby publicznej”. Jednakże niemieckie prawo dokonuje bardziej szczegółowego rozróżnienia na „absolutne” i „względne” osoby historyczne. „Absolutnymi” osobami historycznymi są tacy ludzie, jak Hitler lub Churchill. „Względnymi” osobami historycznymi są ludzie mający historyczne znaczenie jedynie na określonym terenie lub w określonym czasie i tylko ta część ich życia może zostać legalnie odsłonięta. „Interesy prywatne zasługujące na ochronę” to drażliwe szczegóły z prywatnego życia danej osoby, jeśli nie są one ważne dla zrozumienia działania Stasi.

W praktyce pracownicy Urzędu Gaucka muszą dokonywać niezliczonych indywidualnych osądów, przygotowując akta czytelnikowi. Oprócz zamazywania nazwisk „poszkodowanych oraz osób trzecich” i pozostawiania nazwisk „osób mających miejsce we współczesnej historii” muszą jeszcze wykreślać fragmenty dotyczące owych „interesów prywatnych zasługujących na ochronę”. Kilka stron z akt „Michaeli” zostało w ten sposób wymazanych.

Przez jakiś czas sądziłem, że to właśnie oni musieli podejmować trudne decyzje i brać na siebie odpowiedzialność prawną, jednakże ekspert wyprowadził mnie z błędu. To ja sam odpowiadam przed sądem za to, co opublikuję. Tak więc „Michaela”, jak sobie przez moment wyobrażała, mogłaby pozwać mnie do sądu. Nie martwię się tym jednak. Interesuje mnie nie tyle odpowiedzialność prawna, ile moralna. Na przykład, czy nie powinienem pominąć fragmentu o jej pasierbicy? Na szczęście, udało mi się ją odnaleźć i ostrożnie wyjaśnić sytuację. Wiedziała już, że „Michaela” na nią donosiła. Dowiedziała się tego z własnej teczki i w rezultacie zerwała z nią wszelkie stosunki. Przy okazji dowiedziała się o tym także własna córka „Michaeli”.

Pozostaje jednak kwestia odpowiedzialności wobec niej samej i jej związków z innymi ludźmi. Podczas pracy nad

tą książką dyskutuję ten problem z przyjaciółmi. Niektórzy sądzą, że powinienem oszczędzić „Michaelę”. „W przeciwnym wypadku staniesz się taki, jak ona”; mówią: „Teraz ty jesteś informatorem”. Z kolei inni twierdzą, że definitywnie powinienem to opublikować, po prostu dlatego, że jest to ciekawe. Oczywiście to się liczy, ale samo w sobie nie wystarcza. Decydując się na publikację – z pominięciem nazwisk – mam nadzieję, że posłuży ona szerszemu celowi. Być może istnieje tutaj szansa pokazania – tak wyraźnie, jak tylko pozwalają na to okoliczności – w jaki sposób człowiek zostaje wciągnięty w sieci tajnej policji oraz tego, dokąd to może doprowadzić.

VI

IM „Schuldt” dostarcza kilku bardzo szczegółowych raportów ze spotkań, w czasie których najwyraźniej dyskutowaliśmy głównie o historii Trzeciej Rzeszy. Nie wnoszą one wiele nowego, oprócz opisu mojego pokoju w Prenzlauer Berg. Jak to z przykrością stwierdza „Schuldt” po pewnym spotkaniu: „Ogólnie rzecz biorąc, ten «służbowy obiad» nie był dla mnie zbyt owocny”.

Dzięki mojemu dziennikowi mogę go zidentyfikować. Był mężczyzną w średnim wieku, wykładowcą literatury angielskiej, którego poznałem – absurdalnie – w czasie przyjęcia z okazji urodzin Królowej w ogrodzie rezydencji brytyjskiego ambasadora. Pamiętam niezbyt ciekawego, ponurego człowieka o wyrazistych rysach i początkach łysiny, który jednak władał dobrą angielszczyzną i od czasu do czasu bywał dowcipny.

Wygląda na to, że był typem informatora – eksperci z Urzędu Gaucka przekonują mnie, że było takich wielu – który spędzał niezliczone godziny, pisząc ręcznie lub wystukując na maszynie absurdalnie szczegółowe raporty. Stasi było ich korespondencyjnym przyjacielem. W sposób skrajny widać to w raporcie z lunchu z trzecim sekretarzem ambasady brytyjskiej, który to raport został włączony do mojej teczki, gdyż rozmawiali także o mnie. „Cała atmosfera spotkania z panem Wildashem – notuje IM «Schuldt» – miała charakter oficjalny, jednakże bardziej konwencjonalny niż tego oczekiwałem (czy to ze względu na zachowywanie konwencjonalnego dystansu między młodym człowiekiem a «profesorem»?). Gdy ja specjalnie zamówiłem sobie

czeską specjalność (np. «knedliczki»), mój towarzysz zjadł półmisek drobiowych wątróbek. Wypił dwie lub trzy butelki Pilsa, mimo iż przyjechał samochodem”. Zastanawiam się, ile kilometrów takich głupstw – „(np. «knedliczków»)” – znajduje się wśród stu osiemdziesięciu kilometrów akt, którymi obecnie zarządza Urząd Gaucka. Trzydzieści kilometrów? Pięćdziesiąt?

Teczka „Schuldt” pomaga mi zrozumieć, dlaczego to robił. Tym razem archiwiści odnajdują wszystkie trzy części akt. Część I składa się z dwóch okazałych teczek, część II aż z czterech, a nawet cienka część III, dokumentująca jego wydatki, jest dziwnie rozgadana. W sumie opowiadają one smutną historię. Zaczyna się ona w 1960 roku. „Schuldt” jest wówczas bystrym, lecz ekscentrycznym młodszym wykładowcą angielskiego na prowincjonalnym uniwersytecie. Jest po trzydziestce, kawaler, chodził do dobrej szkoły podczas wojny i krótko był w Hitlerjugend. Kierownik jego wydziału jest zdania, że nie przywiązuje on dostatecznej wagi do szczegółów, jego praca pełna jest jednak stymulujących pomysłów. Bezspornie dobrze włada angielskim, gdyż wrócił niedawno z podróży do Azji, gdzie pracował jako tłumacz premiera.

Następnie jednak doniesiono, że opowiada w barze niestosowne anegdoty o tej podróży, pije zbyt dużo i składa homoseksualne propozycje studentom. Pewien student sporządza szczegółowy raport z jednego z takich incydentów. Po wielu kolejkach zaprosił studentów do swojego mieszkania i zaproponował jednemu z nich, żeby zdjął skórzane spodenki, wówczas on sam przyniesie z piwnicy kolejną butelkę wina. „Schuldt” broni się w dziesięciostronicowym liście napisanym na maszynie, pełnym odwołań do pozycji homoseksualizmu w kulturalnej historii Europy i tchórzliwej samokrytyki. Jego uczynek stanowił, jak pisze, „poważne naruszenie moich obowiązków członka partii”. Teraz będzie „dokładał starań, by nosić z honorem tytuł towarzysza”.

Wkrótce mają miejsce wstępne rozmowy z „kandydatem”. Szantaż nie jest *explicite* wzmiankowany w pełnym zapisie oficjalnej rozmowy rekrutacyjnej w ratuszu z 29 grudnia 1961 roku, między 9.00 a 11.30 przed południem. „Schuldt” poddaje wówczas szczegółowej ocenie wielu swych uniwersyteckich kolegów. Dalej do akt dołączona jest specjalna brązowa koperta. Napisano na niej jedno słowo: „Zobowiązanie” – chodzi o zobowiązanie do pracy dla Stasi. Koperta ta jest pusta. Część II zawiera jednak pełny zapis jego działalności od 1962 roku, ze szczegółowymi raportami o kolegach, studentach i znajomych. Tymczasem w części I pojawiają się dalsze czujne raporty składane na niego przez innych informatorów (w 1970 roku wciąż sporo pije) oraz kserokopie jego korespondencji. Część III dokumentuje wydatki: 5 marek na jedzenie i picie, 28 marek na wino i cygara, 100 na telefony, 200 na podróże oraz od czasu do czasu premia za dobrą pracę.

W 1975 roku znajdujemy dyplom z okazji wręczenia brązowego medalu za „lojalną służbę w Narodowej Armii Ludowej”. Medal ten zostaje przyznany, jak napisano, „w dowód uznania za rzetelną, sumienną i lojalną służbę na rzecz Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa”. Podpisano – Erich Mielke, Minister Bezpieczeństwa Państwa.

„Schuldt” staje się potem jeszcze bardziej interesujący dla Stasi, gdyż nawiązuje znajomość z pierwszym sekretarzem ambasady brytyjskiej. Ożywione przyjacielskie kontakty przebiegają w ścisłej koordynacji z oficerem prowadzącym. Załączono kserokopie stron tytułowych kilku tomów *Penguin Modern Poets*, подарowanych mu przez brytyjskiego pierwszego sekretarza, jak również kopie całej ich korespondencji. W trzeciej teczce znajdujemy informację, iż miał on zaszczyt brać udział w konferencji poświęconej literaturze angielskiej w Peterhouse College w Cambridge. Zamieszczone są szczegółowe oceny kilku uczestników. Profesor Raymond Williams zostaje wyróżniony jako „postępowy obywatel”.

W czwartej teczce pojawia się ja – wypijający, jak cierpko zauważa, dość dużo jego brandy. Być może liczył na to, że Stasi mu to uzupełni. (Z rachunków wynika, że podczas następnego spotkania oficer prowadzący dał mu 200 marek, oficjalnie na pokrycie kosztów podróży do Berlina, jednak wystarczająco dużo, by kupić kilka butelek). Następnie składa podanie o zezwolenie na kolejną podróż do Anglii. Wiosną 1980 roku jest na kolacji w rezydencji brytyjskiego ambasadora, gdzie gościem honorowym jest George Steiner („Profesor Steiner nieustannie rozprawiał...”), jesienią na innej kolacji – wówczas, co skrupulatnie odnotowuje, Timothy Garton Ash został podwieziony przez Marka Wooda z Reutersa. W grudniu 1980 roku otrzymuje premię w wysokości 300 marek i szczególną pochwałę za działalność wśród pracowników brytyjskiej ambasady, co robił, jak głosi tekst pochwały, „w swoim czasie wolnym”. Następnie, w styczniu 1981 roku, pod naciskiem Stasi rozwija strategię mającą na celu przywrócenie kontaktu ze mną.

Jednakże w tym samym czasie wydział 26 zakłada podsłuch w jego mieszkaniu i nagrane zostaje, jak mówi do przyjaciela: „NRD jest w stanie rozpadu”. Tak więc traci szanse na srebrny medal. Niemniej spotkania, raporty i niewielkie podarunki nie ustają. W marcu 1984 roku proponuje, iż mógłby pojechać do Polski, by odnowić kontakt z owym zaprzyjaźnionym brytyjskim dyplomata, pracującym wówczas w ambasadzie w Warszawie. Kolejna sztuczka, by pojechać na małą wycieczkę na koszt Stasi. W tym miejscu jednak teczka nagle się kończy.

Wracam do części pierwszej, gdzie znajduję – włożony do kolejnej brązowej koperty – „raport końcowy” z 4 października 1984 roku. „Ostatnie spotkanie z IM «Schuldt» odbyło się 16.05.84. – czytam tam – 10.07.84 IM «Schuldt» nagle zmarł”. Miał pięćdziesiąt siedem lat. „Nagła śmierć IM «Schulda» nie pociąga za sobą żadnych konsekwencji polityczno-operacyjnych”.

VII

IMB „Smith” wypowiada się na temat mojej prezencji. Twierdzi, że sprawiam wrażenie „człowieka dość niedbałego (rozpięty kołnierzyk, który wymagałby krawata, lecz krawata brak [...])”.

Określa mnie, całkiem prawidłowo, jako „należącego do burżuazyjnej inteligencji z liberalno-humanistycznym wykształceniem i liberalno-demokratycznym nastawieniem”. Stwierdza także, że jestem „nieco naiwny w [swojej] ciekawości. Szuka każdej sposobności, by czegoś nowego się dowiedzieć. Rozmawia ze starymi robotnikami w «barze na rogu», tj. z obywatelami, którzy wciąż pamiętają dawne czasy [nazistowskie]”.

Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć „Smitha”, mój dziennik odnotowuje jedynie „długi lunch z angielskim komunistą na Uniwersytecie Humboldta”. Po kilku fałszywych tropach – czyżby było tak wielu „Smithów”? – archiwiści w końcu przynoszą mi właściwą teczkę. Jest on Anglikiem, byłym wykładowcą na politechnice w Anglii, który w latach siedemdziesiątych podjął pracę na Uniwersytecie Humboldta, ożenił się z Niemką z NRD i osiadł tam. W części I jego teczki pojawia się propozycja porucznika Wendta, iż nawiąże kontakt ze „Smithem”, posługując się „legendą”. Wendt miał zadzwonić, udając kogoś pracującego dla władz miasta. Gdy spotykają się, Wendt przedstawia się jako „Heinz Lenz” z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa i oświadcza, że nazwisko „Smitha” pojawia się w dokumentach zachodnich służb wywiadowczych w Berlinie Zachodnim. Sprawa źle wygląda, potrzebują

jego współpracy, by to wyjaśnić. W rezultacie: udowodnij swoją niewinność!

Sztuczka powiodła się. Za tydzień dochodzi do kolejnego spotkania z kandydatem na informatora, wówczas już o kryptonimie „Doktor”. Dwa tygodnie później kandydat ręcznie pisze i podpisuje zobowiązanie, iż kontakty te będzie utrzymywał w tajemnicy. Dalej w części I znajduje się standardowa brązowa koperta z napisem „Zobowiązanie”. Zawiera ona ręcznie napisane przez niego zobowiązanie „dobrowolnego wspierania MfS [Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa]”. Dla tego celu, stwierdza na końcu, „wybrałem dla siebie kryptonim «Smith»”. W 1981 roku staje się IMB. Skrót ten w 1980 roku zastąpił IMV (jak w przypadku „Michaeli”), oznaczał jednak w istocie to samo: najwyższą klasę informatorów, mających bezpośredni kontakt z wrogiem.

Anglicy lubią się zastanawiać, czy mielibyśmy wielu informatorów, gdyby Anglia była komunistycznym krajem policyjnym. Cóż, oto i angielski informator – i to pracowity. Jego część II składa się z około 600 stron w trzech teczkach, jedynie do 1986 roku. Ostatniej teckę nie znaleziono; być może wciąż była na półce w biurze Wendta, być może została zniszczona lub spalona.

Rozpoczyna od informacji dotyczących głównie kontaktów z ambasadą brytyjską. Następnie zostaje poproszony o sporządzenie raportu o bibliotece British Council w Berlinie Zachodnim. Dostarcza szczegółowy opis oraz naszkicowany plan. Potem znajdują urzędowe, pisane na maszynie instrukcje dotyczące wyjazdu do Anglii. Co robić w razie, gdyby próbowały się z nim skontaktować brytyjskie „służby specjalne”: „Nie należy okazywać zdenerwowania, zachowywać się w sposób opanowany!” Jego misję specjalną stanowić ma sporządzenie szczegółowego opisu – wraz z narysowanym planem – siedziby głównej British Council w Spring Gardens w centrum Londynu. „Smith” potrafi. A oto i jego narysowany długopisem plan: White-

hall, Trafalgar Square, Mall i – naniesione w złym miejscu – Spring Gardens.

Później otrzymuje inne urzędowe instrukcje. 4 grudnia 1982 roku od godziny 11.00 do 13.00 ma obserwować osobę płci żeńskiej oraz jej partnera w restauracji Jade w Europa-Center w Berlinie Zachodnim. Ma za to otrzymać 150 DM. W raporcie, któremu daleko do błyskotliwości, pisze, iż podejrzewa, że obserwował ich także kelner Chińczyk.

Między tymi mniej lub bardziej farsowymi misjami pojawia się ręcznie pisane sprawozdanie ze spotkania ze mną i dość szczegółowe informacje o innych Anglikach mieszkających w NRD. Potem, by wprowadzić w życie plan działania, o którym dowiedziałem się z mojej teczki – „biorąc pod uwagę subiektywne i obiektywne możliwości IM” – pojawiają się szczegółowe instrukcje, w jaki sposób ponownie nawiązać ze mną kontakt. Miał dowiedzieć się o miejsce mojego pobytu od pana Wildasha z brytyjskiej ambasady, tak aby jednak nie zwrócić na siebie uwagi. „Był, nie, wykład!” ostrzega Wendt. „Smith”, jak wielu naukowców, ma bowiem wyraźne skłonności do wygłaszania wykładów, zamiast prowadzenia konwersacji. Ustalają tekst listu, który ma on dać Wildashowi, by ten przekazał go mnie. A oto i list. Czy pamiętam nasze spotkanie? Czytał ostatnio moje artykuły o Polsce i chciałby o nich porozmawiać:

Jeśli bywa Pan czasami w Berlinie (Zachodnim lub Wschodnim), z przyjemnością spotkałbym się z Panem i pogadał o tych sprawach. Jeśli napisał Pan coś jeszcze, byłbym bardzo wdzięczny, gdyby mógł mi Pan przesłać kopie (w tym przypadku – czego chyba nie muszę dodawać – proszę, by przesłał mi je Pan do brytyjskiej ambasady, zaznaczając w środku, dla kogo jest przesyłka, a nie na mój prywatny adres!).

Podoba mi się to, „czego chyba nie muszę dodawać”: trzeba uważać na Stasi, wie pan.

Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek otrzymał ten list. Teraz, piętnaście lat później, dociera do mnie w teczce.

W 1986 roku wydział zdaje się już mieć dość „Smitha” i jego rozwlekłych wykładów o polityce europejskiej, których udziela, zamiast dostarczać informacji o ludziach. Zaczynam rozumieć, co miał porucznik na myśli, pisząc o ograniczonych, „subiektywnych możliwościach” profesora „Smitha”. W połowie 1986 roku zapis nagle się urywa.

On też jest w książce telefonicznej. – Halo – mówię, – czy pamięta pan nasze spotkanie?

– Tak, choć niezbyt wyraźnie.

Lunch?

– Doskonale.

Czy Anglik potrafi wyglądać na ulicy jak zwykły obywatel NRD? „Smith” potrafi. Kurtka z kapturem, brązowe spodnie, białe skarpetki i brązowe buty (nawet porucznik Wendt pozwala sobie na komentarz w aktach, że „Smith” jest „ubrany schludnie, lecz niemodnie”). Ma różową, piegowatą twarz i nerwowy uśmiech.

Czy miałby ochotę na kurczaka?

– Tak – mówi – dzięki.

Wówczas wyjaśniam, o co chodzi. Czytam właśnie swoje akta. Pewien IM „Smith” donosił na mnie. Wygląda na to, że IM „Smith” to był on.

– To możliwe – mówi.

Potem, bez żadnych dalszych namów, opowiada „wszystko” od początku, zaczynając od pierwszego telefonu z „władz miasta”. Był bardzo zaniepokojony. Sądził, że jest to podejście CIA. Potem spotkali się zgodnie z ustaleniami przed Uniwersytetem Humboldta, znaleźli pustą salę wykładową i „Heinz Lenz” pokazał legitymację urzędu bezpieczeństwa. Był wstrząśnięty – tym bardziej, gdy „Heinz Lenz” wyjaśnił, że podejrzewano, iż jest zamieszany w kontakty z zachodnim wywiadem. Mówi, że „Lenz”

wyłożył to w sposób bardzo dramatyczny, „w stylu Jamesa Bonda”. Wpadł w panikę. Bał się, że go wydalą – i co wówczas stanie się z jego żoną i dzieckiem, uwięzionymi za murem? Wrócił do domu i przedyskutował sprawę z żoną. Zdecydowali, że powinien zgodzić się na współpracę, by udowodnić, że jest godny zaufania.

Błędna decyzja, rzecz jasna, lecz zrozumiała. Niemniej jednak, wyjaśniał dalej, myślał także o Stasi jako o kanale łączności z państwem i hierarchią partyjną. W pewnym sensie, jak przyznaje, usiłował robić to samo, co czołowy działacz kościelny Manfred Stolpe (w aktach figurujący jako IM „Sekretarz”, obecnie premier Brandenburgii z ramienia socjaldemokracji): poprzez Stasi wybić się do kierownictwa partii ze swym politycznym posłaniem. Problem z komunistycznym państwem, takim jak NRD, polegał na tym, że nie miało ono „struktury społeczeństwa obywatelskiego”. W ten sposób kompensował jego braki.

Później sądził, że Stasi było niewielką tajną organizacją, „czymś w rodzaju MI5”. Dopiero w 1989 roku zdał sobie sprawę, jak wielkie to było imperium. Obserwował w ostatnich latach debatę na łamach prasy i było dla niego rzeczą „niewiarygodną”, co robili niektórzy ludzie: szpiegowali własnych przyjaciół, pomagali „wsadzać ich do pudła”.

Miał własną „zasadę”, aby mówić Stasi o kwestiach politycznych i społecznych, a nie o ludziach. Chciałby jednak dowiedzieć się, do jakiego stopnia się „jej trzymał”. Wydaje się, że jest to dobry moment, by pokazać mu kopię tego, co o mnie napisał. Gdy czyta, jest wzburzony i przez jakiś czas potem unika mojego spojrzenia. Mówi, że go to „irytuje”. „Żałuję tego, delikatnie mówiąc”.

Ostatnio zastanawiał się, czy było prawdą to, co mu wówczas powiedzieli: że znaleziono jego nazwisko w dokumentach „zachodniego wywiadu”. Dlaczego nie powiedzieli nic więcej? Całkowicie w to wówczas wierzył, teraz jednak sądzi, że prawdopodobieństwo, iż oni to wymyślili, wynosi „40: 60”.

Mówię mu, że wymyślili.

Następnie pytam o epizod w restauracji Jade. Czy było to ekscytujące? Czy wydawało mu się, że jest Jamesem Bondem?

Nie. Był przerażony. Myślał, że może zostać zastrzelony! Poprosił ich potem, by już nigdy więcej nie posyłano go na takie misje. Tyle że mógł wydać zachodnie marki na zachodnie książki i gazety.

A te rysowane plany British Council?

Znow zakłopotanie. Myślał, że był to tylko taki „mały test”.

On i oficerowie prowadzący – było ich kilku w ciągu tych lat – rozmawiali ze sobą podobnie jak my teraz. Dlaczego więc sporządzał tak obficie ręczne notatki? „Ponieważ mam słabą pamięć”. Mówił z notatek, potem je wręczał. Funkcjonariusze, z którymi miał do czynienia, byli dziwną mieszanką oficjalności i nieoficjalności. Po jakimś czasie „Heinz Lenz” powiedział mu, że Ministerstwo doszło do wniosku, że nie był on zachodnim szpiegiem i – jako znak zaufania – „sugerowalibyśmy przejście na *Du*”. Mów mi Heinz i donoś dalej.

Co do informacji, jakie dostarczał o innych ludziach, naprawdę sądził, że są to niewinne drobiazgi. Dla niego ważna była ogólna analiza polityczna, którą im szczegółowo referował. Zwracam uwagę, że to, co było ważne dla niego, nie było ważne dla nich. Oni interesowali się właśnie tymi drobiazgami. Potem składali je razem, jak archeolodzy rekonstruujący naczynie z czasów rzymskich. Tak, teraz to rozumie.

Pod koniec lunchu nerwowo pyta: „czy umieści pan moje nazwisko?” Wolałby, żebym tego nie robił.

Mówię, że tego nie zrobię. Pozostawię po prostu „Smith”.

Kilka miesięcy później wygłaszam publiczny odczyt w Berlinie o tym, co robić z komunistyczną przeszłością.

Mówię dość szczegółowo o otwieraniu akt Stasi, w tym o swoich własnych doświadczeniach. Wśród ludzi, którzy podchodzą do mnie po odczycie, ze zdziwieniem zauważam „Smitha”. Wręcza mi kopertę. Otworzywszy ją po powrocie do hotelu, znajduję w środku list, w którym pisze, że stara się o wgląd w swoją teczkę i z przyjemnością spotkałby się ze mną, by „rozważyć poszczególne punkty”.

Tymczasem załącza trzystronicowy, napisany na maszynie tekst zatytułowany „Kilka uwag o MfS”. Nie ma tam wzmianki o tym, że sam był w to uwikłany, natomiast omawia cały problem w kategoriach ogólnych, pisząc jak naukowiec do naukowca. Na przykład: „Materiał w aktach MfS odzwierciedla własny obraz MfS (sposoby składania raportów, interpretacja, terminologia itp.). Każdy, kto jest obeznany z analizą tekstów i problematyką percepcji oraz funkcją tekstów, zdaje sobie sprawę z wagi, jaką należy przywiązywać do interpretowania materiałów tego typu”.

Słowo „ja” nie pojawia się w jego tekście ani razu.

VIII

Po raz pierwszy spotkałem Frau R. na małej wystawie poświęconej antyfaszystowskiemu ruchowi oporu w Berlinie. Była siwą damą po sześćdziesiątce, wśród otaczających ją ludzi wyróżniała się swoim zachowaniem, stylem, postawą, elegancją w stroju i mowie. Pochodziła w rzeczywistości z zamożnej i kulturalnej niemiecko-żydowskiej rodziny. Przeszła na stronę komunizmu jako nastolatka na początku lat trzydziestych i w rezultacie wkrótce po dojściu Hitlera do władzy została wyrzucona ze szkoły. Wyjechała z Niemiec, spotkała towarzysza życia i pojechała za nim do Moskwy. Pobrali się i urodził im się syn. Wkrótce, jak wielu innych, aresztowano go w czasie jednej ze stalinowskich czystek i spędził ponad dziesięć lat w sowieckich łagrach. Ona sama musiała służyć w jednej z tak zwanych „armii pracy”; tymczasem zabrano jej syna i umieszczono w sierocińcu.

Wiele lat później, w połowie lat pięćdziesiątych, zdołali powrócić do komunistycznej części Niemiec. Urodziło im się kolejne dziecko. Jej mąż nigdy w pełni nie doszedł do siebie po latach spędzonych w łagrach, lecz ona w końcu miała dobrą pracę, przyjaciół o podobnych poglądach i ukochane dzieci. Potem jednak, niedługo przed ostatecznym zamknięciem granicy z Niemcami Zachodnimi, gdy zbudowano mur, jej pierworodny syn uciekł na Zachód z żoną i małym dzieckiem. Nie widziała ich potem przez dziesięć lat.

Wydawałoby się, że po takich osobistych tragediach, łączących się bezpośrednio z komunistycznymi rządami,

powinna zostać zagorzałą antykomunistką. Jednakże z cichą, melancholijną namiętnością wciąż deklarowała się jako osoba przekonana o ostatecznej słuszności i wspałałości komunistycznej sprawy. Czy po to, żeby nadać sens własnym cierpieniom? Jeśli sprawa była wielka i sprawiedliwa, wszystko to nie było na marne. Cierpiała, by inni doczekali lepszego jutra. Tak to sobie przynajmniej wyobrażałem.

W rozmowie nie ulegała patosowi. Zawsze była natomiast pełna ciekawości, anegdot i ostrych sądów, wypowiedzianych szybkim, opanowanym, nosowym głosem. Zostaliśmy dobrymi znajomymi. Mój dziennik odnotowuje kolację w jej cichym mieszkaniu z parkietami i uginającymi się pod ciężarem książek regałami. Później mieliśmy okazję spotkać się na wschodniemieckiej premierze sztuki Rolfa Hochhutha *Prawnicy*, dotyczącej skandalu związanego z byłym nazistowskim sędzią wojskowym, który niegdyś skazywał ludzi na śmierć, często pod błahymi zarzutami, a potem zajmował wysoki urząd w Zachodnich Niemczech.

15 kwietnia 1980 roku, jak to odkrywam, poszliśmy na sztukę *Chłopi* wschodniemieckiego czołowego post-Brechtowskiego dramaturga Heinerja Müllera, a potem wróciliśmy do jej mieszkania, gdzie odbyliśmy – jak nazywa to mój dziennik – „szczerą rozmowę”. Według dziennika, powiedziała do mnie wówczas: „Ach, gdybyś był moim synem. Jak dobrze musieli cię wychować twoi rodzice”. Zastanawiałem się wówczas, co moi rodzice sądziliby o tym hołdzie złożonym przez niemiecko-żydowską komunistkę. Współczułem jej, podziwiałem i uważałem ją za przyjaciela.

Ogarnia mnie więc smutek, gdy Frau Schulz wręcza mi strony z akt identyfikujące ją jako informatora z grupy operacyjnej wydziału głównego XX, który był odpowiedzialny za penetrację i nadzór nad życiem kulturalnym, uniwersytetami, Kościołami oraz – jak oni to nazywali – „działalnością politycznego podziemia”. Pierwszy raport

przynosi kolejne zaskoczenie. Napisano w nim, że dramaturg Rolf Hochhuth, którego wcześniej poznałem i z którym rozmawiałem o jego dziełach, powiedział jej, że uważa mnie za angielskiego szpiega. „Dalsze działania IM – jak podsumowuje raport – nie są wykluczone”.

„Zgodnie z instrukcjami – czytam w kolejnym raporcie, z 28 kwietnia 1980 roku – kontakt IM z HA XX/OG z obywatelem brytyjskim Gardon-Ash, Timothy został rozwinięty”. Następuje potem informacja o tym, jak byliśmy na sztuce Heinerja Müllera i o naszej rozmowie o mojej pracy dotyczącej antynazistowskiego ruchu oporu. „Na uwagę IM, że taka rzecz już dawno powinna być zrobiona w Anglii, oraz na argumenty, że NRD w historycznym sensie rozprawiła się z tą przeszłością – w przeciwieństwie do RFN – Gardon-Ash zareagował negatywnie. Zaprzeczył istnieniu faszystowskich tendencji w RFN i zaznaczył, że ma tam wielu przyjaciół.

Gardon-Ash był pod wielkim wrażeniem Weimaru. Wkrótce się tam wybiera ponownie, by wziąć udział w konferencji o Shakespearze.

IM ponownie wspomniała o uwadze Rolfa Hochmutha [*sic!*], który określił Gardon-Asha jako angielskiego szpiega, na co G. odpowiedział, że Hochmuth, jak wielu innych, czyta zbyt wiele niepoważnych gazet, według których co drugi Anglik za granicą musi być szpiegiem. Nie był zakłopotany”.

Trzeci raport z tej samej teczki zawiera sprawozdanie z innego spotkania, jakie odbyłem z żyjącymi jeszcze członkami dawnego komunistycznego ruchu oporu przeciw nazizmowi w Berlinie. Nie jest jasne, czy raport ten pochodzi od Frau R. czy innego członka tej grupy. Na pytanie, dlaczego zajmowałem się tym tematem, odpowiedziałem, że Oksford i Cambridge tradycyjnie interesują się takimi tematami. „Aluzja poczyniona przez źródło [tj. informatora Stasi], że w latach dwudziestych i trzydziestych wielu przyjaciół komunizmu pochodziło właśnie

z tych uniwersytetów (Kim Philby), spotkała się ze strony Gortona-Asha z niemą ironią”.

Piętnaście lat później siedzę znów na tej samej sofie, w tym samym mieszkaniu, z innymi jednak uczuciami. Frau R. jest już w bardzo podeszłym wieku, aczkolwiek wciąż elegancka i błyskotliwa. Gdy mówię jej, dlaczego przyszedłem się z nią znów spotkać, mówi: „No więc cóż mam zrobić? Wyskoczyć przez okno?” Kategoriecznie zaprzecza, iż wiedziała, że w aktach Stasi figuruje jako informator, i po prostu odmawia przejrzenia kserokopii stron z mojej teczki, które ze sobą przyniosłem.

Potem przypomina mi o swoich cierpieniach za komunizmu, w który tak długo wierzyła. „Nie, Tim – mówi – to wszystko nie jest takie proste”. A gdy opowiada – tym razem z patosem – o okropnościach łagrów, o swym zmarłym mężu, o będącym gdzieś daleko synu, oboje zdajemy sobie sprawę, że kładzie ciężar swojego cierpienia na szalach mojego osądu. Duży to ciężar. Po kilku minutach mówię jej, że nie mam prawa tu siedzieć jako jej sędzia. Docho-wam jej tajemnicy. Powinna, czego jej życzę, ostatnie lata życia spędzić w spokoju.

Jednakże wychodząc, widzę po jej oczach, że będzie ją to prześladować. Nie, jak sądzę, zwykły fakt kolaboracji – była przecież komunistką w komunistycznym państwie – lecz to, że współpraca z tajną policją, figurowanie w aktach jako informator jest czymś niskim i podłym. Bardzo dalekim od wielkich ideałów tej odważnej i dumnej żydowskiej dziewczyny, która kiedyś, dawno temu, rozpoczęła walkę o lepszy świat. Niełatwo będzie się jej pozbyć strachu przed demaskacją, jeśli nie przeze mnie, to być może przez kogoś innego.

Teraz prawie żałuję, że do niej z tym przyszedłem. Jakim prawem, w jakim celu, odebrałem tej starszej pani, która tak wiele przecierpiała, łaskę wybiórczego zapomnienia?

IX

Od jesieni 1980 roku moja teczka pełna jest odniesień do Polski. Notatka wewnętrzna Stasi podaje informację, że ponownie planuję tam pojechać. Skąd wiedzieli? Jest tam szczegółowy raport z rozmowy o „kontrrewolucyjnej organizacji KSS «KOR»” z redaktorem „antyradzieckiego pisma emigracyjnego” w Bonn. Czy z podsłuchu mojego telefonu, czy jego? Na tej samej kartce znajduje się informacja z innego źródła, że „ze względu na sytuację w Polsce dwa łącznościowe pułki wywiadowcze z nie zidentyfikowanych jednostek amerykańskich zostały rozmieszczone na szpiegowskim obiekcie łącznościowym «Diabelska Góra» w Berlinie Zachodnim”. Potem znajdują się kopie moich artykułów z Polski pisanych dla „Spiegla”. W sumie wydaje się, że to właśnie te artykuły i moje kontakty z „antysocjalistycznymi siłami” w Polsce doprowadziły do rozpoczęcia wielostronnego inwigilowania mnie.

W tym czasie znów mieszkalem w Berlinie Zachodnim. 7 października 1980 roku, gdy gwardziści Engelsa z goździkami w lufach karabinów odmaszerowali już na końcu owej defilady wojskowej, przejechałem przez przejście graniczne Checkpoint Charlie, przewożąc ostatnie notatki i rzeczy z małego pokoju w Prenzlauer Berg do dużego mieszkania w Wilmersdorfie. Przez następny rok mieszkalem przy Uhlandstrasse i tam napisałem książkę o NRD dla zachodnioniemieckiego wydawcy i czytelników. Fragmenty mojej książki ukazywały się w odcinkach w „Spiegla”, co zbiegło się z jej wydaniem jesienią 1981 roku. Przez ten rok moją wielką obsesję stanowiła jednak Pol-

ska, gdzie rewolucja „Solidarności” toczyła się od jednego kryzysu do drugiego.

Stasi także ogarnięte było obsesją „Solidarności”. Gdy ja gościłem wśród strajkujących w Stoczni Gdańskiej, towarzyszył generał Markus Wolf gościł w Warszawie i pełen obaw rozmawiał ze swymi kolegami ze służb polskich. Zapewnili go oni, iż polska partia nigdy nie uzna niezależnych związków zawodowych. Wolf wrócił do Berlina Wschodniego i zatelefonował do ministra spraw zagranicznych, by podać mu uspokajającą, poufną informację. Minister zapytał: „Słuchaliście wiadomości?” Na początku października Erich Mielke powiedział wyższym funkcjonariuszom w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwa, że to, co dzieje się w Polsce, jest sprawą życia i śmierci dla NRD. Na najniższym poziomie wszystkie akta informatorów, którzy na mnie donosili – od „Schuldta” po Frau R. – zawierają szczegółowe raporty dotyczące obiegowych reakcji na „Solidarności”. Cały ogromny aparat Ministerstwa został zmobilizowany, by dowiedzieć się, czy Niemcy z NRD mogą złapać „polską zarazę”.

Polska stała się wówczas „terenem operacyjnym” dla enerdowskich służb bezpieczeństwa; do tej pory status ten miały jedynie państwa spoza bloku sowieckiego. Enerdowska bezpieka miała „grupy operacyjne” we wszystkich większych polskich miastach oraz specjalną „grupę roboczą” w Berlinie. To właśnie ta grupa miała otoczyć mnie informatorami w czasie moich podróży do Polski. W tutejszych aktach nie ma dowodów, że to się jej udało, lecz wiem już, że w teczce informatora znajduje się czasem materiał, którego nie ma w mojej. Jeśli kiedyś Polacy zdecydują się otworzyć teczkę swojej tajnej policji, jak zrobili to Niemcy – a teraz także Czesi i Węgrzy – być może uda się to wyjaśnić.

Teczka zawiera kserokopie dokumentów wykonane podczas tajnego przeszukania mojego bagażu na wschodnioniemieckim lotnisku Berlin-Schönefeld, podczas odprawy przed odlotem do Warszawy. Są tu podziemne pis-

ma, noty biograficzne czołowych postaci polskiej polityki, mapy, wizytówki, nawet okładki książek, które ze sobą miałem – oraz strony z mojego dziennika.

Na jednej z nich zapisałem – z pamięci – różne wersje pierwszego przykazania opozycjonisty, które nazywam zasadą „jak gdyby”. Przypomina mi to wiersz Ryszarda Krynickiego, dedykowany jednemu z najodważniejszych i najbardziej charyzmatycznych z polskich opozycjonistów, Adamowi Michnikowi:

i naprawdę nie wiedzieliśmy, że żyjąc tu i teraz
trzeba udawać, że żyje się gdzie indziej i w innych
czasach.

Dodaję również do tego uwagi wielkiego rosyjskiego dysydenta Andrieja Sacharowa oraz mojego niemieckiego przyjaciela Gabriela Bergera, który był więziony w NRD z powodów politycznych: „Sacharow: Zachowujcie się tak, jakbyście żyli w wolnym kraju! Berger: jak gdyby Stasi nie istniało...” Teraz odnajduję je w aktach Stasi.

Zdejmuję z półki w Oksfordzie mój własny dziennik i czytam ciąg dalszy. O świcie pewnego śnieżnego styczniowego dnia wsiadam do specjalnego autobusu, który przejeżdża na drugą stronę muru na lotnisko Schönefeld. „Na granicy oblodzona jezdnia”. Dalej: „Celnik na lotnisku przegląda moje dokumenty strona po stronie. Koperta z 2000 DM. Pyta patrząc badawczo: «Czy to pańskie?»” W tym czasie, jak się teraz okazuje, w tajemnicy kopiowali wszystkie dokumenty. Następna notka: „Człowiek w średnim wieku w samolocie Interflug. Wełniana kamizelka i taki typ twarzy, do której pasują bambosze”.

Kolejne dokładne przeszukanie na lotnisku w Warszawie. Unikając pirackich taksówkarzy przy bramie przylotów, którzy oskubaliby mnie do czysta z marek lub dolarów, wsiadam do zwykłej taksówki – zniszczonej łady, która wiezie mnie szarymi, zasypanymi śniegiem ulicami

do Hotelu Europejskiego, gdzie zazwyczaj się zatrzymuję: niegdyś najelegantszego hotelu w mieście, teraz jednak dość zaniedbanego (jak miło usłyszeć, że Graham Greene, ten arcykapłan abnegacji, także kiedyś tu mieszkał). Kilka telefonów z mojego pokoju hotelowego, z dziwnymi szumami na linii. Potem film przyspiesza.

Gorączkowa krzątania w biurach „Solidarności” przy Szpitalnej, antyczne powielarki stukające w kącie, gwar podekscytowanych rozmów głośniejszy niż na jakimkolwiek przyjęciu, robotnicy roztrącający profesorów, by dostać najnowszy, prawie nieczytelny komunikat, leżący na prowizorycznym stole. Za rogiem, w kawiarni, Janek, Joanna, Andrzej, palący papierosa za papierosem i pijący herbatę za herbatą, żartujący i mówiący wszyscy naraz. „Cześć!”, „Hej!” i wychodzimy do bazy tramwajarzy, gdzie szykuje się strajk pracowników transportu miejskiego. Pracownikom przewodzi dwudziestoosmioletni Wojciech Kamiński, wąsaty, w skórzanej kurtce, z błyszczącymi oczami. Jego ojciec walczył z Hitlerem w polskiej armii na Zachodzie, a po powrocie do Polski został uwięziony przez komunistów. Syn rwie się teraz do walki.

Potem skok do odległego, południowo-wschodniego zakątka kraju, gdzie rolnicy domagają się własnej „Solidarności”. Drewniane wsie wyglądają malowniczo przykryte grubą warstwą śniegu, szerokie chłopskie twarze, kobiety wyplatające ręcznie koszyki – który to wiek teraz mamy? Szybko z powrotem do Warszawy na kolejne spotkanie w sprawie kryzysu krajowych przywódców «Solidarności», górników i hutników o surowych twarzach, wśród eleganczyków mebli i dystygowanych sekretarek Klubu Inteligencji Katolickiej. Ożywienie, śmiechy, piękne kobiety i wielka sprawa. Czegóż chcieć więcej? Do tego jeszcze wszędzie wspaniałe logo owej pokojowej rewolucji: „Solidarność” – jaskrawoczerwonymi, nierównymi literami, tańczącymi wyraźnie na stronie, z krzepką literą „n” unoszącą śmiało narodową flagę, czerwień na biele.

Polska stała się – jak określają to dziennikarze – „tematem na fali”. Prezentacja takiego tematu jest jak galopowanie na koniu wyścigowym z nogami przywiązanymi do strzemion: bardzo ekscytujące, jednak nie najlepiej widzi się sam bieg. Próbowałem jednak także patrzeć z podwyższenia, a nawet z lotu ptaka, by móc umiejscowić te wydarzenia w szerszych ramach historii. Historii teraźniejszości.

Polska była także moją własną sprawą. „Polska jest moją Hiszpanią”, napisałem w dzienniku w Wigilię 1980 roku. W swoich artykułach i komentarzach zawsze próbowałem być jak najwierniejszy, sprawiedliwy dla wszystkich stron i wobec wszystkich stron krytyczny. Ale nie byłem bezstronny. Chciałem, by wygrała „Solidarność”. Chciałem, by Polska była wolna.

Wielu z tych, z którymi spędzałem czas, należało do polskiego pokolenia '68. Kilkoro zostało – i wciąż jest – moimi dobrymi przyjaciółmi. Helena Łuczywo, drobna, niestrudzona redaktorka podziemnych i solidarnościowych gazet, paląca bez ustanku, mówiąca bez ustanku, cały czas była moim przewodnikiem. Wojciech Karpiński, krytyk literacki, esteta, znawca Nabokova i Gombrowicza, był moim nauczycielem historii polskiej kultury. Adam Michnik, o niezwykłej energii, błyskotliwości i ujmującym garniturze popsutego uzębienia, Marcin Król, najbardziej elokwentny obrońca liberalnego konserwatyzmu wśród tego pokolenia, i poeta Ryszard Krynicki, ważący każde słowo, jak gdyby zależała od tego moralna kondycja świata.

Były elementy – ważne elementy – które łączyły ich z pokoleniem '68 w Niemczech: nieformalny styl, programowa bezpośredniość (od razu „ty”), stosunek do seksu i w ogóle do kontaktów osobistych. Polskie pokolenie '68, podobnie jak niemieckie, buntowało się przeciwko starszym pokoleniom, tutaj jednak grzechem ojców nie był na-

zizm czy kolaboracja z nazizmem, czy też po prostu brak oporu przeciwko nazizmowi, lecz komunizm lub kolaboracja z komunizmem, lub tylko brak oporu przeciw niemu. Niemieckie pokolenie '68 nigdy nie żyło pod rządami nazizmu. Polskie natomiast – żyło, wciąż żyło, pod rządami komunizmu.

W 1968 roku w Polsce partia rozpętała obrzydliwą kampanię przeciw ludziom pochodzenia żydowskiego, zarówno w swoich szeregach, jak i wśród studentów – szczególnie tych, którzy byli dziećmi żydowskich komunistów. Teraz te dzieci polskich odpowiedników Czerwonej Lizzy i Frau R. odgrywały istotną rolę w antykomunistycznej opozycji – zupełnie niewspółmierną do ich liczebności. To jeszcze jeden rozdział niezwykłego żydowskiego wkładu w historię Europy Środkowej.

Opozycjoniści, zarówno żydowskiego, jak i nieżydowskiego pochodzenia, wiele opowiadali o nękanii przez tajną policję, dyskryminacji i wsadzaniu do więzienia, przy których opowieści niemieckiego pokolenia '68 o *Berufsverbot* i „strukturalnej przemocy” wydawały mi się w większości niepoważne i histeryczne. Uwielbiałem te polskie opowieści opozycyjne. Ogromnie podziwiałem starszych przywódców „Solidarności”, intelektualistów – ludzi takich, jak Bronisław Geremek, historyk, który wówczas zajął się tworzeniem historii, i ksiądz Józef Tischner, z niewyczerpanymi zapasami góralskich dowcipów ze swych rodzinnych stron. Największe jednak wrażenie robili na mnie nie intelektualiści, lecz hutnicy, chłopcy, urzędnicy i gospodynie domowe, którzy właśnie odkryli własny głos i wypowiadali nim proste, głęboko poruszające słowa. Był to moment o wymiarze religijnym: oni mówili językami.

Tak wyglądały rewolucje w roku 1989 w całej Europie Środkowej, jednakże w Polsce w latach 1980–1981 widziałem to po raz pierwszy. To nie poeta, lecz poznański robotnik, niski człowiek o bladej twarzy, w brudnej czarnej kurtce, powiedział mi, że „to jest rewolucja duchowa”. Były to

też, rzecz jasna, bardzo trudne czasy, galopująca inflacja, olbrzymie zamieszanie i strach przed sowiecką inwazją. Strach ten był jednak często ostrzejszy poza krajem niż w samej Polsce. Zbigniew Herbert, wielki poeta polskiego oporu, wrócił do Warszawy z początkiem 1981 roku żartując, że nie mógł wytrzymać napięcia za granicą. Spotykałem się potem z tym dziwnym przemieszczeniem optyki, gdy podróżowałem do innych miejsc kryzysowych – Nikaragui, Salwadoru, Bośni. Z zewnątrz wydaje się, że wszyscy wciąż żyją na skraju przepaści. Na miejscu okazuje się, że mieszkają tam normalni ludzie, zajmujący się swymi zwykłymi sprawami, flirtujący, plotkujący, chodzący na zakupy spokojnymi głównymi ulicami.

Ta pamiętna zimowa wyprawa zakończyła się dla mnie, gdy trzech krzepcy tajniacy zapukali do drzwi mojego hotelowego pokoju, zawieźli zniszczonym polonezem na SB i dali mi dwadzieścia cztery godziny na opuszczenie kraju. Poleciałem wówczas do Hamburga na spotkanie z wydawcą i redaktorami „Spiegla” i na rozmowę, której nigdy nie zapomnę. Według mojego dziennika, toczyła się ona mniej więcej tak: redaktor naczelny do mnie: „Czy Rosjanie wkroczą w przyszłym tygodniu?” Wyjaśniam, że Warszawa jest ostatnim miejscem, gdzie można by to obiektywnie ocenić. Wydawca do naczelnego: „Czy mamy czołgi?” Po chwili zdaję sobie sprawę, że ma na myśli fotografie czołgów na okładkę. Naczelny: „Prawdę mówiąc, rosyjskie czołgi nie sprzedawały się zbyt dobrze” (na poprzedniej okładce widniał rosyjski czołg rozgniatający polskiego białego orła). Wydawca, rozparty w fotelu, zastanawia się głośno: „Żeby był dobry temat na okładkę, najpierw powinna porządnie polać się krew”. Nie podzielałem jego poczucia humoru.

Kontrast między Niemcami a Polską był wówczas szczególnie ostry. Ogólnie rzecz biorąc, w Polsce doświadczenie wolności i nadzieja na wolność przewyższyły obawę przed wojną; w Niemczech było odwrotnie. Wiele było tego

przyczyn – inna historia, inny stosunek do Rosji – ale jedną z nich było to, że jeśli Układ Warszawski wkroczy do Polski, to wschodniemiecka armia będzie musiała wziąć w tym udział, podobnie jak w czasie inwazji na Czechosłowację w 1968 roku. Żołnierze niemieccy ponownie przekroczą polską granicę, czterdzieści jeden lat po hitlerowskim Wehrmachcie. W dniu, w którym wyjechałem z Berlina na Wschodniego, zapisałem w dzienniku: „Wydaje mi się bardzo prawdopodobne, że Rosjanie wkroczą do Polski. (Czy Niemcy też? Doktor D. odpowiada dziś – *Ja*)”. Doktor D. to oczywiście doktor Demps, który urządził mi wówczas pożegnalny lunch i wręczył ów piękny tom z rysunkami Zillego.

Bardzo trudno jest przenieść się wstecz i dokładnie przywołać obawy tamtego czasu. Ponieważ tak się w końcu nie stało, mamy poczucie, że stać się nie mogło. Dziś jednak, gdy to piszę, mam przed sobą oficjalny zapis tego, co przywódca NRD Erich Honecker powiedział członkowi polskiego politbiura Stefanowi Olszowskiemu 20 listopada 1980 roku: „Nie jesteśmy za rozlewem krwi. To jest ostateczność. Jednak i tę ostateczność trzeba będzie zastosować, gdy konieczna będzie obrona władzy robotniczo-chłopskiej. Tak było u nas w 1953 roku, tak było również podczas wydarzeń 1956 roku na Węgrzech i w 1968 w Czechosłowacji”. Mam także przed sobą rysunek z archiwum eneradowskiego ministerstwa obrony, pokazujący plan ewentualnego przekraczania granicy polskiej. Jak bliski był Związek Sowiecki inwazji na Polskę i jak znaczący udział w niej NRD był poważnie brany pod uwagę – na zawsze pozostanie kwestią historycznych spekulacji. Jednakże obawy nie wzięły się z niczego.

Na Zachodzie była także jeszcze większa obawa, która wydaje się dziś szczególnie nieprawdopodobna. Była to obawa, że we wzrastającym napięciu tak zwanej „drugiej zimnej wojny” – Reagan kontra Breżniew, amerykańskie

pociski „cruise” kontra sowieckie SS 20 – polska rewolucja może podpalić lont wojny nuklearnej, która zniszczyłaby wszelkie życie na ziemi. Był to czas ogromnych demonstracji pokojowych w Bonn, Londynie i Amsterdamie. Ludzie przyklejali na samochodach napisy: „Jest za pięć dwunasta”.

Miałem zdecydowanie więcej sympatii do ruchu wolnościowego w Europie Wschodniej niż do ruchu pokojowego na Zachodzie. Prowadziłem nawet polemikę z historykiem E.P. Thompsonem, wielkim starotestamentowym prorokiem brytyjskiego ruchu pokojowego, dotyczącą związków między tymi ruchami. Przypominam sobie, że sądziłem wówczas, iż groźba wojny nuklearnej jest bardzo, a nawet histerycznie przesadzona. Znów jednak pamięć płata figle. Ze zdziwieniem znajduję na ostatniej stronie mojego dziennika z 1980 roku zdanie napisane moim pismem: „W następnej dekadzie będzie wojna nuklearna”. A potem dużymi literami, jak gdyby małe nie wystarczały: „W NASTĘPNEJ DEKADZIE BĘDZIEMY ŚWIADKAMI WOJNY NUKLEARNEJ”.

Na tle tej rewolucji i nadchodzącej apokalipsy moje prywatne życie także zostało odmienione. Zakochałem się. Danusia, zanim przeniosła się do Berlina Zachodniego, żyła w opozycyjnym intelektualnym środowisku pięknego Krakowa. Pełna była poezji i zachwytu, bardzo ładna, bardzo żywa, zarażała zarówno swym entuzjazmem, jak i smutkiem. Między owymi gorączkowymi wyjazdami do Polski były letnie wycieczki rowerowe, słoneczne popołudnia w pięknych lasach wokół Wansee, wieczory w greckiej restauracji przy drodze do miasta. Później jednak, po powrocie do mieszkania przy Uhlandstrasse, jakiś telefon lub wiadomości radiowe przynosiły kolejne wiadomości o kryzysie na Wschodzie.

Spiesząc na Poczta Główną na Winterfeldtstrasse, by wysłać telexem do Londynu kolejny artykuł, słuchałem

w samochodzie Dietricha Fischera-Dieskaua, śpiewającego pieśni Schuberta:

*Lachen und Weinen zu jeglicher Stunde
Ruht bei der Liebe auf so mancherlei Grunde.*

Raz śmiech, a za chwilę płacz, tak to już jest w miłości. W miłości i w rewolucji. W moim dzienniku zapisy naszych chwil uniesienia i kryzysów przeplatają się z taki zdaniami jak: „wielkie obawy o Polskę”. Wydawało się, że nasz los i los Polski całkowicie splatają się ze sobą.

Dzisiaj nasi synowie domagają się, by opowiadać im historyjki, zwłaszcza śmieszne, o życiu w czasach komunizmu, a w szczególności o tajnej policji. „Opowiedz nam, mamo, jeszcze jedną historyjkę o głupim milicjancie!” Dla nich są one prawie jak opowieści z Narni. Fragment berlińskiego muru, który teraz podtrzymuje książki na szafce, mógłby równie dobrze pochodzić z Pompei.

Nawet ja potrzebuję ogromnego wysiłku pamięci – a może wyobraźni? – by odtworzyć tamte przeżycia. Po raz pierwszy sam doświadczyłem tego, jak to jest, gdy władza uniemożliwia coś, czego się naprawdę pragnie. Znałem zakazy rodziców, dyrektora szkoły, jakiejś prywatnej instytucji, ale nie władzy państwowej. Czytałem o tym, rzecz jasna, potem widziałem bezpośrednio w Europie Wschodniej; teraz jednak właśnie mnie się to przytrafiło. Mnie i osobie, którą kocham.

Granice, wizy, zezwolenia stały się dla mnie chlebem powszednim, jak nigdy dotąd. Nawet w snach prześladowała nas straż graniczna. Według mojego dziennika, pewnej nocy w marcu 1981 roku śniłem, że jedziemy pociągiem przez Polskę i dyskutujemy, jak się z niej wydostać. Podrobić wizy? Potem strażnik pędzi wzdłuż pociągu furmanką, taką jakie wciąż można spotkać na polskich wsiach, krzycząc: „Ustrzyki! Alarm!” Tej samej nocy Danusia śni, że idziemy z grupą przyjaciół przez las do granicy. Zostajemy złapani przez enerdowską straż graniczną.

Każą grupie rozdzielić się: ci, którzy są z a Niemiecką Republiką Demokratyczną, mają iść na lewo, a ci, którzy są przeciw – na prawo. Potem strzelają do obu stron. Ona ucieka, zabierając w czasie przechodzenia przez granicę kanapkę z bakłazanem ze srebrnej tacy, trzymanej przez Murzyna w enerdowskim mundurze.

Ten ostatni surrealistyczny szczegół powstał prawdopodobnie pod wpływem sztuki Petera Zadeka *Fallada-Revue*, na której byliśmy w teatrze kilka dni wcześniej. Sam poczułem się nie mniej surrealistycznie, gdy kilka godzin później, wróciwszy do Londynu, znalazłem się na dorocznym koktajlu „Spectatora”. Albo też, w czasie innego krótkiego powrotu, gdy wpadłem na spotkanie Partii Socjaldemokratycznej w Connaught Rooms w centrum Londynu. „Dość nudna impreza”, według mojego dziennika. Notuję również jeremiadę Davida Owena: „Nasze społeczeństwo jest naprawdę w trudnej sytuacji”.

Wprowadzenie przez generała Jaruzelskiego stanu wojennego w Polsce, 13 grudnia 1981 roku, spadło na nas, gdy oboje byliśmy w Anglii, zatrzymawszy się u Jamesa Fentona w jego nowym domu w Oksfordzie. Pierwszego wieczora po wprowadzeniu stanu wojennego Danusia nie mogła opanować roztrzęsienia. Jej kraj był naprawdę w trudnej sytuacji. Ja czułem ogromną frustrację i miałem poczucie winy, że nie jestem tam, gdy naszych przyjaciół zamyka się w obozach. Usiłowałem wrócić do Polski z konwojem pomocy, lecz – tak jak przypuszczałem – ambasada odmówiła mi wizy. Potwierdza to teraz zdanie z mojej teczki: „W Polsce jest już na czarnej liście”.

Nie były to wesołe święta. Powrót do dyktatury, żelazna brama zatraskująca się na drodze do Polski – wzmocniły nieodwołalność decyzji, którą podjęła Danusia, by zostać ze mną. Olbrzymi, nieprzeliczalny, osobisty koszt rozpoczynania życia na nowo w innym kraju. Pewnej nocy śniło się jej, że wróciła do swojego starego domu w Krakowie. Rosło przed nim drzewo. Ścięła je.

Ja, przeciwnie, wróciłem do własnego kraju, do tego samego starego miasta. Lecz nawet jeśli miasto było takie samo, ja – nie. Do momentu decyzji w istocie żyłem wciąż z osobliwie angielskim – i w ogóle osobliwym – ideałem emocjonalnego dystansu, samodyscypliny i samowystarczalności: „raczej powściągliwy”, jak Litzy powiedziała o Kimie. Byłem żołnierzem „na tajnym froncie”, podróżującym szybko, bo podróżującym samotnie. W innym notesie z tego czasu znajduję: „czytam *Zwycięstwo* Conrada [...] Heyst: «Wiem tylko, że człowiek, który stworzył dla siebie więzy, jest zgubiony. Zarodek zepsucia przeniknął do jego duszy». Do niedawna moja własna zasada. Teraz jednak myślałem już inaczej. „Człowiek, który stworzył dla siebie więzy, być może nie całkiem jest zgubiony – napisałem. – Zarodek zbawienia przeniknął do jego duszy...”

X

Mimo wszystkich imponujących pomysłów zawartych w ich „planie działania” na wiosnę 1981 roku – reaktywowanie informatorów, sprawdzanie korespondencji, współdziałanie z HVA, zapytanie KGB, czy Anglicy interesują się znów Kimem Philbym – jesienią tegoż roku funkcjonariusze z wydziału II/9 wciąż nie wiedzieli, czym się tak naprawdę zajmują. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia w końcu odnotowali sukces.

24 grudnia 1981 roku podpułkownik Kaulfuss składa raport szefowi kontrwywiadu, generałowi Kratschowi. „Jak wynika z załączonych materiałów – pisze – Garton Ash wykorzystywał swój oficjalny pobyt w NRD do nielegalnego zbierania informacji”.

Co kryje się za owymi niewinnymi słowami „załączone materiały”? Raport tajnego informatora? Podsluchana rozmowa telefoniczna? List wykradzony w ciemną noc z mojej skrzynki pocztowej przy Uhlandstrasse? Cynk od KGB? Nie mogąc się doczekać, odwracam stronę...

...I znajduję: kserokopie fragmentów mojej książki o Wschodnich Niemczech opublikowane w listopadzie w „Spieglu”. Tak więc enerdowska tajna policja odkryła, czym się tak naprawdę zajmowałem w ich kraju jedynie dzięki temu, że przeczytała moje opublikowane relacje, równocześnie z kilkoma milionami zwykłych czytelników czołowego zachodniemieckiego magazynu.

Przeglądając fragmenty, wydrukowane pod prowokacyjnym tytułem „Wśród czerwonych Prusaków”, rozumiem, dlaczego Stasi było rozdrażnione. Szczegółowo opisuję militaryzację enerdowskiego społeczeństwa, wielkość aparatu represji i liczbę informatorów. Podaję cytaty z artykułu, w którym minister bezpieczeństwa państwa zwrócił uwagę, że osiągnięcia Ministerstwa „byłyby nie do pomyślenia bez energicznej pomocy i wsparcia obywateli naszego kraju”. „Choć raz – komentuję – minister mówi prawdę”. Pokazuję ową energiczną pomoc społeczeństwa na konkretnym przykładzie aktora grającego doktora Fausta w Schwerinie, który – zamawiając dla nas po dużym martini, a dla siebie małe piwo – usiłował dowiedzieć się od byłego męża Andrei, czy kiedykolwiek myślał o ucieczce na Zachód, a ode mnie, czy jestem zachodnim dziennikarzem. „W NRD – piszę – Mefistofeles być może nadal pracuje dla diabła, lecz doktor Faust pracuje teraz dla Stasi”.

Co więcej, szeroko i niekorzystnie porównuję polski opór i niemiecki konformizm. Być może pewnego dnia także wschodni Niemcy zrobią rewolucyjny krok od solidarności osobistych rozczarowań do polskiej publicznej „Solidarności”, „jednakże teraz, na początku lat osiemdzie-

siątych, wydaje się to równie prawdopodobne jak zburzenie muru”.

Dopiero teraz, gdy było już za późno, enerdowskie władze ruszyły do akcji. Wydział Prasowy Ministerstwa Spraw Zagranicznych stwierdził, że choć usiłowałem „sprawić wrażenie obiektywnego obserwatora różnic w rozwoju społecznym w NRD i PRL”, w rzeczywistości podburzałem „do przeszczepienia kontrrewolucji do NRD”. Ze względu na rolę, jaką niewątpliwie odgrywałem „w ideologicznej wojnie imperialistycznych środków masowego przekazu przeciwko NRD”, powinienem zostać umieszczony na liście tych, którym nie wolno ponownie wkraczać do kraju. Wezwano także brytyjskiego dyplomatę do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, by złożyć oficjalny protest.

Dołączono zapis ze spotkania z pierwszym sekretarzem ambasady brytyjskiej, z 4 stycznia 1982 roku; kopia dla wiceministra spraw zagranicznych. Według tego dokumentu, spisane go przez Herr Grundmanna z wydziału brytyjskiego, panu Astleyowi powiedziano, że publikowane przeze mnie teksty „nie tylko zawierają złośliwie spreparowane kłamstwa i oszczerstwa wobec NRD, lecz także umyślnie nakłaniają do działań przeciwko pokojowi, odprężeniu, pokojowej współpracy między narodami i międzynarodowemu porozumieniu. Było to pogwałcenie helsińskiego Aktu Końcowego i stanowiło bezpośrednie wtrącanie się w wewnętrzne sprawy NRD [...]. Stanowczo podkreślono, iż oczekuje się, że tego typu działania, skierowane przeciwko rozwojowi stosunków między NRD a GB [Wielką Brytanią], nie powtórzą się już więcej”.

W odpowiedzi „Astley wspominał o tak zwanej osobistej wolności brytyjskiego dziennikarza, przez co ambasada nie miała wpływu na to, co pisał”. Jednak towarzysz Albrecht nie pozostał dłużny. Nie byłem tylko dziennikarzem, lecz przebywałem tam na mocy umowy kulturalnej. Astley odpowiedział, że nie wszystko, co publikowano

w NRD o Wielkiej Brytanii, nam się podobało. Towarzysz Albrecht odparł, że porównanie to było „niepoważne”. Według tego zapisu, Astley następnie wyraził ubolewanie z powodu tego incydentu oraz – jako dobry dyplomata – prośbę, by moje zachowanie „nie było utożsamiane z działalnością rządu brytyjskiego i traktowane jako przeszkoda we wzajemnych stosunkach”.

Następnie akta szybko przeskakują do „raportu końcowego” z 27 kwietnia 1982. Wprowadza on korektę do pierwotnego ideologicznego osądu. Nie jestem „burżuazyjno-liberalny”, jak początkowo sądzili, lecz „konserwatywny i reakcyjny”.

Następnie zawierają streszczenie wszystkich głównych linii śledztwa zawartych w aktach: moje dane osobowe, badania historyczne, moje kontakty z ambasadą brytyjską, Wernerem, „Michaelą” i Litzy Philby, „powszechnie znaną jako «Czerwona Lizzy»”. „Należy przyjąć, iż jego kontakty wykraczały daleko poza krąg znanych nam osób”. Dalej Polska i moje kontakty z „przywódcami kontrrewolucji”; przeszukanie na lotnisku i jego trofea; potem moje artykuły w „Spieglu” i „brytyjskich gazetach i magazynach: «Times», «Sunday Telegraph» i «Spectator»”. W końcu wydanie książki, w której „oczerniam w szczególnie odrażający sposób ekonomiczny i społeczny rozwój NRD oraz atakuję przywódców partyjnych i państwowych, jak również politykę zagraniczną i wewnętrzną naszej republiki”. Do tego używam „agresywnych i wyrafinowanych antykomunistycznych argumentów”. Fragmenty tej książki nadawane były przez zachodniemiecką rozgłośnię radiową RIAS (szeroko słuchaną w NRD), która przeprowadziła ze mną także wywiad przez telefon. Ten telefoniczny wywiad sugeruje, „że najprawdopodobniej mieszka on znów w Oksfordzie”.

Podsumowując, porucznik Wendt dochodzi do wniosku, iż wykorzystywałem moją pracę naukową o Berlinie czasów nazizmu jako pretekst do zbierania materiałów, by

zniechęcić NRD, a pisząc o Polsce otwarcie zadeklarowałem się „po stronie kontrrewolucji”. Ponieważ na stałe mieszkam teraz znów w Anglii, „możliwości dalszych działań operacyjnych są znacznie ograniczone. Ze względu na to, iż Garton Ash wielokrotnie próbował mieszać się w wewnętrzne sprawy NRD i PRL, OPK «Romeo» zostaje zamknięta, a wydział główny VI wprowadza zakaz wjazdu do kraju”.

Z niejasnych powodów szlaban nie zamknął się przede mną jeszcze przez kilka miesięcy. W teczce Wenera niejaki porucznik Günther składa raport ze wschodniej strony Checkpoint Charlie, że 25 sierpnia 1982 roku pojawiłem się o 9. rano i poprosiłem o jednodniową wizę turystyczną. On, niżej podpisany, znał mnie z przeszłości, gdy napisałem „negatywny artykuł w zachodniej prasie” o tym właśnie posterunku granicznym. „Podczas kontroli paszportowej i celnej [TGA] był spokojny i opanowany i odpowiadał kontrolerom jedynie konieczne minimum. Przy tym zawsze na początku próbował mówić po angielsku, choć zna niemiecki. Obywatel ten był schludnie i przyzwoicie ubrany, prezentował się dobrze”. Zaobserwowałem, że wsiadłem do samochodu, zapisał numer rejestracyjny i ustalił, że należał on do Krätchella Wenera.

W znajdującej się w mojej własnej teczce notatce porucznik Wendt pisze, iż w końcu „6 grudnia 1982 wydział główny VI wprowadził zakaz wjazdu do kraju dla «Romea» do 31.12.89”. Jak wiele miało się zmienić do 31 grudnia 1989 roku!

Zakaz ten, jak głosi notatka, miał dotyczyć wjazdu do NRD, podróży tranzytowych nie określonych przez umowy tranzytowe z państwami zachodnimi „oraz – zgodnie z instrukcjami towarzysza Ministra – szczególnie tranzytu między RFN a Berlinem Zachodnim”.

I rzeczywiście, w 1983 roku zawrócono mnie w podziemnym przejściu granicznym na stacji Friedrichstrasse. Gdy

zapytałem oficera, dlaczego, odpowiedział: „podawanie powodów nie należy do międzynarodowych zwyczajów”. Jakiś czas później, także na stacji Friedrichstrasse, usunięto mnie z pociągu jadącego na głównej trasie z Berlina Zachodniego do Polski. Ponownie straż graniczna nie podała mi powodów, jednakże skrupulatnie oddano mi 5 marek, które zapłaciłem za wizę tranzytową.

XI

Teraz chciałbym dowiedzieć się czegoś o funkcjonariuszach Stasi. Bo jeśli ja i moi przyjaciele stanowiliśmy jedno ramię trójkąta, a informatorzy drugie, to funkcjonariusze – trzecie. Co to znaczyło pracować w ministerstwie? Skąd się tam wzięli? Co myśleli, śledząc mnie? Co robią teraz?

Nie jest to proste. Niewielu byłych funkcjonariuszy rozmawiało z historykami i dziennikarzami. Z wyraźnym podstarzałym obecnie Erichem Mielke zrobiono w więzieniu wywiad dla „Spiegla”; Markus Wolf stał się ulubieńcem telewizyjnych talk-shows. Mniej znane postacie utworzyły Insider Komitee, komisję złożoną z byłych pracowników Stasi, powołaną do badania historii swojego ministerstwa z większym zrozumieniem, niż robili to do tej pory ludzie z zewnątrz. Brali oni także udział w spotkaniach z byłymi ofiarami Stasi: osobliwej mieszance historycznej narracji i terapii grupowej. Jedną z grup pod przewodnictwem wschodniobерlińskiego duchownego Ulricha Schrötera spotykała się regularnie przez kilka lat. Wielu byłych funkcjonariuszy jest obecnie bezrobotnych, choć kilku znalazło dobrą pracę. Pastor Schröter opowiada mi o jednym, który pracuje jako mówca pogrzebowy. Ma duże wzięcie w ostatniej posłudze dla dawnych kolegów.

Wkrótce zdaję sobie sprawę, że ci, którzy są najbardziej chętni do rozmowy, wywodzą się z wywiadu, HVA. Ich działalność zbliżona była do tego, co robi „normalny” wywiad, co robią wszystkie państwa – mają więc poczucie, że nie ma się czego wstydić. Na przykład Wolfgang Hartmann, czołowa postać Insider Komitee, proponuje obiad

w barze Sternchen, nieopodal Karl-Marx-Allee, niedaleko miejsca, gdzie jadłem makaroniki z Litzy Philby. Gdy przychodzę, mówi mi, że było to ulubione miejsce spotkań szpiegów. Hartmann – typ gadatliwego piwośza – sam prowadził agentów, podróżował na fałszywych dokumentach do Niemiec Zachodnich na tajne spotkania ze swymi, jak ich delikatnie nazywa, „partnerami”. Jego najlepszym „partnerem”, jak mówi, był wysoki urzędnik rządowy w Bonn. Wie pan, jeden z pokolenia '68...

Czy nie bał się podczas tych tajnych misji, kiedy każdy jego krok wiązał się z ryzykiem wysokiego wyroku więzienia?

Na początku – oczywiście tak, jednakże szybko się do tego przyzwyczajało. Dla Niemca w Niemczech nie było to bardzo trudne, on w dodatku starannie pielęgnował swój akcent z okolic Mannheimu, skąd naprawdę pochodzili jego rodzice.

Zauważam, że doskonale opanował nieco ciężkie maniere staroświeckiego zachodniemieckiego socjaldemokraty. Przykrywka czy prawda? Być może, on sam już nie wie.

Stanowczy Klaus Eichner był wysoką figurą w wydziale HVA, który zajmował się kontrwywiadem w sensie ofensywnym, próbując szpiegować szpiegów drugiej strony, podczas gdy działalność kontrwywiadowcza głównego wydziału II generała Kratscha miała polegać na obronie NRD przed obcymi szpiegami działającymi w granicach kraju. W języku niemieckim istnieją na to dwa różne słowa: pierwszy typ działalności to *Gegenespionage*, a drugi – *Spionageabwehr*. Znaczący twierdzą jednak, że w praktyce obie aktywności zachodziły na siebie.

Eichner szczegółowo badał zachodnie służby wywiadowcze. Twierdzi, że Stasi w pełni je spenetrowała: „wiedzieliśmy wszystko, co oni o nas wiedzieli”. Jednakże wywiad brytyjski (SIS, znany także jako MI6) był naprawdę doskonały. „Wysokiej jakości”, oparty na pracy niewielu

agentów i zawsze „dżentelmeński” – tu posługuje się słowem angielskim. Miał raz możliwość porównania notatek sporządzonych przez oficera SIS i jego enerdowskiego odpowiednika – obaj pracowali pod przykrywką dyplomatyczną – z tego samego spotkania. Raport Anglika był o wiele lepszy! Misterny, wnikliwy, nastawiony na konkretną osobę, podczas gdy Niemiec gubił się w ideologicznych komunach. Nie, nie powie mi, jak zdobyli raport Anglika.

Siedząc w swym małym mieszkaniu w wieżowcu, Werner Grossmann, ostatni szef HVA, opisuje, jak pod koniec 1989 i z początkiem 1990 roku wraz z kolegami niszczyli akta. Gdy po szturmie na Ministerstwo wielkie maszyny do niszczenia dokumentów zostały wyłączone, oni nie przestawali niszczyć za pomocą małych osobistych niszczarek – „takich jak ta”, mówi, pokazując za firankę, gdzie teraz leży ów pożeracz tajemnic: sentymentalna pamiątka szczęśliwszych dni, jak karabin na ścianie starego żołnierza.

A potem jego poprzednik, Markus „Misza” Wolf, ojciec i legendarny długotrwały szef służb wywiadowczych. Wysoki, dobrze ubrany, dystyngowany, Wolf przechadza się po okolicy jak król, wyniośle kłaniając się ludziom, którzy pozdrawiają go na ulicy. Gdy zbliżamy się do pomnika Marksa i Engelsa, który nadal stoi – jak długo jeszcze? – w samym centrum Berlina Wschodniego, pytam go, czym różniły się metody tajnych służb na Wschodzie i na Zachodzie. „Powiedziałbym, że absolutnie niczym”, odpowiada bez wahania. Jeśli była jakaś różnica, to między metodami obu stron w Europie, które w latach osiemdziesiątych stały się stosunkowo „cywilizowane”, a metodami CIA w Ameryce Łacińskiej, czy też Mossadu i innych służb na Bliskim Wschodzie.

Co dobrego robili szpiegowie?

Pomagali utrzymać pokój w Europie. Obie strony wiedziały tak dużo, iż było niemożliwe, by jedna strona przy-

gotowała agresywną akcję, a druga wcześniej o tym nie wiedziała. W szczególności zmniejszali niebezpieczeństwo wojny nuklearnej. A było to, jak podkreśla, realne niebezpieczeństwo. Zimna wojna nie była wojną wymagowaną, o co zaledwie parę dni temu sprzeczał się z nim historyk Eric Hobsbawm. Pamięta, jak siedział przez całą noc podczas kryzysu kubańskiego i berlińskiego, próbując zebrać wszystkie strzępy informacji „z naszych źródeł”. Naprawdę sądził, że byliśmy na krawędzi wojny.

Wolf jest dokładnie taki, jak się o nim mówi – przystojny, inteligentny, kulturalny, interesujący, dowcipny, czarujący. Stanowi więc wielką zagadkę: jak mógł ugrzęznąć na trzydzieści pięć lat w tym właśnie ministerstwie, z bandą takich ludzi? Powtarza się zagadka Speera. Jednakże Markus Wolf, ten Albert Speer Niemiec Wschodnich, wciąż czeka na swoją Gittę Sereny. Sereny stopniowo zmusiła Speera do uświadomienia sobie rozmiarów jego własnej współodpowiedzialności za zbrodnie Trzeciej Rzeszy, za Holocaust. Wolf jeszcze nie przyznaje się do współodpowiedzialności za wewnętrzne represje w NRD: mniejsze zbrodnie, rzecz jasna, ale jednak – jak sam mówi – „rzeczy złe”.

Twierdzi on, że w wywiadzie kulturował inny etos niż panujący w reszcie Stasi, a inni to potwierdzają. Potem jednak, wspominając, iż NRD określano jako „społeczeństwo nisz”, mówi, że HVA było jego „niszą”. Wielki biurowiec wśród głównych budynków Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa – niezła nisza! Faktem jest, że jego służby były ściśle połączone z wewnętrznym aparatem represji. Współpracowano ze sobą w niezliczonych sprawach – co widać nawet w moich aktach. Był wiceministrem i blisko współdziałał z Mielkem, rok za rokiem.

Ci, których zawodem było szpiegowanie własnych rodaków, znacznie mniej palą się do rozmowy. Niemniej jednak kilku z nich wzięło udział w grupach dyskusyjnych pa-

stora Schrötera. Kurt Zeiseweis, na przykład, jest ich regularnym uczestnikiem. Za mojej bytności był zastępcą dyrektora wydziału XX w Berlinie, odpowiedzialnego za obserwację i kontrolę stołecznych opozycjonistów, życia kulturalnego, Kościołów i uniwersytetów, w tym Uniwersytetu Humboldta. Klasyczna działalność politycznej tajnej policji. Werner zaprasza Herr Zeiseweisa na spotkanie z nami w probostwie Pankow.

Zeiseweis – niski, siwowłosy człowiek, o małych niebieskoszarych oczach i zaróżowionych policzkach, w brązowych butach do biegania, szarych spodniach i bluzie z absurdalnym napisem „Następne Pokolenie”. Urodził się w 1937 roku. Gdy był dzieckiem, jego ojciec poszedł na wojnę. Matka była biedna, pełna poświęcenia, pracowita – i była komunistką. W nowym ustroju wysłano go do partyjnej szkoły z internatem. Jego matka została wówczas terenowym sekretarzem partyjnym i zaproponowała mu, by pracował w urzędzie bezpieczeństwa. I tak też zrobił, spędzając trzydzieści lat w berlińskim biurze, głównie w wydziale XX.

Mały Herr Zeiseweis roztacza wokół siebie atmosferę biurokratycznej uczciwości i dyskretnej godności. Mówi, że gdy przemawiał podczas szkolenia politycznego w tak zwanym „czerwonym tygodniu” na Uniwersytecie Humboldta, studenci powiedzieli mu, że był lepszy niż wiceminister spraw zagranicznych. Dzisiaj przede wszystkim chce podkreślić, że jego zachowanie i obyczaje były na wysokim poziomie. Był człowiekiem poświęcającym się dla rodziny. Zawsze był wierny swojej żonie, a ona jemu. Ich dzieci zostały dobrze wychowane, mieszkali na osiedlu w całości zajmowanym przez pracowników Stasi. Jego rodzina nigdy nie oglądała zachodniej telewizji, nigdy, oprócz jednego razu – gdy Amerykanie wylądowali na Księżycu.

Owszem, w ministerstwie działy się niedobre rzeczy. Na przykład drużyna piłkarska Stasi „Dynamo Berlin”, którą tak bardzo interesował się Mielke, i korupcja wokół niej. On jednak nie miał z tym nic wspólnego. „Osobiście –

mówi poważnie – jestem wrogiem piłki nożnej”. Poza tym, ludzie z jego wydziału mówili o „pozbyciu się” opozycyjnego pastora Rainera Eppelmana: zaaranżowaniu wypadku samochodowego albo czegoś podobnego. On z tym także nie miał nic wspólnego. Innym razem rozważano nakłonienie jakiejś dziewczyny, by zaraziła czołowego opozycjonistę Roberta Havemanna chorobą weneryczną. I znów on tego nie aprobował.

On nie. Nie, on był przyzwoitym człowiekiem. Jednakże raz – tylko raz – postąpił źle. Podczas włamania do czyjegoś mieszkania znaleźli wspaniałą kolekcję „małych modeli samochodów” (Werner mówi mi potem, że wszyscy w NRD nazywali je „samochodzikami z Matchboxu”, jednakże wewnętrzny cenzor Zeiseweisa wciąż zakazuje mu używania tego zachodniego słowa). Inni ludzie z grupy prowadzącej przeszukanie kradli różne rzeczy z mieszkania. I on po prostu nie mógł się oprzeć. Tak, ukradł kilka tych „małych modeli samochodów”. Zrobił to. Potem sprawa wyszła na jaw i musiał się przyznać. „Bardzo się wówczas wstydziłem”.

Kiedy już wyszedł, Werner i ja spoglądamy na siebie, kiwamy głowami i zaczynamy się po cichu śmiać. W przeciwnym wypadku musielibyśmy się rozpłakać. Tutaj, na tym krześle, siedział przed chwilą przed nami doskonały, podręcznikowy przykład podrzędnego urzędnika zła. Dobry człowiek kochający rodzinę. Dumny ze swojej poprawności, lojalności, pracowitości, uczciwości – ze wszystkich tych „drugorzędnych cnót”, które niegdyś były kluczowe w kolaboracji z nazizmem (i które owo Pruskie Stowarzyszenie ma nadzieję wskrzesić). Ten człowiek nie jest zdolny uświadomić sobie, do dziś dnia, systematycznego zła, którego był lojalnym sługą, ale ma wyrzuty sumienia z powodu kradzieży kilku samochodzików z Matchboxu.

A co z funkcjonariuszami zajmującymi się moją sprawą, w wydziale głównym II? Wydział ten, jak się do-

wiaduję od ekspertów, rozrósł się gwałtownie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych z niewielkiego, około 200-osobowego zespołu kontrwywiadowczego do jednej z największych i najważniejszych części ministerstwa, zatrudniającej w 1989 roku ponad 1400 pełnoetatowych pracowników w samej siedzibie głównej. Jego szef od 1976 roku, generał Kratsch, który pojawia się pod koniec mojej teczki, stał się jednym z głównych współpracowników Mielkego. Był profesjonalistą wysokiej klasy i człowiekiem dość bezwzględny, zarówno w pracy, jak i w polityce biura. W 1987 roku został w pełni odpowiedzialny za cały „kontrwywiad” w ministerstwie. Tymczasem jego wydział został rozszerzony, aby sprostać wyzwaniom, wynikającym ze wszystkich tych nowych związków z Zachodem w ramach odprężenia. Obserwowali nie tylko zachodnich szpiegów, lecz także zwykłych zachodnich dyplomatów, zachodnich dziennikarzy, zachodnich pracowników naukowych, zachodnich artystów, wszystkich ludzi, którzy stanowili potencjalne zagrożenie dla systemu komunistycznego.

Niestety, byli funkcjonariusze głównego wydziału II są szczególnie niechętni do rozmowy. „Ci faceci z kontrwywiadu trzymają gęby na kłódkę” – wyjaśnia usprawiedliwiająco Herr Hartmann. Insider Komitee niewiele może mi pomóc, tak więc muszę radzić sobie dalej sam. Znam tylko nazwiska, stopnie i wydziały tych, którzy pracowali nad moją sprawą: porucznik Wendt – funkcjonariusz odpowiedzialny, major Risse – naczelnik sekcji, pułkownikowie Kaulfuss i Fritz – kierownicy wydziału, oraz generał Kratsch – szef. Jak zwykle, pomocny Urząd Gaucka znajduje mi następnie ich karty pracownicze, na których znajdują się imiona, daty urodzenia i paszportowe fotografie. Potem otrzymuję ich akta personalne, zawierające więcej szczegółów – o pochodzeniu rodzinnym, rekrutacji, karierze i działaniach dyscyplinarnych podjętych przeciwko nim. Stopniowo, jak detektyw, konstruuje sobie ich obraz i zaczynam ich tropić.

Tak się zdarzyło, że rozpoczynam od samej góry. Pastor Schröter zdobywa adres generała Kratscha za pomocą jednego telefonu. Jednakże mówi się, że Kratsch nie jest skory do rozmów. Zbiegiem okoliczności mieszka on w tej samej, miłej, choć zniszczonej podberlińskiej miejscowości, gdzie w 1980 roku mieszkała moja przyjaciółka Andrea. Nie ma telefonu, albo ma zastrzeżony numer. Postanawiam więc połączyć wizytę u generała z wizytą w starym domu Andrei. Czy ona wciąż tam mieszka?

Długa podróż *S-Bahnem*, staroświecką naziemną kolejką podmiejską. Brukowane ulice, a potem zakurzona ścieżka prowadzą mnie do bungalowu ze sporym ogrodem, otoczonym zardzewiałym metalowym płotem. Naciśkam dzwonek. Frau Kratsch kołysząc się drepce do bramy. Pytam o Herr Kratscha, a ona wpuszcza mnie niechętnie.

Generał (w stanie spoczynku) Kratsch stoi w krótkich ogrodniczkach, trzymając grabie. Przysadzisty człowiek z olbrzymim brzuchem, krótko przyciętą brodą, rozsianą po dużym podbródku i ostrożnymi, małymi oczami.

Wyjaśniam, że jestem historykiem z Oksfordu, że jego wydział sporządził moją teczkę OPK i że chciałbym porozmawiać z nim o okolicznościach: o samych aktach, o jego pracy i w ogóle o zimnej wojnie.

Przez dłuższy czas się waha, wreszcie zgadza się na spotkanie dwa dni później.

Odchodząc pytam, jak mógłbym dojść do ulicy, gdzie kiedyś mieszkała Andrea. Och, to dość daleko, wykrzykuje, odwiozę pana.

Teraz ja się waham, lecz on mówi, „Ależ zimna wojna już się skończyła, więc mogę pana podwieźć!” I podwozi mnie swoim małym volkswagenem.

Andrea przeprowadziła się, odnajduję ją jednak w mieszkaniu na poddaszu podupadłej willi z ogrodem dochodzącym do pięknego jeziora. Wygląda prawie tak, jak ją zapamiętałem, jasnowłosa, uśmiechnięta, jej dzieci to już jednak nastolatki, starannie wychowane w owym prywatnym świecie za murem. Sądzi, że łatwiej jest być samotną matką na Wschodzie niż na Zachodzie. Uważa także, że polityczna transformacja 1989 roku przyszła we właściwym momencie dla jej syna i córki. Mieli bezpieczne dzieciństwo, pod kloszem – a teraz mają wolność.

Wspominamy, ostrożnie, lecz z przyjemnością, naszą odległą *amitié amoureuse*. „Czy pamiętasz...?” Opowiadam jej o teczce, a potem o tym szalonym podejrzeniu, które przyszło mi do głowy, gdy po raz pierwszy siedziałem przy stoliku z plastikowej imitacji drewna w pokoju Frau Schulz w Urzędzie Gaucka. Ten wieczór w Prenzlauer Berg, gdy rozsunęła firanki i włączyła światło.

Jest lekko wstrząśnięta. Chyba nie podejrzewałem jej o pracę dla Stasi? Ależ oczywiście, że pamięta tę noc. Tak naprawdę, to nie pamięta, by rozsuwała firanki. Ale pamięta, że włączyła światło.

Dlaczego?

– Bo chciałam widzieć twoją twarz.

Dwa dni później znów jadę *S-Bahnem*, wcześniej rano, na rozmowę z generałem Kratschem. Wita mnie przy bramie, ubrany w błyszczący dres ze sztucznego materiału, i wchodzimy przez zasłonę z kolorowych koralików do bungalowu, pełnego drewnianych ozdóbek i dekoracyjnych serwetek. Na jednej z półek stoi kolekcja książek kucharskich.

Chce zacząć historię od początku; zgadzam się. W 1945 roku miał 15 lat (ten sam wiek, co „Michaela”), ojca wówczas nie było, był jeńcem wojennym. Zdobył jedynie podstawowe wykształcenie, potem został ekspedientem w sklepie z artykułami żelaznymi. Wciąż jednak tęsknił za przygodą. Przypomina sobie, jak zobaczył ofertę w zachodnioniemieckim piśmie „Der Eisenhändler”, które nielegalnie szmuglowano do NRD i podawano sobie w sklepie z rąk do rąk. Chodziło o pracę w Afryce Południowej. Podekscytowany rozważał, czy nie odpowiedzieć na tę ofertę. Po sposobie, w jaki to mówi, odnoszę wrażenie, że tak naprawdę chce powiedzieć: gdybym tylko tak zrobił! Potem chciał wstąpić do marynarki. Zamiast tego jednak „oni” skierowali go do ministerstwa.

Był na szkoleniu w Poczdamie, gdzie uczono go o imponującym wywiadzie brytyjskim, jego niezrównanych umiejętnościach, długiej tradycji, roli w budowie imperializmu, określanego przez Lenina jako „najwyższa forma kapitalizmu”. Następnie skierowano go do pracy w kontrwywiadzie, na – jak to nazywali – „angielskiej linii”. On, 22-letni były ekspedient w sklepie z artykułami żelaznymi z Turynii, miał udaremniać działania legendarnego brytyjskiego

wywiadu! Potem skierowano go na „amerykańską linię”, a następnie został kierownikiem wydziału zachodnioniemieckiego. Znow miał to uczucie niedowierzania. Oto on, mały człowieczek, miał zmierzyć się ze słynnym weteranem generałem Gehlenem, szefem wschodniego wywiadu wojskowego Hitlera, potem szefem wywiadu Amerykanów, a następnie Adenauera.

Mimo to odnosił znaczne sukcesy w walce z Gehlenem, szczególnie przy pomocy podwójnych agentów. Gdy łapano agentów wroga, lubił przysłuchiwać się przesłuchaniu z drugiego pokoju. Chciał wiedzieć, dlaczego to robili.

A więc dlaczego to robili?

Częściowo dla pieniędzy. Częściowo z pragnienia przygody. I jeszcze czegoś, co nazywa „ideologią”. „Mówili, że robią to dla wolności”.

Co potem się z nimi działo?

Och, oczywiście skazywani byli na długie lata więzienia. Albo na śmierć?

Tak, na śmierć także, szczególnie na początku. Wiedzieli oczywiście, jakie ryzyko podejmują.

W 1976 roku został szefem całego wydziału głównego. Była to szansa ścisłej współpracy z ministrem, ciekawe czasy, choć miał wówczas wielki kłopot ze Stillerem – funkcjonariuszem Stasi, który szpiegował dla Zachodu, a potem uciekł. W latach osiemdziesiątych zaś miał rosnące poczucie, że dzieje się coraz gorzej. Miał zwyczaj urywać się z Ministerstwa na dobry obiad do restauracji Moskau. Ponieważ wolne miejsca w restauracjach w NRD należały do rzadkości i trzeba było dzielić z kimś stół, czasami zdarzało mu się siedzieć obok turystów z Ameryki. Lubiał prowokować ich do rozmowy. Gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia...

Czasami, gdy był gdzieś z dala od swojego biurka, jak w takich wypadkach, dzwonił minister i pytał o niego. Pewnego razu, musiało to być w połowie lat osiemdziesiątych, powiedział Mielkemu, że był na jednym z tych regularnych

wykładów, na którym wyższy funkcjonariusz partyjny oceniał bieżące wydarzenia polityczne i określał im linię partii.

– A czy powiedział wam – warknął Erich Mielke – że NRD jest bankrutem?

– Nie – odparł Kratsch – tego nie powiedział.

– No to ja wam to teraz mówię!

Tak więc w połowie lat osiemdziesiątych, w czasie gdy NRD oceniana była przez wielu zachodnich badaczy, polityków i biznesmenów jako najbardziej stabilne i najlepiej prosperujące państwo w bloku sowieckim, człowiek stojący na czele tajnej policji w tym państwie mówił szefowi swego kontrwywiadu, że kraj jest bankrutem. Oni wiedzieli lepiej.

Czy mówiąc „bankrutem”, Mielke miał konkretnie na myśli alarmujące dane dotyczące długu dewizowego?

Tak, choć nie tylko. Chodziło także o politykę. Dostrzegali wówczas iluzje Honeckera i sprzeczność między otwarciem na Zachód a próbą utrzymania systemu komunistycznego. On, Kratsch, był tym człowiekiem, do którego dzwonił rozszłoszczony Mielke, gdy ludzie chronili się w zachodnich ambasadach albo jakieś nowe rewelacje pojawiły się w „Spieglu”. Mówił ministrowi: jak możecie oczekiwać, że to powstrzymam, jeśli podpisaliśmy wszystkie te międzynarodowe umowy dotyczące polepszenia stosunków z Zachodem, warunków działalności dziennikarzy, swobody poruszania się, szanowania praw człowieka? Jest to, jak sędzę, wspaniały hołd złożony „wywrotowej” stronie polityki odprężenia.

W tych latach czuł się znudzony swoją pracą. Tak czy owak, miał odejść na emeryturę po skończeniu sześćdziesiątki, w październiku 1990 roku. Jednak 3 października 1990 Niemcy zostały zjednoczone, a jego praca nie była już potrzebna.

Gdy Kratsch kończy opowiadać swoją historię, pytam, dlaczego podejrzewali, że jestem szpiegiem.

Cóż, to bardzo proste, mówi Kratsch. Jak już mi powiedział, od początku w szkole wywiadowczej uczyło się ich respektu i strachu przed legendarnym brytyjskim wywiadem. Wówczas jednak, mniej więcej od połowy lat sześćdziesiątych, nie byli już w stanie wpaść na trop żadnych brytyjskich szpiegów. Funkcjonariusze z wydziału II/9 byli zrozpaczeni. Oczywiście, wiedzieli, kto był zawodowym oficerem SIS w ambasadzie angielskiej, trzymali ich pod obserwacją, fotografowali wszystkie spotkania z opozycjonistami i tak dalej. Ale gdzie byli ich agenci?

Tak więc gdziekolwiek pojawił się nawet na wpół podejrzanie wyglądający Anglik, natychmiast rozpoczynali śledztwo, by sprawdzić, czy nie jest on szpiegiem. Żyli nadzieją, lecz zwykle rozczarowywali się.

Czy to dlatego, że brytyjski wywiad był tak doskonały, że Stasi nie mogło znaleźć ich agentów, czy też dlatego, że żadnych agentów nie było?

Raczej to drugie, sądzi Kratsch.

Mówię Kratschowi, że słuchając go, można zapomnieć, iż Stasi było organizacją, której bali się zwykli ludzie. Czy on sam nigdy się nie bał?

– Strach! – wykrzykuje, podnosząc ręce do góry, a jego wielki brzuch trzęsie się z oburzenia. Oczywiście, że nie! Ani trochę. Ludzie nie bali się, lecz byli wdzięczni za ochronę! „Dziękowali nam z dołu i z góry”. I dodaje: pierwszymi ludźmi, którzy przychodzili składać im gratulacje w dniu rocznicy Ministerstwa, byli reprezentanci CDU, wówczas chadeckiej marionetkowej partii, obecnie włączonej w ogólnoniemiecką CDU Helmuta Kohla. A teraz właśnie chrześcijańscy demokraci są pierwsi do obwiniania Stasi za wszystko! Tak naprawdę, Stasi zawsze podlegało rządzącej partii komunistycznej. Mielke był w tym bardzo zasadniczy. Wszystko konsultowane było z Honeckerem, wszystkie ważne decyzje zatwierdzał przywódca partii.

Pytam, czy jest coś, z powodu czego osobiście czuje się winny. „Nie – mówi. – Wykonywałem swoją pracę”. Dobrze znana obrona: wykonywałem tylko swoją pracę, spełniałem swoje obowiązki, wykonywałem rozkazy. Nie, nie czuje się winny z żadnego powodu, oprócz tego, że nie był bardziej krytyczny wobec tego, co działo się w latach osiemdziesiątych, wobec pychy Honeckera i braku reform.

– Ale tak samo jest wszędzie, także w pańskim kraju, jeśli wierzyć temu, co piszą w gazetach. Rodzinę królewską się krytykuje, ale nie macie odwagi działać!

Gerhard Kaulfuss – czytam w aktach personalnych – urodzony 23 lutego 1933, Sudetenland. Gdy miał sześć lat, jego ojciec poszedł na wojnę, a wrócił z sowieckiego obozu dla jeńców dopiero w 1947 roku, gdy młody Gerhard miał czternaście lat. Siedem kluczowych lat bez ojca. W czasie wojny szkoła w okupowanym przez Niemców Sudetenlandzie: szkoła nazistowska. Potem klęska narodowa i ucieczka do sowieckiej strefy okupacyjnej. Początkowo chciał być ekspedientem, jednakże trafił – przez Związek Wolnej Młodzieży Niemieckiej – do Ministerstwa. Pnąc się do góry, zdołał zostać pułkownikiem i kierownikiem wydziału II/9.

Z kolei obrazek z życia rodzinnego. W 1971 roku jego ośmioletnia córka otrzymuje paczkę z Niemiec Zachodnich: dwie tabliczki czekolady, cukierki, ser, cukier, herbatę, szczerbaczka do zębów dla dzieci, mydło. Awaryjne racje żywnościowe, jak do Biafry! Bicie na alarm. Wszczęcie oficjalnego śledztwa dyscyplinarnego. Jak to się stało? Gdy byli na wakacjach w Bułgarii, jego córka zaprzyjaźniła się z dziewczynką z Niemiec Zachodnich. „Chociaż towarzyszył major Kaulfuss usiłował nie dopuścić do tego kontaktu, zmieniając miejsce kąpeli, między dziećmi doszło do kolejnych kontaktów, podczas których córka towarzysza majora Kaulfussa podała dziewczynce z RFN ich adres domowy”. Wniosek: kontakt ten mógł być wykorzystany przez zachodni wywiad. Gdyby przyszła kolejna paczka, powinna zostać przyniesiona do wydziału do zbadania, a następnie odesłana z powrotem.

Na aktach widnieje stary adres w Karlshorst, gdzie stacjonowała niegdyś Armia Czerwona. Przy brudnej, zapusz-

czonej ulicy odnajduję dwupiętrowy dom-bliźniak, pomalowany na brudny, rudobrazowy kolor. Znów metalowy płot i brama, zamknięta na elektryczny zamek – i nazwisko lokatora. Kaulfuss. Dzwonię. Odstania się firanka w oknie na pierwszym piętrze. Na chwilę pojawia się twarz. Czy ta sama, co na fotografii w aktach? Otwiera drzwi wejściowe, zatrzymuje się jednak na szczycie schodów, siedem metrów ode mnie. Tak, to bez wątplenia on.

– Herr Kaulfuss? – pytam podnosząc głos.

– Tak.

– Nazywam się Timothy Garton Ash, zajmuję się historią współczesną w Oksfordzie i chciałbym porozmawiać z panem o historii MfS. – Używam oficjalnego skrótu nazwy Ministerstwa zamiast *implicite* pejoratywnego określenia „Stasi”.

Powoli podchodzi do bramy, lecz nie otwiera jej. Podobnie jak Kratsch, jest ubrany w syntetyczny, czarno-purpurowy dres. Ma zgorzkniałą twarz, opadnięte kąciki ust, jak na fotografii, i przekrwione oczy. Pije?

Czy miałby chwilę czasu na rozmowę?

– Nie. – Nachodziła go już Insider Komitee, lecz odmówił. Różni ludzie przychodzili do niego, zachodnioniemieckie służby specjalne, zachodnioniemiecki wywiad zagraniczny, a nawet ludzie z – jak to w dość zawiły sposób określa – FBIA. Wszystkich odprawił. I tak wszystko jest w dokumentach.

Tak, mówię, lecz dokumenty nigdy nie mówią wszystkiego. Rozmowy z historycznymi świadkami są nieocnione dla zrozumienia tła i motywów konkretnych osób (wszystko to prawda, ale także próbuję podtrzymywać rozmowę, nie pozwolić, by wątek się przerwał, delikatnie wciągnąć starego karpia). I (teraz ryzykuję) mam osobisty powód: gdy byłem tutaj z początkiem lat osiemdziesiątych jako student prowadzący badania, pański wydział założył mi teczkę, OPK.

Waha się jeszcze chwilę.

– Ach – mówi – proszę wejść, porozmawiamy piętnaście minut. – Brzęczy elektryczny zamek i brama otwiera się.

Prowadzi mnie ku ogrodowej huśtawce. Czuję zapach alkoholu, papierosów, nudy i pustki. Absolutnie nie okazuje skruchy. Państwo zagrożone było przez zachodnich agentów, terrorystów, prowokatorów, wywrotowców. Urząd Bezpieczeństwa Państwa, jak nazwa wskazuje, zapewniał zwykłym ludziom bezpieczeństwo, a teraz wspominają oni te czasy z tęsknotą, gdyż mnoży się przestępczość, bezrobocie, narkotyki. Tak, była pewna mniejszość, która ucierpiała z powodu poglądów politycznych. Ale to jest normalne. Dokładnie to samo było w Zachodnich Niemczech. Jakie oni mieli na to słowo? Podrzucam: *Berufsverbot*? Tak, właśnie tak. To było dokładnie to samo!

Ale ja myślałem, że wasz system miał być lepszy.

– *Na, ja...* – śmieje się kwaśno. I tak większość ludzi naprawdę była wdzięczna za bezpieczeństwo i nie miała nic przeciwko temu, by poświęcić w zamian trochę wolności.

Czy pod koniec był choć trochę rozczarowany? Nie, miał poczucie cichej satysfakcji. Przecież państwo coś osiągnęło: w czasie istnienia NRD każdego roku następował realny przyrost produkcji krajowej brutto. W RFN było odwrotnie. Tam zmniejszał się co roku. Wyrażam delikatne niedowierzanie. Wyjaśnia mi, że udział robotników się zmniejszał. Jednak mimo to RFN coraz bardziej się bogaciła, czyż nie? Tak, lecz większość ludzi nie stać na to, co jest w sklepach.

Czy sam był kiedyś na Zachodzie?

Cóż, oczywiście nie był przed zjednoczeniem. Ale teraz był na wybrzeżu Morza Północnego i w Berlinie Zachodnim. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Nie. Raz jego wnuczka poprosiła go o zegar z kukułką. Więc przeszedł na drugą stronę do Kaufhaus des Westens, wielkiego domu towarowego w Berlinie Zachodnim. Poczł obrzydzenie. Wyłącznie towary, na które nie stać zwykłych ludzi. I nie mieli zegara z kukułką.

Nie, nie chce jeździć do Berlina Zachodniego, po tym, jak przez całe życie pracował przeciwko temu wszystkiemu. Raz jednak, wkrótce po zjednoczeniu, nie mógł się oprzeć, by przejść na drugą stronę na prywatną wycieczkę do siedziby głównej zachodnich służb specjalnych, którą znał tylko ze zdjęć, „obiektów” CIA w Dahlem i tak dalej. Wyglądały podobnie jak na zdjęciach.

Rozluźnił się, wydaje mi się więc, że jest to dobry moment, by zapytać o moją teczkę. Znowu jednak zamyka się w sobie.

Nie, ostrzegał mnie, że nie będzie rozmawiał o swojej pracy.

Nie, nie pamięta porucznika Wendta.

Nie, nie pamięta mojej sprawy.

Czy było wiele takich Operacyjnych Kontroli Osób?

Cóż, nie, a w każdym razie nie w jego wydziale. To było coś...

Z piętnastu minut zrobiło się pięćdziesiąt. Teraz woła go żona. Trzeba ją kołysać na ogrodowej huśtawce. Wie pan, ona nie czuje się dobrze.

Gdy wracamy do zardzewiałej bramy, pytam, czy wydział schwytał wielu szpiegów.

O tak, i oczywiście byli skazywani na długie lata więzienia. Ale o tym nie chce rozmawiać. Mówi z naciskiem, że tak jak teraz dłużej być nie może: przestępstwa, bezrobocie, nierówność. Ludzie są rozgniewani.

Wychodzę, a on wracając wykrzykuje spod bramy: „Tak dalej być nie może, mówię panu. Kiedy przyjdzie wezwanie, byśmy wyszli na ulice – stawimy się”. Heroiczny, żalony sprzeciw.

A potem słychać już tylko miarowe skrzypienie ogrodowej huśtawki.

Teraz kolej na pułkownika Fritza, następcę Kaulfussa na stanowisku kierownika wydziału II/9 i człowieka, który zamknął moje akta w 1982 roku. Alfred Fritz, w przeciwieństwie do swego poprzednika, wciąż jest człowiekiem aktywnym. Przy bramie ich zadbanego, szarego domu-bliźniaka, także w Karlshorst, jego żona mówi mi, że nie ma go w domu od wczesnego rana do późnej nocy: „Wie pan, jak to jest w branży ubezpieczeniowej”.

Zostawiam wizytówkę, a ona proponuje, żebym zadzwonił o dziesiątej wieczorem. Gdy dzwonię i zaczynam wyjaśniać, że jestem historykiem zajmującym się aktami Stasi, słyszę: „Czy nie mieliśmy aby z panem do czynienia w czasie, gdy pracowałem w służbach?” Mówię mu o tecyce. Po krótkim wahaniu zgadza się w końcu na spotkanie o pół do ósmej rano – „jeśli sądzi pan, że to się do czegoś przyda”.

Pułkownik, według danych służbowych, ma teraz sześćdziesiąt pięć lat. Oczekiwałem, że ujrzę kolejnego starszego, brzuchatego, powolnego człowieka, jak Kaulfuss czy Kratsch. Tymczasem mężczyzna, który mnie powitał przymiłnym, szerokim uśmiechem, wygląda jak żwawy pięćdziesięciolatek. Ma bujną, wymodelowaną czuprynę, czarne dżinsy, koszulę w krzykliwy wzorek z różowych i szarych trójkątów oraz pasujący do tego krawat typu śledź podtrzymywany na właściwym miejscu dużą spinką. Rękawy starannie podwinięte w połowie ramion. Wygląda w każdym calu jak zachodniemiecki agent ubezpieczeniowy w tym swoim nowym – czym? przebraniu? mundurze? tożsamości?

Dziękuję mu, że znalazł dla mnie czas mimo tak zajętego dnia. Tak, to jest problem, nigdy jeszcze nie był pod taką presją.

Nawet w Ministerstwie?

– No, niezupełnie. Wie pan, jak to jest w tej pracy, wieczorne spotkania z agentami i tak dalej... – spogląda na mnie z oczekiwaniem.

„Wie pan, jak to jest...” O co mu chodzi?

Podnosząc ze stołu moją wizytówkę i patrząc na nią z uśmiechem, mówi: – No cóż, są różne rodzaje kamuflażu, nieprawdaż? Na przykład „historia współczesna”. Historyk czy SIS to dla mnie to samo. Było już tutaj kilku takich. Ja nie mam zahamowań.

Zapewniam go, że naprawdę zajmuję się historią współczesną. Wygląda na lekko rozczarowanego. Być może oczekiwał wymiany poglądów ze starym sparing-partnerem. Albo po prostu mi nie wierzy. Mimo to gotów jest rozmawiać.

Na początku była wojna. Było to doświadczenie, które ukształtowało jego osobowość, podobnie jak Kaulfussa i Kratscha. Jego starszy brat zginął na froncie.

A ojciec?

– Nigdy nie znałem swojego ojca. Byłem, jak to się mówi, nieślubnym dzieckiem. – Dalej się uśmiecha, słyszę jednak w jego głosie pewne napięcie i stary ból.

Na początku lat pięćdziesiątych pracował w dziale finansowym lokalnych władz w Schwerinie. Był kandydatem na członka partii. Kiedy zwrócił się do niego z propozycją człowiek z Ministerstwa, uważał, że jest „zaszczytem” obrona NRD przed zagranicznymi szpiegami, którzy masowo infiltrowali kraj.

– Musi pan pamiętać, jak to wówczas było. To był czas „dzieci na śmietnikach”. CIA płaciło wyrostkom kilka groszy, by przeszukiwali pojemniki na śmieci przy kwaterach Armii Czerwonej, tutaj w Karlshorst. – Większość z nich schwymano.

Były to bardzo ciekawe lata. Miał wrażenie, że wykonuje ważną pracę. No i w latach pięćdziesiątych wciąż mieli jeszcze publiczne poparcie. Jeździli do fabryk i wyjaśniali ludziom sens ich pracy, a ludzie bili im brawo (czy teraz nie wydaje mu się, że ludzie mogli bić im brawo ze strachu?).

W latach siedemdziesiątych zmieniło się na gorsze. Wewnątrz Ministerstwa mniej było idealizmu, a więcej zwykłego karierowiczostwa.

Czy tak też było w przypadku młodego porucznika Wendta?

On nie wie. Wendt zawsze był bardzo małomówny.

A major Risse?

– Sądzę, że Risse podchodził do tego uczciwie, jak ja.

Także i na zewnątrz było poczucie, że w kraju źle się dzieje. Prywatnie sformułowali z kolegami dwa główne problemy – Problem Samochodowy i Problem Podróży. Problem Samochodowy polegał na tym, że przyzwoite samochody były po prostu nieosiągalne. Można było dostać tylko terkoczącego małego trabanta lub wartburga, a i tak trzeba było na nie czekać dziesięć lat. Problem Podróży polegał na tym, że ludziom nie wolno było nigdzie podróżować, oprócz kilku państw bloku sowieckiego.

Czy rozważali Problem Wolności?

– Nie! – chwila na zastanowienie. – Choć Problem Podróży był w pewien sposób z nim związany.

Zdawali sobie także sprawę, że zaczęto od nich wymagać wykonywania coraz więcej różnych zadań. Przytaczam mu zdanie, które mi powiedział pułkownik Eichner z HVA: „Mieliśmy państwo. Potem mieliśmy partię, która miała sprawić, by państwo funkcjonowało. Potem mieliśmy Urząd Bezpieczeństwa, który miał sprawić, by partia i państwo funkcjonowały. A ono wciąż nie funkcjonowało!”

– Tak to mniej więcej było – mówi Fritz.

Ludzie z jego wydziału musieli nawet zapewniać ochronę w czasie meczów piłkarskich. Ich właściwą pracą było

szukanie zachodnich szpiegów, choć wówczas koncentrowali się na czymś, co nazywali „szpiegostwem z legalnych pozycji”: dyplomatów, akredytowanych korespondentów, przyjeżdżających naukowców i tak dalej. Jego wydział, odpowiedzialny za wszystkie kraje Europy Zachodniej, prowadził może trzydzieści Operacyjnych Kontroli Osobowych rocznie.

Czy udało im się schwytać jakichś szpiegów?

Tak, kilku. Obywateli zachodnich zwykle trzymano przez miesiąc lub dwa w areszcie, a potem wydalano z kraju; w poważniejszych przypadkach mogli być sądzeni i skazani, potem jednak zazwyczaj także wydalani. Jeśli byli to obywatele NRD, dostawali długie wyroki więzienia.

Za jego czasów nie mieli szczęścia do Francuzów czy Anglików, którymi głównie się zajmowali. Był jeden dyplomata, kobieta, która prawie zaczęła dla nich pracować: miała romans, który odkryto za pomocą „środków B” („środków B” oznaczają podsłuch „pluskwami”, w przeciwieństwie do „środków A” – podsłuchu telefonicznego).

Oczywiście, że próbowali użyć tej informacji, by ją zwerbować. Wie pan, ona była mężatką.

– Innymi słowy, próbowaliście ją szantażować?

– Tak, wszystkie tajne służby to robią. – Tym razem nie udało się jednak. Facet, z którym miała ten romans, był Anglikiem, który wkrótce wrócił do Anglii. Po chwili, z odrobinę szyderczym uśmiechem, pyta: – Ale to nie był pan, prawda?

– Nie. – (A tak czy owak, nie twój interes). Jego krzywy uśmiech zdradza, że brakuje mu tych rzeczy: podglądania intymnych szczegółów, zabawy, jaką sobie urządzali z życiem obcej kobiety. Dzisiaj musi zadowalać się podglądaniem ludzi poprzez gazety i telewizję. To zachodnia wersja zorganizowanego oglądactwa, często również uzasadniona jakimś wyższym celem. Wówczas „bezpieczeństwem państwa”, dziś „interese publicznym”.

Wraca do swojego ulubionego tematu: jak ciężko pracowali. Przy swoim biurku był już o 7.15, najpóźniej o 7.30

rano. O 7.45 musiał meldować się u generała Kratscha. Potem było czytanie akt, omawianie bieżących spraw z kolegami: plany działania, koordynacja, raporty z obserwacji, raporty końcowe, sprowadzanie nowych informatorów, sprawdzanie starych. Obiad, od kierowników wydziałów wzwyż, jadało się w specjalnej stołówce, znajdującej się na wzniesionym terenie w środku zabudowań ministerialnych. Ludzie mówili na to „wzgórze monarchów”. Praca w biurze trwała do późnego popołudnia, a wieczorami odbywały się spotkania z informatorami, zwykle w „mieszkanie konspiracyjnych”. Praca co najmniej dwanaście godzin dziennie, a także w wiele weekendów.

Czy spotykał się z kolegami towarzysko?

Na święta lub na Sylwestra organizowano przyjęcie „w obiekcie, wie pan”. Raz, na przykład, mieli przyjęcie w Wandlitz. „Stoły były ładnie nakryte, było mnóstwo jedzenia i picia, były tańce i miła atmosfera”. Poza tym nie mieli czasu na kontakty towarzyskie.

Teraz też musi pracować długie godziny, bo nie da się przeżyć na emeryturze, jaką dostają byli funkcjonariusze. Nie jest to pełna suma od rzeczywistych zarobków, lecz 70 procent państwowej emerytury obliczanej według średnich zarobków w NRD. To bardzo niesprawiedliwe, mówi. Jest to pogwałcenie podstawowej zasady równości wobec prawa. Tu jego żona, która w tym czasie sprząta pokój, wykrzykuje ze złością: „Daj już spokój!”, i trzaska drzwiami, aż wypada klamka (z jego akt personalnych dowiaduję się, że jego żona i trzy córki także pracowały dla Stasi).

Tak – mówi dalej – ubezpieczenia społeczne to była jedna z naprawdę dobrych rzeczy w NRD. A teraz jest niepewność, przestępstwa, bezrobocie. Jaki jest pożytek z wolności, jeśli nie ma się pieniędzy, by móc się nią cieszyć? Widzi trudności swoich klientów. Chętnie biorą jego prywatne polisy ubezpieczeniowe, ponieważ państwo już nie daje bezpieczeństwa, często jednak nie stać ich na składki.

Od bezpieczeństwa państwa do prywatnych ubezpieczeń – Alfred Fritz jest uosobieniem wielkich zmian. Wczoraj funkcjonariusz w szarym mundurze, dziś akwizytor w czarnych dżinsach; ale w środku – ten sam Fritz.

Major Risse przeniósł się do Drezna. Udaje mi się zdobyć jego adres w urzędzie meldunkowym. W całych Niemczech adres prawie każdego można zdobyć, po prostu pytając.

Nie ma go w domu. Szukając czegoś dla zabicia czasu, zauważam niedaleko podobny do świątyni budynek z dużym napisem: „Niemieckie Muzeum Higieny”. W środku urządzono specjalne wystawy o pigułce antykoncepcyjnej i o AIDS, jest tam też stała wystawa zatytułowana „Trawienie” z olbrzymimi podświetlonymi plastikowymi wnętrznościami: żołądek, przewód żółciowy, okrężnica wstępująca, okrężnica zstępująca, odbył – każda część w innym kolorze. Pytam siwą panią siedzącą za kontuarem o drogę do reklamowanej „szklanej krowy”, przezroczystego modelu naturalnej wielkości, ukazującego wszystkie kości, organy wewnętrzne, mózg i nerwy. Odpowiada: „Proszę przez AIDS przejść do Trawienia i po prawej stronie będzie krowa”.

Najsłynniejszym eksponatem nie jest jednak szklana krowa, lecz szklany człowiek, kobieta, stojąca z uniesionymi rękoma na stole, na którym są klawisze z nazwami organów: wątroba, serce, nerki i tak dalej. Po naciśnięciu klawisza zaświeca się dany organ. Ktoś z obsługi mówi mi, że to jest nowy szklany człowiek. Poprzedni był już nieco zużyty, więc po zjednoczeniu zrobili nowego człowieka. „Czyż nie wygląda dobrze? Ale w środku jest taka sama”.

Gdy udaje mi się telefonicznie zastać Klausa Rissego, mówi, że z przyjemnością ze mną porozmawia. Interesuje go

szczególnie „obiektywny” opis działalności Ministerstwa. Ma silny saksoński akcent i wydaje się bardzo rozmowny, jak większość Sasów.

– Czy moglibyśmy spotkać się teraz? – pytam, choć jest już późno. – Miałem nadzieję, że uda mi się wrócić do Berlina jeszcze dziś wieczorem. – Nie, to niemożliwe, w każdej chwili ma wrócić żona. Ale moglibyśmy się spotkać jutro na śniadaniu. A więc o ósmej, w holu hotelu? Zgoda. Wynajmując pokój w hotelu, zastanawiałem się, czy naprawdę przyjdzie. Czy żona nie będzie próbowała go od tego odwieść?

Tymczasem studiuje kserokopie stron jego karty pracowniczej i akt. Urodził się pod Dreznem w 1938 roku, ojciec zginął na froncie w 1944: znowu brak ojca. Wewnętrzny kwestionariusz Ministerstwa pyta, czy kiedykolwiek wyjeżdżał poza NRD. Odpowiedź: „W 1954 – 1 i 1/2 godziny w Berlinie Zachodnim z przyjacielem, pooglądać sklepy”. W 1975 roku przenosi się z Drezna do wydziału II/9 w Berlinie. W latach 1978–1983 dowodzi sekcją A, odpowiedzialną za Anglików. Jego hobby to wędkarstwo.

Na fotografii z karty pracowniczej wygląda dość szpetnie, jednak człowiek, który następnego ranka czeka w holu, ma miłą, szczerą twarz i jasne oczy. Jest starannie ubrany, ma białą koszulę i krawat, brązową marynarkę i wsuwane buty. Jego pierwsze słowa są bardzo podobne, do słów jego kolegów: „Chciałem pracować dla lepszego świata”. Zaraz jednak schodzi z dobrze wydeptanej ścieżki. System – mówi – działał źle, ponieważ musiał źle działać, bo taka jest ludzka natura. Człowieka nie można przekształcać, zmieniać w coś innego. Komunizm nie uwzględniał czegoś, co nazywa „świnia w człowieku”. Działałby tylko wtedy, gdyby ludzie byli aniołami. Ocena to prosta, ale nie płytka: na tym właśnie polegała główna słabość komunizmu.

Oczywiście, w 1945 roku, gdy rozpoczynali odbudowę od zera, nie zdawał sobie z tego sprawy. Jego ojciec zginął

w czynnej służbie. Jeden z braci został w potworny sposób przejechany przez traktor, ustawiający umocnienia przeciwczołgowe we wsi w ostatnich dniach wojny. Jego matka, pracująca na roli, widziała głowę syna rozgniataną pod kołami. Bombardowania zmusiły rodzinę do ucieczki, cały ich dobytek został zniszczony. Od kwietnia do października chodził boso: „Byliśmy najbiedniejsi z biednych”. Ale matka utrzymywała ich przy życiu; najpierw matka, potem państwo. W szkole podstawowej radził sobie dobrze i przyznano mu najwyższe państwowe stypendium, by poszedł do szkoły z internatem. Państwo pomagało, ale to matka ciułała i oszczędzała, by kupować mu ubranie i książki, by go wspierać. Na wspomnienie tego głos łamie mu się ze wzruszenia.

Gdy skończył osiemnaście lat, musiał dokonać wyboru. Kochał naturę i chciał studiować rybołówstwo na uniwersytecie. Wędkowanie było już wówczas jego pasją. Lecz „oni” mieli wobec niego inne plany. Powiedzieli: zrób coś dla państwa, które tak wiele zrobiło dla ciebie. Tak więc wstąpił do Ministerstwa, pracując z początku we własnym mieście, Pirnie, potem w Dreźnie, następnie w Berlinie, lecz zawsze na „linii II” – w kontrwywiadzie.

Patrząc teraz w przeszłość, zauważa u siebie postępujący proces politycznego rozczarowania. Miał bliskiego przyjaciela w jednym z PGR-ów, który opowiedział mu, jak to naprawdę było tam na dole, w rzeczywistym świecie. Rozwścieczały go absurdalne artykuły w prasie o celach produkcyjnych planu pięcioletniego, które zawsze były przekraczane. Widział sprzeczności między teorią a praktyką i hipokryzję rządzących, którzy – cytuje Heinego – „będąc sami – pili wino, a publicznie wychwalali wodę”. Także w jego pracy nie wszystko było w porządku. Tu przerywa, potrząsa głową: „Jest na przykład coś, o czym nigdy nikomu nie mówiłem...”

Podczas jednego z kursów szkoleniowych, gdy był jeszcze w Dreźnie, instruktor przeczytał na głos prywatny list

napisany przez pewną kobietę do męża albo do chłopaka, już nie pamięta. To był piękny list, mądry, głęboki, pełen wewnętrznego ciepła i miłości. Głos znów łamie mu się ze wzruszenia: „Nigdy tego nie zapomniałem”.

Ale dlaczego list ten czytany był na głos do funkcjonariuszy Stasi?

– Och, dlatego, że ten człowiek był informatorem, IM. – Kobieta coś podejrzewała, lecz prowadzący sprawę funkcjonariusz Stasi opracował z nim pewien plan działania i udało się utrzymać jej zaufanie.

„Tak powinniście pracować”, brzmiało przesłanie instruktora. Klaus Risse w głębi duszy odebrał jednak zupełnie inne przesłanie.

Wykonywał swoją pracę. Lecz wątpliwości narastały – przynajmniej teraz tak to widzi, spoglądając wstecz i porządkując przeszłość. Poza tym były długie godziny pracy i absurdalne ograniczenia. Nie można było się ożenić bez zgody Ministerstwa. Jeśli ojciec, a nawet wuj żony był kiedyś w SS, trzeba było wybrać między nią a pracą. Nie można było kupić domu bez zezwolenia. Nie można było podróżować zagranicę bez zezwolenia. Co więcej, nie można było bez zezwolenia zapuścić brody! Przypomina mi się generał Kratsch, gładko ogolony na fotografii z karty pracowniczek, a teraz z brodą.

Chciał się stamtąd wydostać, „nie miałem jednak odwagi”, mówi. Nie miał innego zawodu. Obawiał się konsekwencji. Jednakże w 1989 roku zwrócił się o przeniesienie z powrotem do Drezna, jako – jak to nazywano – „oficer z misją specjalną”, jako jeden z coraz większej liczby funkcjonariuszy zatrudnionych w Stasi na zwykłych, cywilnych stanowiskach. Gdyby nie Przełom – jak większość ludzi w Niemczech Wschodnich używa określenia „Przełom”, *die Wende*, na określenie końca NRD – pracowałby w hotelu, gdzie teraz rozmawiamy, jako „oficer z misją specjalną”.

Zamiast tego, zajmował się przez rok ochroną Banku Państwowego w Dreźnie, został zwolniony, gdy przejął go zachodniemiecki Deutsche Bank, a obecnie sprzedaje systemy wentylacyjne dla restauracji. „Firmy zachodnie poszukiwały nas – mówi. – Wiedzieli, że jesteśmy zdolnymi, pracowitymi ludźmi”. Ale to jest twardy nowy świat, gdzie wszystko określa pieniądze, a ludzie „idą po trupach”. Tutaj, na Wschodzie, jest wielu przegranych. „W moim bloku już kilka osób wyskoczyło z okna”. Ten zachodni system też nie stanowi rozwiązania. On sam nie wie, co stanowi.

Tymczasem jego żona prawie straciła pracę, gdy jego nazwisko pojawiło się na liście funkcjonariuszy Stasi opublikowanej w prasie. Nawet najbliżsi przyjaciele stali się wobec niego nieufni po tym, jak media podawały sensacyjne rewelacje o Stasi, pojawiały się artykuły o salach tortur, gdzie zmuszano ludzi do stania w wodzie po szyję, i tak dalej. Przyznaje, że działy się złe rzeczy, ale to w wydziale XX, nie w jego wydziale.

Tak więc każdy, z kim rozmawiam, obarcza winą kogoś innego. Ci, którzy pracowali dla państwa, mówią: „to nie my, to partia”. Ci, którzy pracowali dla partii, mówią: „to nie my, to Stasi”. A w Stasi ci, którzy pracowali w wywiadzie, mówią: „to nie my, to inni”. Gdy rozmawia się z nimi, mówią „to nie nasz wydział, to XX”. Gdy rozmawia się z Herr Zeisewisem z wydziału XX, mówi on: „ale to nie byłem ja”.

Gdy komuniści zdobyli władzę w Europie Środkowej, mówili o stosowaniu „taktyki salami” – odcinaniu po kawałku demokratycznej opozycji. Tutaj, po komunizmie, mamy taktykę salami w wypieraniu się.

Risse pomaga mi wyjaśnić kilka szczegółów w mojej sprawie. Artykuł z kodeksu karnego na początku moich akt był, jak mówi, formalnością. Niemniej jednak, gdy dochodziło do oskarżenia, wówczas prawnicy Ministerstwa

byli aż nadto skrupulatni. Żądali dowodu, który utrzymałby się w sądzie. Ocena ideologiczna zawarta w raporcie wstępnym – „burżuazyjno-liberalny” – była istotna. Znaczyło to, że jestem kimś pośrodku: nie „postępowym”, ale też nie „reakcyjnym”. To były kategorie kluczowe.

W jaki sposób konsultowali się z KGB, jak nakazuje plan działania? Cóż, notatkę służbową wysyłano do Karlsruhorst, gdzie znajdowała się siedziba „przyjaciół”. A więc oni także mówili o nich „przyjaciele”? Tak, zwykle pisało się na aktach „skonsultować z przyjaciółmi” lub po prostu: „skonsultować z przyjacielem”. Jednakże przyjaciele wcale nie byli bardzo przyjacielscy. „Traktowali nas jak płotki” – w najlepszym wypadku, jak dużo młodszych partnerów, a w najgorszym, jak przedstawiciele okupowanego kraju.

A grupa robocza zajmująca się polską „Solidarnością”? Tak, pamięta ją, nawet sam miał jechać do Polski, z czego wcale nie był zadowolony. Ale nie sądzi, żeby grupa ta była bardzo skuteczna.

Co do wcześniejszych raportów z obserwacji, zanim jeszcze przenieśli się do Berlina Wschodniego: Ministerstwo miało na przejściu granicznym przy Friedrichstrasse całą grupę, gotową wyłowić i śledzić każdego, kto w ogóle wyglądał podejrzanie lub interesująco.

W całym wydziale II/9 było może dwudziestu, trzydziestu funkcjonariuszy. W jego sekcji angielskiej, sekcji A, pracowało pięciu ludzi. Co roku prowadzili pięć do dziesięciu Operacyjnych Kontroli Osób (OPK) i najwyżej dwie do trzech Spraw Operacyjnych (OV) na najwyższym poziomie. Tak więc stosunek obserwujących do obserwowanych wynosił 1:3, może nawet 1:2. Czym więc, u licha, wypełniali pięć dwunastogodzinnych dni pracy w tygodniu, śledząc tak niewielu ludzi? Cóż robili przez cały dzień?

– Dobre pytanie – mówi Risse, i bardzo trudno mu na nie odpowiedzieć. Było oczywiście mnóstwo spotkań. Praca nad aktami OPK i OV była bardzo szczegółowa, o czym

sam miałem okazję się przekonać. Prowadzenie informatorów i zdobywanie nowych było bardzo czasochłonnym zajęciem.

Pytam go, tak jak i innych, czy złapali jakichś agentów. Nie, nie za jego czasów. „Fritz, Alfred” – mówi o nim jak o karcie indeksowej – pewnie mówił mi już o tej kobiecie pracującej w dyplomacji, którą prawie zwerbowali.

Czy nie miał żadnych skrupułów, uprawiając szantaż oparty na szczegółach z prywatnego życia kobiety, podsłuchanych przez ukryte mikrofony?

Tak, miał skrupuły, ale „wszystkie tajne służby to robią” – używa dokładnie tego samego zdania, co Fritz.

Wracając do powojennego idealizmu, jaki przypisuje sobie jego powojenne pokolenie, pytam, czy był on inny wśród jego młodszych kolegów. Na przykład dla porucznika Wendta.

– Ach, Wendt, Henning – mówi uśmiechając się. Wendt, Henning był pracowity, staranny, dobrze mówił, był zdolnym funkcjonariuszem. Nie był jednak dobry do rekrutacji nowych agentów, ponieważ był zbyt ostrożny i „nieśmiały w kontaktach”.

Mówię, że wiem coś o tym, bo Wendt okazuje się bardzo niechętny do spotkania ze mną.

– Ach tak, to cały on! Ale być może to jego żona nie chce, aby się z panem spotkał. Wie pan, moja żona też nie chciała. Kiedy wczoraj wieczorem wróciła do domu, powiedziała: „Chyba jesteś pomyłony, że chcesz z nim rozmawiać. Nie powinieneś iść”.

Czy miała rację? Myślę, że nie. Wynoszę bowiem z tej rozmowy wrażenie, iż mam do czynienia z inteligentnym, zasadniczo uczciwym człowiekiem, któremu zdarzyło się – co jest całkiem zrozumiałe, zważywszy na dzieciństwo i historię osobistą – służyć swojemu krajowi w sposób podły. Człowiekiem, który nie miał odwagi, by to porzucić, ale naprawdę nauczył się czegoś ze swoich błędów. Gdy wra-

cam do pokoju w hotelu, by sporządzić notatki, pożegnawszy się z nim i życzywszy mu wszystkiego najlepszego, pojawiło się w mojej głowie zaskakujące zdanie: „Klaus Risse jest porządnym człowiekiem”. Nie kimś mającym starannie oddzieloną sferę prywatnej przyzwoitości, jak oficer w obozie koncentracyjnym, który w ciągu dnia mordował ludzi, a potem szedł do domu słuchać Bacha i bawić się z dziećmi. Nie jest lepszym gatunkiem Zeiseweisa. Jest człowiekiem, który ma nie najgorsze serce i sumienie, i nie wyłącza go po przekroczeniu drzwi biura.

Widziałem go tylko raz, takim, jaki jest teraz, a nie jaki był wówczas, w mundurze, wzbudzający strach. Być może wówczas jego twarz była naprawdę tak szpetna, jak na fotografii z karty pracowniczej. Być może robił albo był zamieszany w różne rzeczy, okropne rzeczy, o których mi nie opowiedział albo wołał o nich zapomnieć, albo po prostu zapomniał. Gdybym naprawdę był ofiarą Stasi, nie mówiąc już o bezpośrednich ofiarach jego działań, mógłbym odnieść zupełnie inne wrażenie. Ale jeśli nie znajdę innych dowodów, pozostanę przy swoim wrażeniu.

Heinz-Joachim Wendt: urodzony 16 sierpnia 1952 roku, w wiosce Bad Kleinen. Gdy jest jeszcze niemowlęciem, rodzina przenosi się do Wismaru, pobliskiego portu bałtyckiego, gdzie oboje rodzice pracują w państwowym przedsiębiorstwie zajmującym się rybołówstwem. Uczęszczając do Szkoły Podstawowej imienia Gerharta Hauptmanna, wykazuje szczególne zdolności w sporcie, tak więc w wieku lat trzynastu zostaje wysłany do szkoły z internatem w Rostocku, specjalizującej się w produkowaniu młodych sportowców (była to część wysoce zorganizowanego systemu pomocy państwowej, który przyczynił się do tego, że NRD zdobywała tak wiele medali olimpijskich). Niemniej jednak w wieku lat piętnastu musi przenieść się do zwykłej miejscowej szkoły „ze względu na poważną kontuzję”, jak głosi jego ręcznie napisany życiorys. W 1969 roku zostaje sekretarzem Związku Wolnej Młodzieży Niemieckiej w swojej klasie.

Wiosną tego roku zostaje zwerbowany przez Stasi jako tak zwany „społeczny współpracownik do spraw bezpieczeństwa”. Pisze i podpisuje krótką deklarację, prawdopodobnie podyktowaną mu, w której obiecuje, że będzie „wspierał Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwa tak, jak tylko potrafi”, i potwierdza, że poinstruowano go, by „nie rozmawiał z nikim o swoim związku z MfS”. Ma wówczas szesnaście lat.

Kiedy dwa lata później osiąga pełnoletność, proponują włączenie go w szeregi IM. Pięciostronicowa propozycja rozpoczyna się od przeglądu jego biografii i pracy dla Stasi do chwili obecnej: „dostarczał pisemne raporty na temat problemów i ludzi i punktualnie przychodził na wyznaczo-

ne spotkania”. Jest interesujący dla Ministerstwa, ponieważ spotyka się z młodymi ludźmi w ich czasie wolnym. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej kandydata należy poinformować, iż „wróg usiłuje wyrzucić negatywny wpływ na młodzież za pomocą polityczno-ideologicznej dywersji”. Funkcjonariusz powinien wyjaśnić, iż Ministerstwo usiłuje temu zapobiec, lecz „ponieważ nie możemy robić tego sami, a według konstytucji NRD każdy obywatel NRD jest współodpowiedzialny za obronę naszego kraju, zwracamy się więc do niego i oczekujemy jego pomocy”. Jeśli się zgodzi – co zakładają – otrzyma kryptonim „Dieter Fischer”. Rekrutacja odbędzie się 23.02.71 o godzinie 19.00 w zakonspirowanym mieszkaniu „Szefa”.

Ręcznie napisane zobowiązanie znajduje się wśród tych samych dokumentów. Kończy się ono zdaniem: „Nie wolno mi rozmawiać z nikim o formie współpracy [tj. z Ministerstwem], nawet z najbliższą rodziną”.

W jego normalnych aktach informatora znajduje się kilka raportów o nauczycielach i kolegach, a półtora roku później akta zostają zamknięte, gdyż w wieku lat dziewiętnastu Heinz-Joachim Wendt zobowiązuje się służyć przez co najmniej dziesięć lat jako zawodowy żołnierz w Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwa. Była to alternatywa wobec zwykłej służby wojskowej. Wówczas pisze starannym, ręcznym pismem zobowiązanie do „prowadzenia walki z wrogami Niemieckiej Republiki Demokratycznej i obozu socjalistycznego z całą stanowczością”. Przyrzeka „zachowywać się zgodnie z przykazaniami socjalistycznej etyki i moralności” oraz być zawsze czujnym na „przestępcze metody imperialistycznej agentury szpiegowskiej”. Zgadza się na to, by ani on, ani nikt z członków jego najbliższej rodziny nie jeździł do Berlina Zachodniego, RFN lub innych krajów kapitalistycznych ani nie miał żadnych kontaktów z ludźmi tam mieszkającymi.

To było w roku 1971. W ocenie z listopada 1973 roku znajduje się stwierdzenie, iż „jest on otwarty i szczerzy. W prze-

szłości łatwo ulegał wpływom. Po kilku rozmowach usunął swoją słabość charakteru". Usunął ją, wyłączył – jak elektryczne światło w szklanym człowieku z Niemieckiego Muzeum Higieny.

Później robi karierę. W 1974 roku przenosi się do Berlina, by wstąpić do rozszerzającego się wydziału II/9. Jest funkcjonariuszem prowadzącym w sekcji A: sekcji angielskiej. Ministerstwo godzi się na jego małżeństwo, jednak pod pewnymi warunkami (które jednak najwyraźniej należą do „interesów prywatnych zasługujących na ochronę”, określonych w prawie o aktach Stasi). W 1984 roku zostaje naczelnikiem sekcji, jako następcą Rissego, a w 1986 awansuje na zastępcę kierownika całego wydziału. W tym samym czasie zdobywa dyplom Wyższej Szkoły Prawa w Poczdamie, uniwersytetu Stasi. Według dyplomu, zajęcia z „filozofii marksizmu-leninizmu”, „komunizmu naukowego”, „taktyk przestępczych” i „polityki imperialistycznych środków masowego przekazu” zalicza wszystkie na „dobry”, z „międzynarodowych stosunków prawnych” zaś – jedynie na „dostateczny”.

Odpowiednio wzrasta jego pensja i stopnie: sierżant, podporucznik, porucznik, starszy porucznik, kapitan. Ocena z marca 1989 roku jest bardzo korzystna, choć sugeruje się w niej potrzebę „podejścia z większym zrozumieniem do ograniczeń i mniejszego pola manewru na wyższych kierowniczych stanowiskach”. Przewodzi wydziałowej partyjnej grupie propagandowej, a wolny czas spędza, „czytając teksty polityczne i literaturę oraz chodząc na imprezy sportowe i kulturalne”. W kwietniu zaproponowano go do awansu na majora. Zostaje to formalnie potwierdzone rozkazem ministerialnym 7 października 1989 roku, w czterdziestą rocznicę istnienia państwa. Major w wieku trzydziestu siedmiu lat: powód do świętowania. Jednakże w ciągu kilku tygodni całe państwo upadło. Jakaż to musiała być dla niego katastrofa.

Wendt jest najbardziej nieuchwytny z nich wszystkich. Najpierw Insider Komitee mówi mi, że nie żyje. Potem Urząd Gaucka podaje mi innego Wendta. Gdy znajdują właściwe akta, i dzięki temu jego imię, sprawdzam w berlińskiej książce telefonicznej: Wendtów są dwie strony, lecz nie ma żadnego Heinza-Joachima. Biuro numerów nie może mi pomóc. Jadę na stary adres podany na jego karcie pracowniczej, do Hohenschönhausen, dalekiej dzielnicy Berlina Wschodniego, niegdyś gęsto zaludnionej przez Stasi. Znajduję nijaki blok, kiedyś będący domem Stasi, teraz jednak mieści się w nim hotel dla ubiegających się o azyl.

W czasie dalszych poszukiwań Insider Komitee sugeruje, że mógł przenieść się z powrotem do rodziny do Wismaru. Po przyjeździe do tego bałtyckiego portu rybackiego zatrzymuję się, by przez chwilę podziwiać gotycki kościół z czerwonej cegły i rynek, po czym odnajduję jego rodziców w nowym mieszkaniu. W momencie gdy pytam o niego przez domofon, w głosie jego matki rozbrzmiewa niepokój i obawa. Gdy wspinałem się po schodach do ich mieszkania, ona zdążyła już zadzwonić do syna. W drzwiach staje przede mną rozżłoszczona, czerwona na twarzy sprzedawczyni ryb i mówi, że Heinz-Joachim nie chce ze mną rozmawiać. „Nie jest zainteresowany”. Przez uchylone drzwi dostrzegam roztargnionego starego człowieka. Wracając do Berlina, wyobrażam sobie uczucia rodziców, których syn wybrał złą drogę w życiu: uczucia, które właśnie na nowo rozbudziłem.

Piszę następnie do rodziców, przepraszając za wtargnięcie i załączając list do Wendta, w którym wyjaśniam, dlaczego chciałbym usłyszeć jego część tej historii. Odpowiada mi, podając adres rodziców, uprzejmym, starannie sformułowanym listem.

„Oczywiście, pamiętam Pana i kilka Pańskich publikacji – piszę – przez jakiś czas myślałem, że zajmie się Pan tą sprawą”. Jednak nie może mi w tej pracy pomóc. Powody są „natury czysto prywatnej”, a nie politycznej czy zawo-

dowej. Sądzi, iż nawet bez tej rozmowy uda mi się ocenić fakty z mojej teczki w sposób „dosyć obiektywny”. „Czasowa odległość powoduje, że widzi się rzeczy inaczej. Przynajmniej w moim przypadku, gdyż teraz patrzę na rzeczy innymi oczami niż piętnaście lat temu, albo w tak zwanym *Wendezeit* [czasie Przełomu, tzn. w latach 1989–1990]”. Prosi mnie, bym uszanował wagę jego motywów i odstąpił od „dalszych prób nawiązania kontaktu” – nagły przeskok do języka Stasi. Życzy mi „dużo powodzenia” w moich planach.

Tymczasem w wyniku poszukiwań w urzędach meldunkowych Wismaru i Berlina otrzymuję komputerowy wydruk z jego adresem w Berlinie. Pisząc do niego ponownie pod ten adres, pytam, czy nie mógłby przynajmniej wyjaśnić w kilku zdaniach, co ma na myśli, mówiąc „patrzę na rzeczy innymi oczami”. Powtarzam to, co napisałem już w pierwszym liście, że w obecnym stanie rzeczy będę musiał napisać o jego pracy jedynie na podstawie akt, a „dla historyka jest to zawsze bardzo niezadowolające, ponieważ akta mówią tylko część prawdy. Do rzeczywiście sprawiedliwego opisu potrzeba także punktu widzenia historycznego uczestnika zdarzeń”. Dodałem: „Także w duchu sprawiedliwości, chciałbym spytać pana wprost: czy użycie Pańskiego nazwiska może mieć zawodowe lub osobiste konsekwencje dla Pana i Pańskiej rodziny, które w chwili obecnej trudno mi przewidzieć?”

Mam na myśli problemy, jakie on lub jego żona mogliby mieć w pracy, albo też jego dzieci, jeśli ma dzieci, w szkole, bądź z kolegami lub z rodzicami kolegów. Dyskutuję z przyjaciółmi z Niemiec Wschodnich, czy powinienem zapewnić wszystkim funkcjonariuszom Stasi anonimowość. Ogólnie rzecz biorąc, sądzą oni, że raczej nie. Z pewnością byłoby to absurdem w przypadku generała Kratscha, jednego z najwyższych postawionych ludzi w Ministerstwie. Kaulfuss, Fritz i Risse byli wyższymi oficerami – wszyscy w końcu zostali pułkownikami – i są teraz albo na emeryturze, albo zbliżają

się do niej. Ich dzieci są już dorosłe. Podczas naszych rozmów nie domagali się anonimowości. Lecz Wendt, teraz po czterdziestce, wciąż ma połowę lat pracy przed sobą. Jeśli jakiś kolega albo przełożony przeczytałiby niemiecką wersję tej książki, on i jego żona mogliby mieć kłopoty w pracy, jak żona Risse’a po tym, gdy jego nazwisko opublikowano w gazetach. Co więcej, być może Wendt ma dzieci, którym ktoś będzie z tego powodu dokuczać. Po prostu nie wiem. Atmosfera panująca obecnie w Niemczech Wschodnich wobec Stasi jest mniej historyczna i opiera się na lepszym poinformowaniu niż na początku lat dziewięćdziesiątych, jednak muszę dać mu szansę.

Trzy tygodnie później, gdy wysłałem do niego kolejny list, by sprawdzić, czy otrzymał mój poprzedni, odpisuje: „Aby nie wydać się Panu niegrzecznym, niniejszym potwierdzam, iż otrzymałem Pańskie listy z 10 i 26 września”. Ponownie podkreśla jednak, że „z pewnych przyczyn nie pomogę Panu. Mam nadzieję, że nie czuje się Pan osobiście urażony z tego powodu. Jak wynika z rozmów z moimi byłymi kolegami, zapewne nie zdarza się to Panu często”. Ma też nadzieję, że przyjmę tę odpowiedź jako ostateczną „i odstąpię od dalszych prób nawiązania kontaktu”. Na końcu dodaje: „W obecnej sytuacji nie widzę potrzeby, by zachowywać w sprawach osobistych, rodzinnych lub zawodowych jakąś szczególną ostrożność [chodzi o wymienianie prawdziwego nazwiska]. Proszę doprowadzić swą pracę badawczą do końca w sposób, jaki uważa Pan za właściwy i stosowny”. Odpowiadam, że żałuję, lecz muszę uszanować jego decyzję, i że wyślę mu egzemplarz książki.

Naprawdę tego żałuję, nie tylko dlatego, że był on funkcjonariuszem zajmującym się bezpośrednio moją sprawą i przypuszczalnie – jeśli stosunek funkcjonariuszy do tych, których obserwowali był taki, jak pamięta Risse – spędził wiele godzin pracy w latach 1981–1982, obserwując mnie wówczas osobiście. Żałuję tego szczególnie dlatego, że był z innego pokolenia niż reszta. Drogi życiowe tych, z który-

mi dotąd rozmawiałem, bezpośrednio ukształtowała wojna, prowadzili życie powojenne. W przeciwieństwie do nich Wendt był moim rówieśnikiem, tylko trzy lata starszym ode mnie. Podobnie jak ja, całe życie spędził w podzielonej Europie czasów zimnej wojny. W przeciwieństwie do mnie nie znał nic oprócz swojego kraju i systemu, w którym się urodził. W suchy, biurokratyczny sposób jego akta dość dużo mówią o tym, jak doszło do tego, że robił to, co robił, jednak osobiście mógłby mi powiedzieć o wiele więcej. Być może po przeczytaniu tej książki zmieni zdanie? A może nie.

XII

Stasi nie tylko zakazało mi wjazdu do końca 1989 roku; wprowadzono także moje dane osobowe do Systemu Jednolitej Ewidencji Informacji o Przeciwniku, określanego rosyjskim skrótem SOUD. Był to skomplikowany system – początkowo zaproponowany przez Jurija Andropowa, gdy stał on na czele KGB – mający siedzibę w Moskwie, służący wymianie informacji między służbami bezpieczeństwa wszystkich państw bloku sowieckiego. Istniało aż piętnaście kategorii Przeciwnika, od tajnych agentów począwszy, w tym także ludzi należących do „organizacji wywrotowych” i „ośrodków dywersji polityczno-ideologicznej”, „prowokatorów”, „osób wydalonych i niepożądanych”, „wrogich dyplomatów”, „wrogich korespondentów”, terrorystów i przemytników.

Zostałem umieszczony w kategorii 5.: „Osób, które prowadzą wywrotową działalność przeciwko państwom socjalistycznym na zlecenie wrogich służb wywiadowczych, ośrodków dywersji polityczno-ideologicznej, wrogiej emigracji, organizacji syjonistycznych, klerykalnych i innych”. Za mój „ośrodek polityczno-ideologicznej dywersji” uznano BBC.

Według badań Urzędu Gaucka, Stasi – jako pojedyncza organizacja – miało największy wkład do tego systemu, a wydział główny II Stasi był podstawowym dostarczycielem nazwisk. W kategorii „terrorystów” umieścili oni 132 członków grupy Baader-Meinhof, a potem kolejnych dziewięciu, którym sama NRD udzieliła azylu: wróg jako gość. Umieszczono także 97 członków Młodych Wikingów, neo-

nazistowskiej grupy, która napadła na mnie w Berlinie Zachodnim. Eksperci z Urzędu Gaucka zwracają uwagę, iż dane SOUD prawie na pewno są wciąż w dyspozycji rosyjskich służb wywiadowczych – co jest odrobinę niepokojące. Niemniej jednak stwierdzają oni także, iż w tym czasie system był w dużej mierze nieskuteczny, szczególnie dlatego, że większość służb państw bloku sowieckiego swe najlepsze źródła informacji zachowywała dla siebie.

Umieszczenie mnie w systemie nie uniemożliwiło mi jednak podróżowania do innych państw bloku. Na przykład do Rosji i na Węgry jeździłem oficjalnie jako dziennikarz. Polskie władze uchyliły w końcu zakaz na wiosnę 1983 roku, pozwalając mi towarzyszyć drugiej pielgrzymce papieża do rodzinnego kraju i patrzeć, jak nawołuje on swój lud, by „wytrwał w nadziei”. „Chociaż na zewnątrz totalitarny system komunistyczny prezentuje się ciągle tak samo – pisałem – to w rzeczywistości ulega ciągłemu rozkładowi od środka”. Od tego czasu każdą wizę trzeba było siłą wrywać z polskiej ambasady, starałem się jednak jeździć do Polski tak często, jak tylko mogłem.

Do Czechosłowacji jeździłem jako „turysta”. Przed wylotem do Pragi starannie ukrywałem nazwiska ludzi, których zamierzałem odwiedzić, zapisując je ołówkiem w skróconej formie, drobnym pismem na odwrotnej stronie Eurocheque'u. Do przyjaciół z opozycji nigdy nie telefoniowałem, tylko pojawiałem się pod ich drzwiami, sprawdzając wcześniej, czy nie jestem śledzony. Skradałem się przez las, by wymknąć się policji przed wiejskim domem Václava Havla. Wówczas pisywałem jako „specjalny korespondent”, a raz nawet jako „Mark Brandenburg”.

Przewoziłem także pieniądze, książki i wiadomości dla prześladowanych opozycjonistów w kilku krajach. Pochodziły one od ich przyjaciół i kolegów na emigracji na Zachodzie oraz od niewielkich organizacji charytatywnych, w których działałem: „Jagiellonian Trust for Poland” lub naszego nazwanego niewinnie „Central and East European Publish-

ing Project” wspierającego podziemne wydawnictwa i pisma w Europie Środkowej i Wschodniej. Nie byłem w tym osamotniony. Chociaż do roku 1989 taką działalnością zajmowała się niewielka grupa, to związani z nią ludzie reprezentowali prawie całe spektrum polityczne: od neokonserwatystów, jak Roger Scruton (*spiritus movens* „Jagiellonian Trust”), przez zdeklarowanych liberałów, jak Ralf Dahrendorf (prezes naszego „Central and East European Publishing Project”), po neotrockistów, jak Oliver Macdonald z pisma „Labour Focus on Eastern Europe”. Jak to bywa podczas wojny, jednoczyła nas wspólna sprawa.

Przeglądając stare zeszyty z zapiskami stojące u mnie na półce, znajduję fragmenty umyślnie nieczytelnie nagryzmolone: „Lordowskie zaproszenie dla KB i EK?”, „A.M. do ZL?”, „Berlin–Bierdiajew”. W tłumaczeniu: czy zdołam nakłonić jakiegoś angielskiego lorda, by wysłał oficjalne zaproszenie dla solidarnościowych działaczy: Konrada Bielińskiego i Ewy Kulik? Czy Adam Michnik napisał tekst do wydawanego w Paryżu polskiego kwartalnika literackiego „Zeszyty Literackie”? Czy Isaiah Berlin napisałby przedmowę do polskiego podziemnego wydania Bierdiajewa? I tak dalej. Pamiętam, jak siedziałem na ławce w zakurzonej wrocławskim parku, gdy pewna działaczka z podziemia – obecnie przewodząca polskiemu ruchowi feministycznemu – odczytywała wiadomości zapisane drobnym pismem na papierosowej bibułce. Następnie wsunęła tę bibułkę do ust i połknęła.

Być może niektóre konspiracyjne środki ostrożności były przesadzone, ponieważ jednak ludziom, których odwiedzałem, groziłoby znacznie więcej niż mnie, chętnie zbaczałem w stronę paranoi. Nie miałem nic przeciwko temu, by wodzić tajną policję za nos. Cel całkowicie uświęcał środki; a jeśli przy okazji było to zabawne, to czemu nie?

NRD nie utrzymała całkowicie zakazu do końca grudnia 1989 roku. Po energicznej interwencji ówczesnego bry-

tyjskiego ambasadora w Berlinie Wschodnim wpuszczono mnie na dwa dni, bym wziął udział w oficjalnych obchodach trzydziestej piątej rocznicy powstania NRD, 7 października 1984 roku. Zauważyłem jednak, że ludzie w Międzynarodowym Centrum Prasowym odnosili się do mnie wyraźnie chłodno (dowiaduję się teraz, że wydział Stasi II/13 miał wśród personelu Centrum Prasowego aż dwudziestu czterech przebranych funkcjonariuszy). „W centrum miasta – pisałem – roilo się od policji umundurowanej i po cywilnemu. Tajniacy (Stasi) zatrzymywali mnie za każdym razem, gdy wracałem do hotelu [...]. W czasie odwiedzin u starych przyjaciół czterej mężczyźni w ciemnozielonej ładzie czekali przed domem, ewidentnie nie rzucając się w oczy. No cóż, to jest jedyny sposób, by państwo mogło utrzymać pełne zatrudnienie”. Znajduję teraz kartkę z instrukcjami Stasi, która zawiera polecenie, by straż graniczna zaostrzyła od 8 października 1984 roku zakaz wjazdu do kraju, a na wizie przybito pieczętkę, iż jest nieważna: „Jeśli obiekt będzie domagał się wyjaśnień, należy go poinformować, iż otrzymał wizę do 8.10.84 omyłkowo”.

W kwietniu 1985 roku dostałem się do NRD na dwa i pół dnia, towarzysząc ówczesnemu ministrowi spraw zagranicznych Geoffreyowi Howe'owi podczas podróży do trzech państw wschodnioeuropejskich. Ponieważ należałem do niewielkiej grupy dziennikarzy podróżujących razem z ministrem, przypuszczam, że odmowa wpuszczenia mnie mogłaby spowodować drobny incydent dyplomatyczny. Powitanie znów było chłodne. Potem nie wpuszczano mnie przez następne cztery lata, choć zwracałem się o to od czasu do czasu. Każda odmowa została starannie odnotowana w indeksie Stasi. Na karcie SOUD znajduje się odnośnik do oceny, jaką wystawił mi w 1986 roku wydział III HVA, koordynujący działania agentów zatrudnionych w dyplomacji, tak więc była ona przypuszczalnie oparta na raportach ich człowieka w ambasadzie w Londynie.

Tymczasem w Polsce i na Węgrzech wydarzenia zaczęły nabierać coraz większego rozpędu. W czerwcu 1989 roku byłem w Warszawie podczas na wpół wolnych wyborów, w których „Solidarność” odniosła triumf, a komunizm został w efekcie odrzucony. Gdy pewnego dnia o ósmej rano zadzwonił telefon w moim pokoju w Hotelu Europejskim, ostatnim rozmówcą, którego bym się wówczas spodziewał, był urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych NRD. W sposób dość ceremonialny poinformował mnie, że nie ma obecnie przeszkód, bym podróżował do NRD. Tak więc kilka tygodni później byłem już w Berlinie Wschodnim, w Hotelu Metropol, z widokiem na stację Friedrichstrasse.

Spędziłem tam sporo czasu, przygotowując publikację w kilku czołowych europejskich pismach artykułu, napisanego wspólnie z Jánosem Kisem, czołowym opozycjonistą węgierskim, który przewodził wówczas nieopierzonemu Związkowi Wolnych Demokratów, oraz Adamem Michnikiem, od niedawna redaktorem naczelnym „Gazety Wyborczej”, dziennika solidarnościowej opozycji, która była wynikiem ustępstwa komunistycznych władz Polski w czasie pierwszego Okrągłego Stołu w 1989 roku. „W Polsce i na Węgrzech – pisaliśmy – Europa ma dzisiaj nie spotykaną dotąd szansę. Jest to szansa przekształcenia komunizmu w liberalną demokrację. Nikt jeszcze tego nigdy przedtem nie zrobił. Nikt nie wie, czy można tego dokonać”. A dalej apelowaliśmy do zachodnich przywódców i europejskiej opinii publicznej o pomoc w tym procesie. Telefonistki w Hotelu Metropol niezwykle sprawnie przyczyniły się do opublikowania w całej Europie owego frontalnego ataku na wszystko to, co reprezentowała NRD.

Przeprowadziłem kilka śmiechu wartych, oficjalnych wywiadów. Człowiek o nazwisku doktor Kleitke z Enerdowskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, trzymając się rozpaczliwie linii ideologicznej w kwestii narodowej wyznaczonej przez Kurta Hagera, odmawiał posługiwania

się słowem „Niemcy”; zamiast tego, mówił o „ludziach z NRD” i „ludziach z RFN”. Niemniej jednak odważnie przyznał, że istnieje pewne podobieństwo między człowiekiem z NRD a człowiekiem z RFN: „Jakoś się dogadujemy”. Dodał jednak pospiesznie, że lubią także Brytyjczyków i Holendrów.

Rozmawiałem do późna w noc z niewielką grupą opozycjonistów w mieszkaniu jednego z nich, Gerda Poppego (z jego wielotomowej teczki wynikało, że Stasi usiłowało rozbić jego rodzinę, zlecając agentowi, by interesował się jego żoną, a nauczycielom w szkole, by podburzali jego dzieci przeciwko niemu). Wszyscy byli głęboko przygnębieni i pesymistyczni co do szans, by Wschodnie Niemcy poszły w kierunku wyznaczonym przez Polskę i Węgry. Artykuł, który wówczas napisałem, powstał pod dużym wpływem tej rozmowy, był więc ostatecznie zbyt pesymistyczny. „Spectator” dał mu podtytuł: „Wzdychając za wyłomem w murze”. Jeśli widziałem ogromne możliwości w tym, co działo się w Polsce i na Węgrzech, to – podobnie jak Gerd Poppe – po prostu nie mogłem uwierzyć, że w NRD zmiana zajdzie tak szybko i że w ciągu kilku miesięcy ludzie będą zwyczajnie przechodzić przez mur.

Tak naprawdę, jedyna znana mi osoba, która to przewidziała, nie była ani opozycjonistą, ani politologiem, ani dyplomata, ani dziennikarzem – była to Ursula von Krosigk, starsza pani, u której mieszkałem, gdy po raz pierwszy przyjechałem do Berlina. Pewnego dnia, przy śniadaniu, powiedziała mi, że poprzedniej nocy miała dziwny sen. Śniło jej się, że granica między Wschodnimi a Zachodnimi Niemcami została otwarta na kilka godzin. Jednakże tak dużo ludzi w ciągu tych kilku godzin przeszło przez granicę, że nie dało jej się już zamknąć – i Niemcy zostały zjednoczone.

Najbardziej poruszającą rozmowę w czasie tej wizyty odbyłem ze starszym synem Wenera, Joachimem. Wzruszającą dwunastolatek z fotografii robionej z ukrycia przez

Stasi był teraz wysokim, młodym gniewnym dwudziesto-jednolatkiem. Siedzieliśmy na balkonie probostwa w lipcowym upale, a on opowiadał mi, jak z przyjaciółmi usiłovali niezależnie obserwować wybory samorządowe, jak władze sfałszowały wyniki i jak policja – gdy próbowali protestować przeciwko temu oszustwu – ciągnęła ich za włosy po brukowanych ulicach. Większość ludzi w kraju, jak powiedział, jest za głupia, bierna i wystraszona, by cokolwiek zrobić. Być może któregoś dnia w NRD przyjdzie zmiana, ale będzie to trwało wiele lat, i on będzie już wtedy stary i siwy. Chciał żyć, chciał podróżować. Jak dotąd był za granicą tylko raz, przez cztery dni, w Berlinie Zachodnim. Jeśli tylko trafi się szansa...

Kilka tygodni później dostałem list od Joachima. Stempeł był z Berlina Zachodniego. Wyjechał na wakacje na Węgry i – jak wielu innych – uciekł przez słabo wówczas pilnowaną granicę do Austrii. Wrócił stamtąd, przez obóz dla uchodźców, do miejsca oddalonego o kilka kilometrów od starego probostwa w Pankow. Niemniej, rzecz jasna, ani rodzina nie mogła go odwiedzać, ani on nie mógł odwiedzać ich – zdawało się – jeszcze przez wiele, wiele lat. W Pankow było takie miejsce, gdzie, jeśli stanęło się na starych betonowych blokach, można było zobaczyć za murem dworzec kolejowy w Berlinie Zachodnim. Ustaliwszy przez telefon odpowiedni moment, stawał więc na dworcowym peronie, a po wschodniej stronie jego młodszy brat i siostra na betonowych blokach. Machali i krzyczeli do siebie przez mur. Jego siostrzyczka była potem tak przejęta, że matka zmuszona była im tego zabronić.

Potem przyszedł październik i Erich Honecker został w końcu usunięty pod naciskiem, z jednej strony, Gorbaczowa, z drugiej zaś, demonstracji w Lipsku, coraz tłumniejszych, pojawiających się wieczorem w każdy poniedziałek, niczym skurcze porodowe. Demonstracje rozpoczynały się zawsze od nabożeństwa w Nikolaikirche, kościele Świętego Mikołaja. Poleciałem do Berlina, wynająłem sa-

mochód, zapłaciłem jeszcze jeden mandat za przekroczenie prędkości na autostradzie do Lipska, zjechałem w lodowatej mgle na parking niedaleko Nikolaikirche, przekonałem pilnującego zamkniętych drzwi, by mnie wpuścił do zatłoczonego kościoła, wcisnąłem się do bocznej nawy – i prawie zderzyłem z Jamesem Fentonem, którego wielka głowa opuszczona była jak w modlitwie. Kolejne koło się zamknęło.

Potem przyszedł listopad i mogłem już zwyczajnie przejść przez świeży wyłom w murze przy Potsdamer Platz do Zachodniego Berlina i z powrotem, jak w bajce. Siedzieliśmy z Wernerem w moim pokoju w Metropolu. Patrzyliśmy w dół przez wysokie okno na południową stronę stacji Friedrichstrasse, gdzie zwykle prawie nikt nie chodził, ponieważ droga prowadziła tylko do muru. Teraz jednak spełnił się sen Ursuli i tłumy ludzi chodziły tam i z powrotem. Werner wyjął fajkę z ust i powiedział: – Spójrz na to! Nie wyobrażasz sobie, co to dla mnie znaczy.

Kiedy tak patrzyliśmy oczarowani, wiedzieliśmy, że nic nie będzie już takie jak przedtem. Skończył się komunizm. Skończyła się zimna wojna. Wszystko się skończyło. Nie wiedzieliśmy tylko obaj jednej rzeczy – tego, że on to także „Buk”, a ja – „Romeo”.

XIII

Październik 1995 roku. Wchodzę do swojego pokoju w college’u przy Church Walk w Oksfordzie i znajduję na podłodze pod faksem rolki z materiałami z teczki informatora, które właśnie przesłał mi Werner z probostwa w Pankow. Trzydzieści stron raportów pisanych ręcznie przez oficera prowadzącego z regularnych tajnych spotkań z IM „Freier” w konspiracyjnym mieszkaniu „Elisy”. Słowo *Freier* oznacza zarówno staromodnego „zalotnika”, jak i, obecnie częściej, klienta prostytutki. Tutaj chodzi o to drugie znaczenie.

IM „Zalotnik” był duchownym i donosił na swojego kolegę – pastora Wenera. Raport ze spotkania z 7 lutego 1979 roku dotyczy niejasnych plotek, iż Werner spotyka się z „nie zidentyfikowaną osobą płci żeńskiej”. Czy „Zalotnik” mógłby coś z niego wyciągnąć? Kapitan Exner notuje:

W tej chwili IM nie widzi możliwości sprawdzenia tej anonimowej poufnej informacji w warunkach intymnej rozmowy (katedralne, luźne spotkanie przy alkoholu). Spróbuje on z własnej inicjatywy wykorzystać każdą sposobność, uważa jednak, że najlepszą okazję stanowić będzie spotkanie we wspomnianym zaciszu kościoła [...]. Niżej podpisany poinformował IM, iż koszty, jakie przy tym poniesie, zostaną mu zwrócone.

Kiedy w zeszłym tygodniu w Berlinie – wieczorem, przy kieliszku wina na probostwie – Werner czytał ten fragment swojej żonie Annegret i mnie, pękaliśmy ze śmiechu. Zastanawiam się, ile małżeństw tak łatwo przeszło test akt Stasi?

W raporcie napisano dalej: „W związku z tym zleceniem IM ponownie usiłował podnieść własną sprawę. Szukał sposobności podróży do RFN, co niżej podpisany mu zagwarantował”. A więc „Zalotnik”, podobnie jak „Michaela”, na boku pracował na wizę wyjazdową, a Stasi ponownie rutynowo stosowała ścisłą państwową kontrolę nad możliwościami podróżowania obywateli, jako instrumentu zapewnającego kolaborację.

Identyfikację „Zalotnika” pisemnie potwierdził Urząd Gaucka. Gdy jednak Werner do niego zadzwonił, stanowczo zaprzeczył oskarżeniom, po czym przysłał list z pokrętnymi usprawiedliwieniami.

Ciekawe, czy ma faks?

Tak w codziennym życiu wygląda proces, na który nie ma angielskiego określenia, w niemieckim zaś są dwa długie: *Geschichtsaufarbeitung* i *Vergangenheitsbewältigung*. „Leczyć”, „zмагаć się”, „pogodzić się” lub nawet „przewyciężyć” przeszłość. Druga runda niemieckiego rozprawiania się z przeszłością, udoskonalona dzięki doświadczeniu pierwszej rundy – po Hitlerze. Teraz znowu nici śledztw, demaskowania, wzajemnych oskarżeń i pojednań przecinają kraj we wszystkich kierunkach. I nie tylko ten kraj. W wieku kserokopiarek, faksów, światłowodów i satelitów doskonale kopie obciążających dokumentów można rozsyłać po świecie w ciągu kilku sekund i reprodukować w niezliczonych ilościach następnego dnia. Wczoraj czyjś sekret leżał ukryty w pojedynczej zakurzonej kartonowej teczce. Dziś leży odsłonięty na milionach stołów, jako lektura przy śniadaniu.

Wiele krajów na całym świecie stoi przed problemem „przeszłości”. Wszystkie państwa postkomunistyczne Europy i Azji, rządzone kiedyś przez dyktatorów kraje Ameryki Łacińskiej i Afryki Południowej. Niektóre, jak Hiszpania po rządach Franco czy Polska w czasie pierwszego rządu solidarnościowego, usiłują odkreślić przeszłość

grubą kreską. Puśćmy w niepamięć to, co minęło! Adam Michnik broni takiego podejścia. „Dajcie pierwszeństwo współczuciu”, mówi, twierdząc, że tak czy owak, nie można wierzyć aktom tajnej policji: „Czy możemy, na przykład, wierzyć dokumentom sporządzonym przez informatorów Stasi? Nikt mnie jeszcze nie przekonał, że tym dokumentem można ufać”.

Inni poszli różnymi drogami. Były procesy: niektóre nie zasługujące na tę nazwę, jak w przypadku małżeństwa Ceaușescu w Rumunii, bądź porządniejsze procesy pokazowe, jak ten byłego komunistycznego przywódcy Todora Żiwkova w Bułgarii. Były administracyjne czystki, jak czechosłowacka „lustracja” – słowo mające łacińskie konotacje z rytualnym oczyszczeniem. Były komisje historyków, prawników i wybranych polityków, powołane, by zbadać różne aspekty komunistycznej przeszłości, takie jak „praska wiosna” czy wprowadzenie stanu wojennego w Polsce. W Chile i Południowej Afryce powoływano komisje do spraw „prawdy i pojednania”.

Tylko w nowych Niemczech było wszystko razem. W Niemczech były i procesy, i czystki, i komisje do badania prawdy, i systematyczne udostępnianie akt tajnej policji każdemu, kto chciał wiedzieć, co mu zrobiono – albo co on zrobił innym. To było wyjątkowe. Pomijając inne względy, które z pozostałych państw postkomunistycznych byłoby na to stać? Budżet Urzędu Gaucka na 1996 rok wynosił 234 miliony marek. To jest więcej, niż wynosi cały budżet wojskowy Litwy.

Urząd zatrudnia ponad 3 tysiące personelu na pełnym etacie, ze Wschodu i Zachodu. Frau Schulz organizowała przedtem wycieczki po Berlinie Zachodnim dla Instytutu Ogólnoniemieckiego: pokazywanie ludziom muru i tego typu rzeczy. Jej następczyni, Frau Duncker, pracowała przedtem dla enerdowskiej agencji prasowej. Tak więc sam Urząd jest mikrokosmosem jednoczących się Niemiec. Gdy czekam na spotkanie z Joachimem Gauckiem,

dolatuje mnie rozmowa dwóch sekretarek o niedawnym postawieniu przed trybunałem parlamentarnym Joachima Wieganda, wyższego funkcjonariusza Stasi, który powiedział Wernerowi o jego telefonie do mnie do Oksfordu. Sekretarka (wschodnia) mówi z oburzeniem, że jak się słucha, co mówi ta wstrętna świnią, można by pomyśleć, że Stasi było oddziałem Armii Zbawienia. Sekretarka (zachodnia) mówi pogodnie: „tak, ale słyszałam, że miało to wielką wartość rozrywkową”. Dwa światy zderzają się ze sobą pomiędzy ekranami monitorów komputerowych. Sam pastor Gauck, podobnie jak Werner, usiłuje przekazać wartości i doświadczenia tych, którzy żyli w dyktaturze, społeczeństwu bardziej zainteresowanemu wartością rozrywkową. Jest jak Luter w świecie telewizyjnego *talk-show*. Nie jestem pewien, czy Luter zwycięży.

Historycy z wydziału badań sami są częścią tej historii. Kilkoro pochodzi ze Wschodu i ma za sobą ciężkie osobiste doświadczenia. Inni badali Wschodnie Niemcy w instytucjach w Zachodnich Niemczech. Kilka czołowych postaci pochodzi jednak z Instytutu Historii Współczesnej w Monachium, słynącego z badań nazizmu. Ci kulturalni, liberalni ludzie koło trzydziestki lub czterdziestki są sumiennymi patologami historii, wyszkolonymi na zwłokach gestapo i SS. Pierwszą połowę życia spędzili, analizując zawodowo jedną niemiecką dyktaturę, a drugą – zawodowo analizując następną, żyjąc cały czas w spokojnej, dobrze prosperującej niemieckiej demokracji.

Każdy, kto pracuje bezpośrednio nad aktami, ma dostęp do nadzwyczajnej wiedzy. Jakkolwiek trzeźwi i odpowiedzialni są ludzie, procedury i cała atmosfera, poznanie intymnych szczegółów z cudzego życia nadal budzi dreszczyk emocji, jak u podglądacza. Zauważyłem, że panie od mojej teczki nieco się rumieniają, mówiąc o „Michaeli”, „Schuldcie” czy też innej postaci z mojej teczki. Tak – mówią – praca może być czasami bardzo interesująca. Bo to o ludziach, wie pan.

Wiedza ta, jak się sam przekonałem, prowadzi do władzy nad innymi. Ważna część tej władzy, którą miał funkcjonariusz Stasi, przekazana została urzędnikowi z Urzędu Gaucka, a dalej pojedynczemu czytelnikowi, dziennikarzowi lub naukowcowi, albo pracodawcy, który zażądał, by „zgauckowano” pracownika lub starającego się o pracę. Każdy z nich musi zdecydować, jaki z tej władzy zrobić użytek. Zatrudnić? Zwolnić? Zdemaskować czy oszczędzić? Przede wszystkim, gdy pojawiają się te dwie literki „IM” – piętno. Nawet przy ogólnych dobrych intencjach, nawet przy ostrych ograniczeniach przez prawo i publiczny nadzór jest coś złowrogiego w tej władzy.

Odwiedzamy z Wernerem Frau Trümpelmann, przystojną, inteligentną kobietę, która przygotowuje indywidualne teczki dla korzystających z czytelnicy w starym kompleksie budynków ministerstwa przy Normannenstrasse. Opisuje nam dziwne pomieszanie uczuć, które obserwuje wśród koleżanek i kolegów. Mają oni owo poczucie tajnej wiedzy i przez to tajnej władzy, prawie tak, jakby pracowali dla Stasi. Jednocześnie wielu z nich niechętnie mówi przyjacielom lub nieznajomym, gdzie pracuje. Sam odkrywam, że Frau Duncker nie chce, bym używał jej prawdziwego nazwiska, ponieważ w jej sąsiedztwie mieszka wielu byłych funkcjonariuszy Stasi i obawia się nieprzyjemności, jeśli nie czegoś gorszego. Mówi, że wciąż są dobrze zorganizowani.

Te teczki mogą zmienić życie. Jedna z niedawnych czytelniczek odwiedzających Frau Trümpelmann była w komunistycznym reżimie więziona przez pięć lat za próbę ucieczki na Zachód. Teraz dowiedziała się ze swojej teczki, że zadenuncjował ją do Stasi człowiek, z którym żyła. Wciąż byli ze sobą. Jeszcze tego ranka życzył jej dobrego dnia w archiwum. Zemdlona kobieta osunęła się w ramiona Frau Trümpelmann.

Frau Trümpelmann, osoba związana z Kościołem, zadaje sobie ogromny trud, by pomóc ludziom w takich przy-

padkach. Zwykle dzwoni uprzednio, by ich przygotować. Starannie wyjaśnia, na czym polega natura teczek, zanim usadzi ich w czytelni. Jest pod ręką, by wesprzeć ludzi przy czytaniu. Jest jednak pod wielkim stresem. Ma kłopoty z oczami i sercem. Jak można zajmować się truciznami i samemu się nie zatruć?

Nie cały personel Urzędu jest tak wrażliwy. Gdyby robiono to po raz drugi, położono by większy nacisk na szkolenie personelu, który ma bezpośrednio do czynienia z ofiarami represji. Za trzecim razem Niemcy mogłyby rozprawić się z przeszłością zupełnie jak należy. Jednak wszystko to jest po to, by nie musiało już być trzeciego razu.

Do końca czerwca 1996 roku Urząd odpowiedział na około 1,7 miliona próśb weryfikacyjnych od państwowych i prywatnych pracodawców. Innymi słowy, jeden na dziesięciu wschodnich Niemców został „zgauckowany”. W tym samym czasie ponad milion mężczyzn i kobiet – dokładnie 1 145 005 – zwróciło się o wgląd w swoje teczki. Prawie 420 tysięcy z nich już czytało swoje akta, a nieco ponad 360 tysięcy z ulgą – a może z rozczarowaniem? – przyjęło wiadomość, iż nie znaleziono ich teczki. Reszta wciąż czeka na rozpatrzenie podań. Nie widzę żadnego obiektywnego sposobu, by oszacować wpływ tej nadzwyczajnej operacji.

Ludzie tacy jak Vera Wollenberger, kobieta z parafii Wernera, która dowiedziała się, że donosił na nią mąż, dokonali przerażających odkryć. Tylko oni mogą powiedzieć, czy lepiej stało się, że wiedzą. Niektórzy figurujący w aktach Stasi jako informatorzy mieli niemiłe przeżycia spowodowane przez środki masowego przekazu: nieodpowiedzialne, sensacyjne demaskacje, nie zwracające nawet przez chwilę uwagi na motywy, kontekst lub możliwą niewiarygodność źródeł. A trzeba być bardzo ostrożnym. Pewien przyjaciel opowiedział mi o kimś, kto kiedyś do niego przyszedł w latach osiemdziesiątych i powiedział: „Słuchaj,

poprosili mnie, żebym na ciebie donosił i nie mogę się od tego wykręcić, ale powiedz mi, co mogę im powiedzieć”. Ułożyli razem raporty, które miał składać. Lecz gdyby mój przyjaciel już nie żył, a znaleziono by akta tego informatora, któż by uwierzył jego wyjaśnieniom? A poza tym niezwykła szczegółowość akt tajnej policji oraz obsesja opinii publicznej na temat informatorów odwracają uwagę od przywódców i funkcjonariuszy partyjnych, którzy byli odpowiedzialni za cały system.

Jak na ironię, otwarcie akt, którego domagali się byli opozycjoniści z NRD, wzmocniło neokolonialny stosunek Zachodu do Wschodu. Niemcy zachodni, którzy nigdy nie musieli podejmować bolesnych decyzji, jakie podejmowali żyjący pod dyktandem, wypowiadają teraz uproszczone osady, lekceważąc NRD jako państwo szpiegów Stasi. W odpowiedzi na to wielu zwykłych wschodnich Niemców zwarło szeregi wokół takich postaci jak Manfred Stolpe, mimo, a nawet dlatego, iż figuruje w aktach Stasi jako IM „Sekretarz”. Mój mroczny *doppelgänger* Lutz Bertram, niewidomy dyskdzokej, który donosił dla Stasi jako IM „Romeo”, pracuje teraz dla Partii Demokratycznego Socjalizmu, bezpośredniej następczyni rządzącej partii komunistycznej. To niewiarygodne, ale jest on ich „rzecznikiem prasowym”.

Operacja ta nie podzieliła społeczeństwa Wschodnich Niemiec, tak jak obawiali się niektórzy. Pewien profesor, w przyływie rozpaczy, że zostanie zdemaskowany jako współpracownik Stasi, podobno roztrząsał na kawałki swą jedyną w swoim rodzaju kolekcję krasnali ogrodowych, w tym, jak mówiono, jedyny znany okaz krasnala płci żeńskiej. W pewnym sensie doskonała ilustracja końca NRD. Bywały przypadki, że ludzie byli niesłusznie zwalniani z pracy po „zgauckowaniu” lub w panice podpisywali podania o wcześniejszą emeryturę, zamiast wnosić odwołanie do sądu, do czego mieli prawo. Jednak nawet w sektorze państwowym wielu ludzi, którzy okazali się „gauck-po-

zytywni”, utrzymało się na stanowiskach. Niemało zaś tych, którzy zostali zwolnieni, następnie przywrócono do pracy lub przynajmniej wypłacono im odszkodowania, zgodnie z postanowieniami sądów pracy. Były bolesne konfrontacje, zerwane przyjaźnie, rozwody, trafiało się wybijanie okien, bez wątpienia było kilka rękoczynów. Co więcej, doszło do kilku samobójstw prawdopodobnie na skutek – przynajmniej częściowo – negatywnego zgauckowania lub zdemaskowania w mediach, zwanego w Niemczech „outing”.

Po przeciwnej stronie trzeba umieścić bardzo wiele przypadków, gdzie czytanie akt przyniosło ludziom ulgę, dało większe zrozumienie i solidniejszą podstawę życia. Gdy w Niemczech toczyła się publiczna debata, czy zamknąć ponownie dostęp do akt, do Urzędu Gaucka spłynęła lawina nowych podań, około tysiąca dziennie. Frau Trümpelmann, która do dziś załatwiła około pięciu tysięcy spraw, zdecydowanie twierdzi, że z jej doświadczeń wynika, iż większość czytelników wychodziła z silnym poczuciem, że było to pomocne. Pewien starszy człowiek powiedział jej: „W końcu mogę sporządzić testament. Sądziłem, że mój zięć na mnie donosił. I powiedziałem sobie, że za diabła nie zapiszę mu mojego domu! Teraz jednak mogę”. „Przynajmniej teraz wiem” – to najczęściej powtarzające się zdanie. Takie jest też moje osobiste wrażenie: *katharsis* i lepsze oparcie, by iść naprzód.

Dwie szkoły starej mądrości stoją naprzeciw siebie wśród wszystkich tych teczek. Po jednej stronie jest stara mądrość żydowskiej tradycji: tajemnicą odkupienia jest pamięć. I mądrość George’a Santayany, często cytowana w odniesieniu do nazizmu: ci, którzy zapominają o przeszłości, są skazani na to, że ona się powtórzy. Po drugiej stronie jest głębokie spostrzeżenie historyka Ernesta Renana, iż każdy naród jest społecznością mającą wspólną pamięć i wspólne zapomnienie. „Zapomnienie – pisze Renan – i powiedziałbym nawet, że historyczny błąd, jest

istotnym czynnikiem w historii narodu”. Istnieje także codzienne ludzkie doświadczenie, które łączy w jedno wyrażenie „przebac i zapomnij”. Historycznie rzecz biorąc, wielu jest zwolenników zapominania. Od Cycerona, który w 44 roku przed Chrystusem, już dwa dni po zamordowaniu Cezara, żądał, by pamięć o przeszłej niezgodzie skazana została na „wieczne zapomnienie”, po Churchilla, który dwa tysiące lat później, w przemówieniu wygłoszonym w Zurychu, przywołał apel Gladstone’a o „błogosławiony akt zapomnienia krzywd” pomiędzy wrogami.

Po obu stronach obecna jest prawdziwa mądrość, a obie te mądrości niełatwo połączyć. Jedyne kompromis, do jakiego można tu dojść, to stopniowanie w czasie: dowiedzieć się – zapisać – zastanowić się – lecz potem iść dalej. Jest to najmniej szkodliwa recepta, jaką znam, na prawdę i pojednanie: między narodami (Polakami i Niemcami, Anglikami i Irlandczykami), narodów samych ze sobą (Południowoafrykańczyków z Południowoafrykańczykami, Salwadorczyków z Salwadorczykami), między pojedynczymi mężczyznami i kobietami, i w nas samych. Między nami a nimi, nami a nami, nim a nią – i mną a mną samym.

To bez wątpienia słuszne, że Niemcy, i nie tylko Niemcy, powinni naprawdę zrozumieć, jak to się stało, że w drugiej połowie dwudziestego wieku ponownie zbudowano na niemieckiej ziemi totalitarne państwo policyjne, bezsprzecznie mniej brutalne niż Trzecia Rzesza, mniej szkodliwe dla sąsiadów i nie posuwające się do ludobójstwa, lecz za to bardziej wszechobecne w ukrytym kontrolowaniu wszystkiego i wszystkich. Jak to się stało, że państwo to wykorzystywało niektóre z tych samych mentalnych nawyków, niektóre elementy tej samej społecznej dyscypliny i kultury, którymi posłużył się nazizm, a także te same zgubne „cnoty drugorzędne”: obowiązkowość, lojalność, punktualność, schludność, pracowitość? Jak to się stało, że działo się to wszystko tak długo, a tak niewielu Niemców zdawało sobie

z tego sprawę? Jak to się stało, że język niemiecki, ten wspaniały, czasem nawet zbyt potężny instrument, ponownie posłużył ukryciu zła pod pozorem dobra? Krótko mówiąc, jak to się stało, że Niemcy dalej trwały w cieniu „dębu Goethego”?

XIV

W powieści Stephena Vizinczeya *In Praise of Older Women* jest niezapomniana scena, gdy ludzie uciekający z Węgier po sowieckiej inwazji w 1956 roku widzą na rynku miasteczka tuż za granicą po austriackiej stronie szereg nowych srebrzystych autobusów z żółtymi, ręcznie malowanymi nazwami docelowych miejsc: Szwajcaria, USA, Szwecja, Anglia, Australia. „Gdzie spędzić resztę życia? Para z niemowlęciem, która wsiadła już do autobusu jadącego do Belgii, nagle wysiada i pędzi do wozu z napisem Nowa Zelandia”.

Większość ludzi nie doświadcza aż tak skrajnych wyborów. Jednak patrząc wstecz, dostrzegamy momenty, w których całe nasze życie mogłoby pójść całkiem inną drogą:

Przejsiemy, w któreśmy sami nie wchodzili nigdy,
Ku drzwiom zamkniętym,
Których nie otwieraliśmy nigdy,
Do różanego ogrodu.

(przełożył Czesław Miłosz)

Każdy wybór na drodze zawodowej. Każda dziewczyna, która mogła zostać żoną. Dla generała Kratscha było owo ogłoszenie w „Der Eisenhändler”. Gdybyż tylko został ekspedientem w Południowej Afryce! Co do mnie, to, jak przypuszczam, także miałem kilka autobusów do wyboru: jeden, by zostać dyplomata, drugi, by stać się konwencjonalnym akademickim historykiem, trzeci, by być regularnym korespondentem zagranicznym, oraz – schowany za rogiem – nie oznaczony autobus oficjalnie nie istniejącej służby.

Zamiast tego, jako naoczny świadek prowadziłem kronikę stopniowej emancypacji i ostatecznego wyzwolenia Europy Środkowej spod dominacji sowieckiej. Gdy skończyła się zimna wojna, zacząłem stosować bardziej tradycyjne metody do badania zdarzeń, których byłem świadkiem, pochłaniając stosy zadrukowanego papieru i spędzając długie nużące godziny w archiwach, czytając dokumenty politbiura, które jeszcze wczoraj były ściśle tajne. Czy te dokumenty, tradycyjne źródła historyczne, zbliżą mnie do tego, „jak to było naprawdę”, jak mówił Ranke? Tymczasem natknąłem się na własną teczkę i zacząłem myśleć o innym sposobie zgłębiania niedawnej przeszłości – badaniu historii poprzez badanie samego siebie. Jest to być może trzeci sposób podejścia do wielkiego pytania: co możemy poznać?

Przez większość tego czasu prawie nie myślałem o naszym brytyjskim tajnym świecie. Z gazet wiedziałem, że nasz wywiad i służba bezpieczeństwa, MI6 i MI5, wydawały się ostrożnie wychodzić z cienia. Z końcem zimnej wojny trudniejsze stało się uzasadnienie pełnej urzędowej tajności, a organizacje te musiały stworzyć sobie nowe powody do dalszego istnienia – i budżetu. Czytałem więc, iż po raz pierwszy publicznie wymieniono nazwiska szefów obu służb, po raz pierwszy ustawy parlamentarne dały im jasną podstawę prawną, pierwszy raz w historii odbył się publiczny odczyt dyrektora generalnego MI5 i ustanowiono parlamentarną komisję do spraw wywiadu i bezpieczeństwa. Zauważyłem także, że MI6 przeniosło się do nowej siedziby. Trudno było nie zauważyć tego ogromnego, ostentacyjnego biurowca z zielonymi szybami na południowym brzegu Tamizy. Nie mogło istnieć nic mniej tajnego. Nie wiedziałem jednak, że MI5 także przeniosło się do nowej siedziby po drugiej stronie rzeki: do imponującego, białego budynku w stylu neokolonialnym, zwanego Thames House, niedaleko Parlamentu. Przechodziłem pod nim wiele razy, nie wiedząc, co w sobie mieści.

Tak daleko odszedłem już od swych młodzieńczych fascynacji tajnymi służbami, że nawet prawie zapomniałem o krótkim flircie z nimi. Niemniej jednak w czasie, gdy zacząłem zajmować się swoją teczką Staśi, otrzymałem sygnał, iż oni nie całkiem zapomnieli o mnie. Pewnego dnia odebrałem tajemniczy telefon od człowieka, który powiedział, że pracuje dla tego samego wydziału Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który po raz pierwszy złożył mi propozycję współpracy w 1976 roku. Chciałby o czymś ze mną porozmawiać, gdybym zechciał poświęcić trochę czasu. Umówiliśmy się na herbatę w hotelu w Londynie.

Szybko przeszedł do rzeczy. Od czasu do czasu, jak powiedział, przyjeżdżają do Oksfordu studenci lub naukowcy z zagranicy, których podejrzewa się, iż pracują dla wrogich wywiadów. Czy nie podjąłbym się mieć ich na oku? Natychmiast odmówiłem. Chociaż rozumiem znaczenie i rację tego, o co chodzi, nie chciałem mieć tego rodzaju tajemnic przed moimi przyjaciółmi, kolegami, studentami.

Gdy przez chwilę się nad tym zastanowić – czego większość z nas zwykle nie robi – staje się jasne, że oczywiście muszą oni w ten sposób działać. Oczywiście muszą być ludzie – w Oksfordzie, na innych uniwersytetach i w innych zawodach, którzy mają tę drugą pracę, półetat, tę odrobinę tajnego życia. Wszystkie tajne służby, wszędzie, potrzebują łączników i informatorów. A gdy ich informacja spowoduje, że schwytana zostanie grupa zamachowców z IRA albo ktoś z Bliskiego Wschodu, kogo wysłano po to, by zamordował Salmana Rushdiego, wówczas informator robi rzecz słuszną i prawdopodobnie także odważną.

Niemniej jednak ta propozycja zaniepokoiła mnie, gdyż pokazała, że po wszystkich tych latach oni wciąż w pewnym sensie mnie śledzili, a zarazem dowiodła, że nie śledzili mnie dostatecznie uważnie. Gdyby przeczytali uważniej to, co pisałem, z pewnością doszliby do wniosku, że nie nadaję się do tej gry. Chyba że założyli, iż ludzie co innego piszą, a zupełnie co innego robią. Co, rzecz jasna, często jest prawdą.

Wówczas było to niewiele więcej niż nieprzyjemny kwadrans w środku wypełnionego zajęciami dnia. Teraz jednak, wracając myślami do tego zdarzenia, dochodzę do wniosku, że warto głębiej przeanalizować także angielskie służby. O co tym panom chodziło? Co mógłbym robić, gdybym wsiadł do owego nie oznaczonego autobusu? Czy w argumentach, które podawał mi Markus Wolf, gdy spacerowaliśmy po centrum zjednoczonego już Berlina, jest choć odrobina prawdy? Na czym polega zasadnicza różnica między służbą bezpieczeństwa w państwie komunistycznym, jak NRD, a służbą bezpieczeństwa państwa demokratycznego, jak Wielka Brytania?

Czytanie o szpiegach jest wielkim hobby Anglików. Objętość książek na ten temat dorównuje jedynie książkom o seksie i ogrodnictwie. Dziennikarstwo dochodzeniowe, pamiętniki, opracowania naukowe, książki oparte na dokumentalnych programach telewizyjnych i radiowych, nie wspominając już nie kończących się powieści i thrillerów. Na stronie 106 mojej teczki znajduje się notatka wydziału XX/4: „25.02.80 «Romeo» zorganizował spotkanie między «Bukiem» a korespondentem z Warszawy Timothy Sebastianem”. Znajomi polecają mi teraz thriller szpiegowski o Stasi Tima Sebastiana *Exit Berlin*.

Problem ze stosami tego materiału jest następujący: jak rozróżnić to, co jest prawdą, co fikcją, a co wciąż leży całkowicie ukryte? Aby osiągnąć jakąkolwiek jasność, trzeba wyjść poza słowo pisane. Tak więc po zanurzeniu się w mętным morzu druku rozmawiam z wieloma ludźmi, którzy pisali o angielskim tajnym świecie, z tymi, którzy się z niego mniej lub bardziej skutecznie wycofali, oraz z politykami, którzy podczas zimnej wojny ponosili rządową odpowiedzialność za tajne służby.

Badania prowadzą mnie do Kornwalii, na spacer po klifach z Davidem Cornwellem (alias Johnem le Carré) oraz na pamiętną kolację, w czasie której ambasador rosyjski

składa wyrazy szacunku największemu szpiegowskiemu powieściopisarzowi zimnej wojny. Przechadzamy się po starannie utrzymanych angielskich ogrodach, gdzie dystyngowani, emerytowani dżentelmeni rozmawiają ze mną z wyważoną szczerością. Generalnie mówiąc, znajduję tu zadziwiający rezerwat staroświeckiej dżentelmeńskiej angielskości: bryczesy, koszule w kratę, kamizelki, starannie zwinięte parasole, doskonałe maniery i trawniki. Świat oddalony lata świetlne od bungalowów pełnych kiczu, rozdętych piwem brzuchów i syntetycznych ubrań ich przeciwników ze Stasi. Więcej tu tajemniczego ogrodu niż tajnego państwa. Spotykam także ponownie człowieka, który nieumyślnie zniechęcił mnie do wywiadu podczas lunchu w „South of the River” w 1979 roku: kulturalny, dowcipny, pełen anegdot i dyskretne uroku. Następnie moje poszukiwania przenoszą mnie z owych tajemniczych ogrodów do błyszczącego białego foyer w Thames House, obok wspaniałego herbu z wojowniczym lwem z syrenim ogonem ponad dumnym mottem „Regnum Defende”, i przez automatyczne, pełne zabezpieczeń drzwi, przypominające świat z serialu *Star Trek*. Za cenę dotarcia do tych najbardziej kluczowych terenów mojej podróży zgadzam się, by rozmowa ta pozostała *off the record* – oznacza to, że nie będę podawał nazwisk ludzi, którzy ze mną rozmawiali.

Rezultaty są frustrujące. Wielką przewagą wczorajszych tajnych służb jest to, że ich tajemnice nie są już tajemnicami. O Stasi możemy się czegoś dowiedzieć. Problem z żywymi tajnymi służbami polega na tym, że są one wciąż tajne. Mój gospodarz z „South of the River” opisuje swoje szpiegowskie doświadczenia przeciwko Związkowi Sowieckiemu, iż było to jak oglądanie słońca w ciemności za pomocą kieszonkowej latarki. Sam czuję się teraz podobnie. Ludzie, którzy zgodzili się rozmawiać ze mną, robią to wprawdzie bez widocznych oporów, lecz otwartość i tajność jak zawsze pozostają przeciwieństwami i nawet gdy rozmawiamy, ludzie ci są wyraźnie rozdarci między jednym i drugim. Wynoszę

więc z tych rozmów tylko niejasne zarysy w świetle latarki: tutaj lśniący bok, tam rogowata trąba.

Tak, NRD była „trudnym orzechem do zgryzienia”, mówią dżentelmeni z MI6, „przyjaciele”, jak podobno mówi się o nich czasami w Whitehall. Niemniej dobrze sobie radzili z resztą bloku sowieckiego. Polaków mieli „prawie rozpracowanych”. Byli jednak nie mniej krótkowzroczni niż inni w przewidywaniu naprawdę wielkich politycznych zmian na Wschodzie. Ja prawdopodobnie radziłem sobie lepiej jako dziennikarz, tam, na miejscu. Niemniej jednak zdołali zdobyć niektóre ważne urzędowe tajemnice, szczególnie wojskowe. I przyniosło to nieduże, lecz znaczące korzyści w polityce zagranicznej (z czym trzej byli ministrowie spraw zagranicznych ostrożnie się zgadzają).

Wstępowali do służby z najróżniejszych powodów: mit, ciekawość, zamiłowanie do przygód, podróże, chęć „zrobienia czegoś dla kraju”, tak jak ojciec w czasie wojny. Praca mogła być bardzo nudna. Wydeptując chodniki dalekich miast, szukając bezpiecznych miejsc na spotkania i punktów kontaktowych, zastanawiali się czasami: „cóż ja, do cholery, robię ze swoim życiem?” Sporo polityki biurowej. Czasem jednak świetna zabawa. Chłopiące słowo „fajda” („fun”) pojawiało się często w czasie tych rozmów. Pewien wysoki rangą emerytowany dżentelmen ze służb wspominał: „Ludzie mówili: «Nie mogę uwierzyć, że płacą mi za robienie czegoś takiego»”. Za gry i zabawy.

Czy zachowywali się uczciwiej niż druga strona? No cóż – mówią – nie posuwaliśmy się do morderstw ani porwań, a szantaż stosowaliśmy rzadko. Było bardzo ważne dla „morale”, mówi ów dżentelmen, aby nasze metody były „moralne”. Bardzo wielkie słowo, jak na tę dwuznaczną dziedzinę. Przypomina mi się, że pułkownik Eichner ze Stasi określił angielskie tajne służby jako „dżentelmeńskie” – miał jednak na myśli kontrast z CIA i zachodnio-niemieckim BND. Gdy dodać wyczyny CIA w Ameryce Łacińskiej, to moralne rozgraniczenie między metodami

zachodnimi a wschodnimi staje się jeszcze bardziej niejasne.

Wszystkie „pluskwy” są do siebie bardzo podobne. Pewien emerytowany oficer opisał mi legalne tajne włamanie do mieszkania podejrzanego w Londynie – z umundurowanym policjantem stojącym na straży. „Świetna fajda”, mówi. Jego relacja dziwnie przypomina tajne włamanie Stasi do mieszkania w Lipsku, które opisał mi doktor Warmbier. Emerytowani oficerowie po obu stronach dają mi do zrozumienia, że ich najlepszymi agentami zawsze byli ochotnicy – ludzie, którzy robili to z własnych powodów, osobistych, politycznych, jakichkolwiek – a nie ci, których kupiono lub szantażowano. Powszechnie znana mądrość kupiecka. Obaj opisali, prawie identycznymi określeniami, ową specyficzną więź między agentem a oficerem prowadzącym sprawę. „To niezwykle związek – mówi ów wysoki rangą emerytowany dżentelmen z MI6. – Można otwarcie rozmawiać o wszystkim, o pracy, o problemach osobistych, o żonie, i mieć całkowitą pewność, że tajemnica zostanie dochowana”. Dostrzegam paradoks leżący u sedna szpiegostwa: kluczem do zdrady jest zaufanie. Największym powodem do dumy emerytowanego funkcjonariusza Stasi jest to, że po dziś dzień nie zdradził swych agentów.

Więc czy to inne cele uświęcały te same środki? Moralnie nienaganne, jeśli w imieniu wolnego kraju, podejrzanego, jeśli dla dyktatury? Słuszne dla nas, niewłaściwe dla nich? Cóż, ci, z którymi rozmawiam, niekoniecznie sądzą, iż szpiegowanie za granicą na rzecz innego państwa było rzeczą tak bardzo niewłaściwą, oczywiście w pewnych granicach. Dla nich, zawodowo, strona przeciwna była „opozycją”, a nie „wrogiem”. Ale poza tą granicą – tak, to zależy, dla kogo się to robi.

Tutaj teren jest śliski. Jakże wiele zbrodni dwudziestego wieku, przede wszystkim zbrodni komunistycznych, było sankcjonowanych powiedzeniem, iż „cel uświęca środki”. Tego argumentu nie można jednak odrzucić. Weźmy przy-

kład skrajny. Próba zamordowania Hitlera, jaką podjął Stauffenberg w 1944 roku, była wielkim i szlachetnym aktem. Próba zamordowania Churchilla byłaby rzeczą nikczemną i złą – chociaż człowiek, który by się jej podjął, mógł wykazać tyle samo odwagi, co Stauffenberg, i mógł nawet równie żarliwie wierzyć w prawość swojego czynu. To samo działanie, inna wartość moralna.

Niemniej nie tylko cele muszą być dobre, lecz także środki muszą być do tych celów proporcjonalne. Nie ma prostej zasady, głoszącej, co uświęca co. Każdy przypadek jest inny, w każdym istnieje niewidzialna granica. Czy angielscy agenci przekraczali tę granicę? Oczywiście, że tak. Lecz jak daleko i jak często? Bez oglądania akt my, będąc na zewnątrz, nigdy się nie dowiemy. A nawet ludzie, którzy byli kiedyś wewnątrz albo wciąż tam są, także zapominają lub przypominają sobie na nowo, gdyż kalejdoskop pamięci wciąż się kręci.

Jeśli etyczna granica przekraczana była w czasie zimnej wojny dalej i częściej, niż im się teraz wydaje, to kilku motywów mogę się domyślić. Nawet w moim pokoleniu ludzi inspirowały kolektywne i rodzinne wspomnienia z wojny oraz literackie modele żołnierza „na tajnym froncie”. Nawet jeśli coraz rzadziej mówiliśmy o tej „zimnej wojnie”, wielu z nas wciąż uważało, że dalej toczy się pewnego rodzaju wojna – która, by jeszcze bardziej skomplikować sprawę, naprawdę się toczyła. Są rzeczy, które mają uzasadnienie w czasie wojny, ale nie w czasie pokoju. A co wówczas, gdy znajdujemy się w niejasnym miejscu pomiędzy wojną a pokojem? Ponadto, gdzieś na dnie świadomości, na wpół pogrzebane słowa „ma rację czy błędzi – lecz to moja ojczyzna”. A co wówczas, jeśli ojczyzna nie ma racji? Albo generalnie ma rację, lecz myli się w tym konkretnym przypadku?

Zbyt wiele subtelności moralnych może paraliżować. Nie można w środku walki robić przerwy na seminarium filozoficzne. Potem jednak żyje się z konsekwencjami.

Cokolwiek mówić o naszych agentach za granicą – lub jakichkolwiek innych – trudniejsza sprawa jest z wewnętrzną służbą bezpieczeństwa. W tym przypadku prawie nie da się oddzielić celów od środków. Szpiegowanie własnych obywateli bezpośrednio narusza te swobody, których służba bezpieczeństwa ma bronić. Sprzeczność ta jest bardzo konkretna i nie do uniknięcia. Jeśli naruszanie wolności posuwa się zbyt daleko, zaczyna niszczyć to, co ma chronić. I kto decyduje, co oznacza za daleko?

Na wypadek gdyby ktoś się nad tym zastanawiał, wyjaśniam, że nic z tego, co do tej pory dostrzegłem w naszych brytyjskich służbach bezpieczeństwa, nawet w najmniejszym stopniu nie przypomina aparatu, jakim było Stasi. Ani co do liczby zatrudnionych (MI5 ma około 2 tysiące pracowników; dodajmy 2 tysiące z Oddziału Specjalnego Policji i może 16 tysięcy zewnętrznych agentów i informatorów – zakładając, czysto teoretycznie, stosunek 4:1, w porównaniu z 2:1 w Stasi; wciąż jednak osiągamy tylko liczbę mniej więcej jednego na cztery tysiące dorosłych obywateli w Anglii, w porównaniu do jednego na pięćdziesięciu w NRD). Ani co do zakresu celów (Stasi nie musiało borykać się z żadną IRA: w rzeczywistości prawie tak samo wspierało terrorystów, jak ich zwalczało). Ani co do sposobów wywierania nacisku na ludzi, by skłonić ich do kolaboracji (ważnym motywem informatorów z mojej teczki było to, iż po prostu otrzymają pozwolenie na podróż za granicę; wyobraźmy sobie coś takiego w Anglii: „A więc, panie Evans, zanim pozwolimy panu pojechać na wakacje na Costa Brava, może opowiedziałby nam pan to i owo o panu Jonesie...?”). Ani co do wzbudzanego strachu (czy podejrzliwie przypatrujemy się w pubie człowiekowi przy stoliku obok? Czy ktokolwiek w Anglii – oprócz, mam nadzieję, terrorystów i zagranicznych szpiegów – naprawdę boi się MI5? Gdy angielski informator z mojej teczki, „Smith”, próbował wyjaśnić mi, jak małe i stosunkowo niegroźne wydawało mu się Stasi, powiedział: „coś w rodzaju MI5”).

Ani co do konsekwencji dla tych, których szpiegowano (w NRD było ich wiele: wyrzucenie z uniwersytetu, jak w przypadku Młodego Brechta; strata pracy, jak w przypadku Eberharda Haufego; represje w stosunku do dzieci, co przytrafiło się Wernerowi; oraz więzienie, jak w przypadku doktora Warmbiera, z wyrokiem sądowym wydanym z góry – przez prokuratora). Ani co do politycznego systemu, któremu służą (Stasi nazywano oficjalnie „tarczą i mieczem partii”, a jego pierwszym zadaniem było utrzymać tę partię wiecznie przy władzy; nawet jeśli oficerowie MI5 skłaniali się ku prawicy, a niektórzy nawet ku dość skrajnej, nie miało to wpływu na proces demokratycznego przekazywania władzy między obydwoma partiami, konserwatystami i labourzystami, tworzącymi na zmianę rząd, któremu oni służyli). I oczywiście nie pod względem pozycji w państwie (Stasi było nie tylko wszechobecną tajną policją; pod koniec próbowało utrzymać przy życiu cały system).

Odrobinę powierzchowne porównanie ze Stasi jest bardzo kuszące: wywołuje emocje, przykuwa uwagę. A przy tym tak złe. Przypomniała mi się dyskusja, którą odbyłem w latach osiemdziesiątych z ludźmi z lewicy – „moimi lewicowymi przyjaciółmi”, jak ich, według „Michaeli”, określałem. Swoją angielską grupę nacisku nazwali oni „Charter 88”, przez analogię do czechosłowackiego ruchu walczącego o prawa człowieka Karta 77, a swoje pismo – „Samizdat”. Było to dla mnie sprzeniewierzenie zasług ludzi, którzy ryzykowali więzieniem, a nawet życiem za swoje poglądy. Było to jak przypinanie sobie do piersi plakietki z napisem „bohater”. W tym czasie Václav Havel z Karty 77 był znów w więzieniu, a kapelan „Solidarności”, ksiądz Jerzy Popiełuszko, został bestialsko zamordowany przez agentów polskiej Służby Bezpieczeństwa. Być może, znaczeniowa degradacja jest nieuniknionym losem wszystkich takich słów. W angielskiej gazecie znajduję teraz określenie posłów partii rządzącej, odpowiedzialnych za

dyscyplinę współtowarzyszy w Izbie Gmin, jako „bandy w stylu Stasi”.

Niemniej istnieje też błąd przeciwny: poprawianie własnego wizerunku przez przeciwstawienie go czemuś o wiele gorszemu – „Mamusiu, ta owsianka jest wstrętna”, „Ależ kochanie, pomyśl o dzieciach w Afryce, które nie mają nic do jedzenia”. Z zainteresowaniem zauważam, że w swoim odczycie sama Stella Rimington z MI5 posługuje się owym porównaniem ze Stasi. Jeżeli chce się, by szare wyglądało jak białe, trzeba je umieścić na czarnym tle. W porównaniu ze Stasi wszystko wydaje się dobre. Lecz wiarygodne porównanie to porównanie z innymi państwami zachodnimi.

Na tym poziomie odnajduję więcej niepokojących rzeczy. Według oficjalnej broszury poświęconej angielskim służbom bezpieczeństwa – opublikowanej w nowym, pozimnowojennym duchu otwartości – w latach 1995–1996 tylko 3 procent środków MI5 przeznaczano na przeciwstawianie się „działalności wywrotowej”. Jednak zarówno od emerytowanych, jak i czynnych funkcjonariuszy dowiaduję się, że w latach siedemdziesiątych stanowiło to co najmniej 30 procent. Według ich roboczej definicji, „działalność wywrotowa” to „działania mające na celu obalenie lub podważenie demokracji parlamentarnej za pomocą środków politycznych, ekonomicznych lub przemocą”. Jak jednak możemy się dowiedzieć, co ludzie zamierzają, jeśli nie mamy ich przedtem na oku?

Sieci zarzucone zostały dosyć szeroko. Nie tylko na każdego członka Komunistycznej Partii Wielkiej Brytanii – w tym, prawdopodobnie, na mojego IM „Smitha”. Także na skrajnie lewicowe grupy, które wyłoniły się z angielskiej wersji pokolenia '68. Istniały także akta dotyczące głównych członków ruchu pokojowego oraz Krajowej Rady do spraw Swobód Obywatelskich.

No, dobrze – odpowiadają – ale w większości przypadków ludzie, których mieliśmy na oku, nie ponosili żadnych konsekwencji. Nawet gdy MI5 przedstawiło niezbite dowo-

dy, iż pewien członek parlamentu był płatnym informatorem czechosłowackich służb wywiadowczych, angielskie sądy go uniewinniły. Jest to prawda i jest to ważna prawda. Ale nie cała prawda. Istniało bowiem zjawisko negatywnej, czyli tzw. „normalnej”, weryfikacji. Oznaczało to, że ludzie, którzy starali się dostać pracę na pewnych stanowiskach, byli sprawdzani, bez swojej wiedzy, w aktach. Jeśli MI5 stwierdziło, że stanowią oni ryzyko dla bezpieczeństwa, było prawie pewne, że nie dostaną pracy – bez wytłumaczenia, dlaczego. Normalna procedura w wielu zachodnich krajach, jeśli dotyczy stanowisk rządowych łączących się z tajemnicami urzędowymi lub, powiedzmy, newralgicznych pozycji w przedsiębiorstwach pracujących na zlecenie Ministerstwa Obrony. Jednakże wygląda na to, że również w instytucjach takich jak BBC starających się o pracę rutynowo sprawdzano w MI5, gdzie odbywała się tajna weryfikacja.

Przypomina mi się teraz, że w latach siedemdziesiątych mojej znajomej, dziennikarce Isabel Hilton, zablokowano wybór na stanowisko reportera BBC Scotland, ponieważ – jak odkrył potem „Observer” – została zweryfikowana negatywnie. Dzwonię do Isabel, która przypomina mi szczegóły: otóż BBC miało pełnoetatowego oficera łącznikowego, brygadiera Ronniego Stonhama, który siedział w pokoju 105 w Broadcasting House i przysyłał sprawy do MI5. Głównym dowodem przeciwko niej było to, że była kiedyś sekretarzem nieszkodliwej organizacji zwanej Stowarzyszeniem Szkocko-Chińskim, będącym prawdopodobnie organizacją nawet mniej kontrowersyjną niż Towarzystwo Porozumienia Angielsko-Chińskiego, do którego ja w zamierzonych czasach należałem. Negatywna weryfikacja niewiele zaszkodziła karierze Isabel; w rzeczywistości zaczęła robić znacznie bardziej interesujące rzeczy. Rzecz w tym, iż w ogóle jej nie powiedziano, że to właśnie dlatego nie dostała pracy, w ogóle nie dano jej szansy na odparcie zarzutów lub odwołanie się od werdyktu.

Proszę jednak pamiętać, jak mówią mi anonimowi dziennikarze, że MI5 jedynie dawało rady: to pracodawca miał zdecydować. To także prawda. Problem dotyczy więc w równym stopniu ludzi z BBC, którzy postępując zgodnie z tą procedurą, nie dali Isabel żadnej możliwości zareagowania, jak i samych służb bezpieczeństwa. Dlaczego tak postępowali? Czy dlatego, że po prostu „tak się postępuje” w tajnej, postimperialnej Anglii, z jej niepisanymi zasadami i zwyczajami kół rządzących, które dyskretnie współpracują ze sobą? Prawdopodobnie jednak także dlatego, że w głębi duszy żywili oni wciąż przekonanie, iż „przecież toczy się wojna, nieprawdaż?” W końcu więc przeszliśmy niemal bezpośrednio od drugiej wojny światowej do zimnej wojny. Systematyczną weryfikację niektórych stanowisk wprowadzono pod koniec lat czterdziestych, w czasie, gdy nawet George Orwell był gotów po cichu wskazać sympatyków komunizmu swojemu bliskiemu przyjacielowi, który pracował wówczas w na wpół tajnym departamencie Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Praktyki tajnego wywiadu zostały potem utrwalone i w latach siedemdziesiątych sięgnęły takich właśnie groteskowych szczytów.

Nawet jeśli oficerowie MI5 w żaden poważny sposób nie „spiskowali” przeciwko rządowi labourystów Harolda Wilsona, jak sugerował rozczarowany były oficer Peter Wright w książce *Łowca szpiegów*, wszyscy są zgodni, że jeszcze w latach siedemdziesiątych, a nawet osiemdziesiątych były w MI5 postaci o bardzo prawicowej orientacji, często z przeszłością kolonialną. Lecz co mogło ich powstrzymać od przesady? No cóż, mówią ci panowie, istniał „etos służb”, „pewne postawy i zwyczaje”, „pewien typ człowieka”. Wszystko to przypomina mi etykę dyrektora szkolnego internatu w Anglii. Poza tym, byli pod ścisłym nadzorem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: nakazy na zakładanie podsłuchów, przechwytywanie korespondencji i rewizje musiały być podpisywane przez ministra spraw wewnętrznych. Tego nie dawało się pominąć, niech mi pan wierzy.

No cóż, może i nie dawało się; nawet Peter Wright podaje pewne dowody świadczące o surowym nadzorze ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Ale czy tylko od tego wszystko zależało? Co jedna grupa panów uważała za „rozsądne” i „przyzwoite”, było sprawdzane przez inną grupę panów z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a czasami przez ministra spraw wewnętrznych lub premiera – którzy byli przecież politykami. Dość wątpliwa, nawet jeśli wysnuta z najlepszej angielskiej wełny.

Te zwyczaje i postawy się liczą. Bez nich ustawy i instytucje kontroli niczego nie gwarantują. Dlaczego jednak nie moglibyśmy mieć jednego i drugiego?

Zmieniło się to, odkąd świat się zmienił w 1989 roku. W końcu uchwalono ustawy regulujące działalność poszczególnych służb, komisji i trybunałów, do których można składać skargi, oraz komisję parlamentarną. Istnieje otwartość – choć ograniczona. Zgodnie z nowymi zasadami ludzi zawsze należy informować, gdy poddaje się ich weryfikacji. Daje to wrażenie lepszych metod, większego profesjonalizmu. Jestem pewien, że większość działalności MI5 skierowana jest przeciwko prawdziwym zagrożeniom, jak zamachy IRA, terroryzm w ogóle, zagraniczne wywiady, a ostatnio także przeciwko zorganizowanej przestępczości. Istnieje tutaj realne niebezpieczeństwo pewnej hipokryzji liberalizmu: denuncjować szpiegów i szpiclów, korzystając jednocześnie z bezpieczeństwa, które oni pomagają zapewnić. Jak u Kiplinga: „z mundurów kpisz, co strzegą cię, gdy śpisz” – tyle że ci żołnierze nie noszą mundurów.

Jednak uwrażliwiony, być może nawet przewrażliwiony, przez doświadczenia Stasi, odkrywam rzeczy, które wciąż mnie niepokoją. Nawiązuję rozmowę z wyższym czynnym oficerem o nowych prawnych i parlamentarnych formach kontroli. „Używa pan słowa «kontrola» – powiada. – Ja wolę mówić «zatwierdzenie». MI5 decyduje o tym,

co stanowi główne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego; inni zatwierdzają ich priorytety. Czy jest to właściwe?

Z panów tych emanuje poczucie dyskretnej władzy: władzy, która wywodzi się, zawsze się wywodziła i zawsze będzie się wywodzić z tajnej wiedzy. Ta władza jest wzmacniana nową techniką. Gdy rozmawiamy, śledzę ogromny ekran komputerowy w rogu biura, na którym figuruje zestaw ikonki jeszcze bardziej imponujący niż na Power Macu, którym moje dzieci bawią się w domu. Nasze ikonki mają nazwy gier komputerowych: „Discworld”, „SimCity2000”, „Lemingi”. A czym oni się bawią?

Wkrótce zapewne wszystkie informacje będą w komputerze. Co stanie się wtedy z papierowymi teczkami, które były kiedyś – jak czytamy – zgrabnie porządkowane przez ładne panienki z wyższych sfer zaludniające stare archiwum MI5? Generalnie rzecz biorąc, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o ich teczkach, materiale nieocenionym zarówno dla historyka, jak i dla tajnej policji.

Na początek: ile mają teczek?

Odpowiedź: „Kilkaset tysięcy”.

Wydaje mi się, że to bardzo dużo jak na wolny kraj (nie są w to wliczone dane osobowe, znajdujące się w Oddziale Specjalnym Policji, zawierające podobno aż dwa miliony nazwisk).

Dlaczego tak dużo?

No cóż, proszę pamiętać, że podczas zimnej wojny próbowano mieć na oku wszystkich komunistów i prawie wszystkich Rosjan w tym kraju. To było mnóstwo ludzi. Poza tym irlandzcy i inni terroryści. O tak, i około jednej piątej stanowią te czki osób „nie podlegających definicji wroga”.

Co więcej, jedynie niewielki odsetek stanowiły te czki ze sprawami, nad którymi kiedykolwiek aktywnie pracowano. Istnieją rygorystyczne zasady co do tego, w jakich wypadkach można założyć teczkę i jak długo te czka może być

otwarta. Tak jak system świateł drogowych: zielona oznacza czynne śledztwo; żółta – nie prowadzi się czynnego śledztwa, lecz można dodawać do niej materiały; czerwone – teczki są zamknięte.

No tak, ale czerwonych teczek nie niszczy się przecież, prawda?

Nie.

Czy używało się ich do weryfikacji?

No cóż, owszem. Jednakże informacja o jakimś drobnym politycznym potknięciu sprzed lat nie sprawia, że uważa się teraz kogoś za zagrożenie dla bezpieczeństwa.

Czy organizacje z zewnątrz mogą zwracać się do nich, by weryfikować ludzi starających się o pracę?

Tak, ale dotyczy to tylko instytucji znajdujących się na zatwierdzonej przez rząd specjalnej liście.

Czy BBC dalej jest na tej liście?

Tutaj nagle wymijająca odpowiedź.

Są to ułamkowe spostrzeżenia, powtarzam, tylko ułamkowe, dokonane za pomocą kieszonkowej latarki. Z góry wiem, że nigdy naprawdę się nie dowiem – chyba że państwo brytyjskie upadnie, jak NRD – czego bym oczywiście sobie nie życzył. Dokonuję jednak małego odkrycia – we własnej sprawie. Ponieważ trafiłem tutaj ze względu na teczkę założoną mi przez Stasi, chciałbym się dowiedzieć, czy MI5 także ma moją teczkę. Tak naprawdę nie oczekuję, że się tego dowiem, ale skoro już tu jestem, zadaję pytanie.

– Czy macie także moją teczkę?

Krótką pauza. Zacerpnięcie oddechu. Człowiek zawieszony między otwartością a tajnością. Potem: „Tak, jeśli już pan pyta, owszem, mamy. Mamy pana teczkę w tak zwanej białej kategorii”. To znaczy: osoby nie podlegającej definicji wroga.

Zakwalifikowano mnie jako „pomagającego SIS”.

Wykrzykuję na to, że nie pomagałem SIS. Rozważałem w pewnym okresie wstąpienie do wywiadu, wkrótce jednak zdecydowałem, że tego nie zrobię, to wszystko.

Wspominam o propozycji złożonej mi niedawno. Czy to mogło być z MI5? „Nie, to było stamtąd”, mówi wskazując za Tamizę, w kierunku głównej siedziby SIS (MI6), zielonkawej budowli ze szkła, na drugim brzegu. Jednak wzmianka o tym jest w teczce, tak jak i notatki o kilku rozmowach, które przeprowadziłem.

Podkreśla, że po raz pierwszy udziela komuś tego rodzaju informacji. I wyraźnie zaczyna go to niepokoić. Czy nie posunął się zbyt daleko ze swoją otwartością?

Opisuję to spotkanie na podstawie notatek, które sporządziłem natychmiast po rozmowie – tak jak robiłem to po rozmowach z „Michaelą”, generałem Kratschem i całą resztą. W tym przypadku jednak zakładam, iż moi rozmówcy mają dokładny zapis naszej rozmowy, chociaż na nieskazitelnym stoliku nie było widać żadnego magnetofonu.

Przypuśćmy teraz, że mam teczkę „osoby nie podlegającej definicji wroga”. W końcu Isabel Hilton została negatywnie oceniona, ponieważ była kiedyś sekretarzem Stowarzyszenia Szkocko-Chińskiego, tak jak ja byłem kiedyś członkiem Towarzystwa Porozumienia Angielsko-Chińskiego. Czy powiedzieliby mi o tym?

– No cóż, w zasadzie nie mówimy nikomu... – ironiczny półuśmiech – z wyjątkiem pana teraz.

Gdybym jednak był Amerykaninem, mógłbym zwrócić się o wgląd w swoją teczkę w FBI na mocy ustawy o wolności informacji. Czemu nie w Anglii?

No cóż, po pierwsze, natychmiast podwoiłoby to budżet MI5. Amerykanie przekonali się, jak olbrzymią ilość pracy to pociąga (całe to przesiewanie, kopiowanie i zamazywanie – przypominam sobie o ponad 3 tysiącach pracowników Urzędu Gaucka).

Lecz Amerykanie mają pieniądze (tutaj nutka urazy w jego głosie).

Poza tym, byłyby to bardzo trudne, ponieważ IRA, terroryści w ogóle i inne niepożądane osoby mogłyby zdobyć cenne wskazówki – nawet z teczek innych ludzi – dotyczący sposobu działania MI5.

A co z dużo starszymi teczkami, o wartości historycznej?

No cóż, nawet to jest trudną sprawą. Byłby to precedens. Dałoby to wskazówki co do metod operacyjnych. Niemniej jednak starają się pomagać. Mają nadzieję, że otworzą niektóre tecki z pierwszej wojny światowej.

Później, po rozmowie o kwestiach bardziej ogólnych, zapytuję wprost: czy mogę przeczytać swoją teczkę?

Nie.

Dlaczego nie?

Ponieważ jest to własność Korony.

W większości krajów nie możesz zobaczyć swojejteczki, założonej przez służby bezpieczeństwa, lecz gdzie indziej na świecie podano by ci takie wytłumaczenie? Korona!

Podają jeszcze kilka innych. Byłby to precedens. Mogłoby to narazić tajne źródła. Ale jakież, u diabła, mogłyby być tajne źródła informacji o mnie? Przecież nie koledzy ani nie przyjaciele? Racja. Może więc owi tak zawsze pomocni angielscy „dyplomaci” z różnych ambasad złożyli kilka raportów? Najprawdopodobniej w tezcze jest niewiele – albo nie ma wcale – materiałów z okresu pomiędzy rokiem 1979, po mojej odmownej decyzji, a 1994, gdy ponownie się ze mną skontaktowano?

A poza tym, jak dodaje mój drugi rozmówca, zakładanie teczek białej kategorii może być również sprawą swojej uprzejmości. Czyż nie byłoby to niezręczne, gdyby ktoś zadzwonił, a my nie pamiętalibyśmy, kim on jest?

Jakież to na wskroś angielskie: „Założyliśmy ci, kolego, teczkę – z uprzejmości”.

Wracając pociągiem do Oksfordu, przesłuchuję sam siebie. Co czuję? Po pierwsze, satysfakcję z nieoczekiwanie

udanego dochodzenia. Bo jeśli wierzyć temu człowiekowi, jestem pierwszą osobą w Anglii, która dowiedziała się – po prostu zapytawszy – że ma teczkę. I zarazem złość. Złość, że wciąż mają mnie na oku, jakkolwiek niezbyt intensywnie. Również niejaką irytację. O ileż ładniej byłoby mieć teczkę wroga. Można by wówczas powiedzieć: „Patrzcie, śledziło mnie i Stasi, i MI5, ależ ze mnie nieustraszony, wszechstronny opozycjonista!” (sporo jest przechwałek z powodu tajnych teczek). Życie jednak płata niespodzianki. Przeszłość nigdy nie jest całkowicie przeszłością. Po latach, jakaś na wpół zapomniana sprawa, coś, co zrobiłeś za młodu, powraca. Gdzieś jest być może twoje dziecko, rosnące przy innym ojcu. Albo teeczka, także rosnąca. A ty o tym nigdy nie wiedziałeś.

Ilu z nas doznałoby szoku, gdyby otwarto angielskie tecki? Ich tajni autorzy postrzegają jednak świat w specyficznym świetle. Nigdy w życiu nie „pomagałem” MI6, a teraz dowiaduję się, że to jest kategoria, pod którą zostałem zaszeregowany. I myślę o Niemcach z NRD, którzy odkryli, że Stasi określiło ich jako przyjazne osoby kontaktowe lub nawet jako informatorów. Niektórzy oczywiście tylko udawali zaskoczenie lub wyparli niewygodne fakty z pamięci. Niektórzy jednak naprawdę nie wiedzieli; byli niewinni.

Przez chwilę wyobrażam sobie, jak „Michaela” odwraca się i mówi: „No i widzi pan, w aktach pańskich służb bezpieczeństwa figuruje pan jako angielski IM!” Nonsens, oczywiście. Ona regularnie, obszernie i szczegółowo opowiadała o kolegach, przyjaciółach i rodzinie komuś, o kim wiedziała, że jest funkcjonariuszem tajnej policji. Ja niczego takiego nie robiłem – a poza tym, nie byłoby to to samo, nawet gdybym „pomagał” MI6. Współpraca z wywiadem w demokratycznym państwie, takim jak Wielka Brytania, przeciwko dyktaturze, takiej jak NRD, nie jest tym samym, co donoszenie tajnej policji owej dyktatury. Jeśli jednak chcę być tutaj uczciwy, muszę brać pod uwagę nawet tak absurdalne porównania.

Prowadząc dalej to samoprzesłuchanie w popołudniowym pociągu z Londynu, pytam sam siebie: czy naprawdę chciałbym figurować w tych aktach jako „wróg”? Czy rzeczywiście wolałbym mieć bardziej skrajne poglądy polityczne, zamiast liberalnych, które zawsze kultywowałem? „Burżuazyjno-liberalne”, jak je słusznie oceniono w raporcie wstępnym w aktach Stasi. W ostatecznym rozrachunku bez wątpienia wspieram system demokracji parlamentarnej, mimo wszystkich jego wad. Wspieram go jednak na swój własny sposób.

Mówi się, że szpieg ma w sobie coś z pisarza, a pisarz – często coś ze szpiega. Ludzie z wywiadu żyją w nieuchronnym paradoksie: naruszają nasze swobody, aby je chronić. Nasz paradoks jest inny: wspieramy ten system przez kwestionowanie go. Taka jest dokładnie moja pozycja.

XV

Grudzień 1996 roku, pracuję w swoim pokoju. Podróż zakończona. Stara kartonowa teczka ze stołu Frau Schulz jest teraz plikiem w moim komputerze. Obok mnie filiżanka kawy. Zimowe promienie słońca skośnie padają przez żaluzje. Obracam się w fotelu i rozmyślam.

Moje śledztwo śledztwa Stasi doprowadziło mnie – dziwnymi bocznymi drogami – w głąb wielu różnych przeszłości: krajów, innych ludzi, mojej własnej. Przez lata byłem zafascynowany nieskończoną zdolnością środkowoeuropejskich pamięci: do zapomniania. Ciągłe patrzymy z niedowierzaniem na ludzi takich jak Kurt Waldheim, były prezydent Austrii, który po prostu „nie mógł sobie przypomnieć” całych okresów swojego życia, aż stopniowo, boleśnie „przypomniano” mu dzięki kolejnym dokumentom i świadectwom.

Teraz przekonuję się, jak wiele sam zapomniałem z własnego życia. Nawet teraz, gdy mam przed sobą wszystkie dokumenty – teczkę, dziennik, listy – mogę wciąż jedynie po omacku posuwać się ku rekonstrukcji przeszłego siebie. Gdyż każda pojedyncza tożsamość budowana jest, jak narody Renana, przez ciągłe mieszanie się pamięci i zapomnienia. Jeśli nie potrafię nawet ustalić, jakim człowiekiem byłem piętnaście lat temu, jakie mam szanse, by pisać historię innych ludzi?

Kim był ów młody Romeo, włóczący się po Berlinie w solidnych oksfordzkich butach? Podobnie jak Frau Schulz, wszyscy reagują z uśmiechem na ten kryptonim. Zachodni dziennikarze nazywali „Romeami” agentów,

których Markus Wolf wysyłał, by uwodzili samotne sekretarki w Bonn. To jednak parodia Romea. Prawdziwy Romeo, Romeo Shakespeare'a, to nie Don Juan ani Casanova, nie mówiąc już o marnej enerdowskiej wersji Jamesa Bonda. Nie jest cynicznym kobieciarzem, lecz młodym romantykiem: porywczy, mającym dobre intencje, pełnym idealizmu, w pewnym sensie zagubionym.

W tym znaczeniu mój kryptonim – który prawdopodobnie wywodził się, przy czym się nadal upieram, od marki mojego samochodu, Alfa-Romeo – był zadziwiająco trafny. Byłem bowiem romantykiem i to nie tylko w miłości. Romantyzm, jak zauważył Laurenz Demps, może być niebezpieczny. Romantyk często rani, próbując pomóc, jak Romeo swojego przyjaciela Merkucja, gdy próbował przerwać jego walkę z Tybaldem. Albo może poczynić szkody, szukając przygód, nierozważnie oddać się w służbę złej sprawie.

Chociaż enerdowski prokurator mógł twierdzić, że zbierałem informacje dla „zagranicznych organizacji”, używając celowo niejasnego sformułowania artykułu 97 kodeksu karnego, to prawdopodobnie nigdy nie groziła mi zalecana kara więzienia na „okres nie mniejszy niż pięć lat”, nie mówiąc już o karze śmierci przewidywanej w „szczególnie poważnych przypadkach”. W latach osiemdziesiątych, podobnie jak w innych sprawach o niewielkiej wadze, zdecydowano się na wydalenie mnie z kraju. Mogłem jednak nieświadomie zaszkodzić wielu ludziom, których poznałem. Wernerowi, na przykład, groziło dochodzenie z artykułu 100, dotyczącego pomagania przestępcom określonym w artykule 97 – chodziło w tym przypadku o mnie. Zalecano karę pozbawienia wolności od roku do dziesięciu lat.

Natomiast co do moich związków z „Solidarnością” i opozycją antykomunistyczną w Europie Środkowej – no cóż, historia dwudziestego wieku usłana jest przykładami ludzi, którzy najpierw się romantycznie angażowali, a po-

tem gubili w walkach politycznych obcych krajów – wystarczy przywołać partyzantów Che Guevary czy wojska Wietkongu, czy hiszpańską wojnę domową albo walkę komunistów z faszyzmem w Europie. Spójrzmy na młodego Kima Philby'ego, uwiedzionego przez Litzy w Wiedniu. Albo Frau R., która skończyła jako informator Stasi. Oto do czego może doprowadzić młodzieńczy idealizm.

Osobiście miałem jednak szczęście. Ze względu na kraj, w którym się urodziłem, środowisko, rodziców, wykształcenie. Przyjaciół, których spotkałem. Moją Julię. Szczęście w wyborze zawodu. I spraw, którymi się zajmowałem. Bo walka Europy Środkowej z komunizmem była ważną i wielką sprawą. Gdybym urodził się kilka lat wcześniej, być może wspierałbym czerwonych Khmerów w walce z Amerykanami. Gdybym urodził się w biednej rodzinie w Bad Kleinen w NRD, mógłbym zostać porucznikiem Wendtem.

W 1939 roku Tomasz Mann napisał ważny esej pod tytułem *Brat Hitler*. W podającym się za „artystę” Adolfie Hitlerze Mann odkrył wspólne elementy z tym, co sam uważał za temperament artystyczny. W tym sensie, jak pisał, wprawdzie niechętnie, ale uznawał Hitlera za „brata”. Sam nie całkiem potrafię się uznać za brata owego „Romea”, który donosił do Stasi jako IM „Romeo”, a teraz jest rzecznikiem prasowym postkomunistów. Mogę jednak do pewnego stopnia zrozumieć wszystkich informatorów z mojej teczki, funkcjonariuszy, a nawet Kratscha. Bo gdy opowiadają swoje historie, wyraźnie widać, jak doszli do tego, co robili: w innym czasie, w innym miejscu, w innym świecie.

Teczki dowodzą, jak ogromny wpływ na nasze zachowanie mają okoliczności. Pośród tego, czego serce doświadcza, jak wiele jest rzeczy, które mogą prawa i władcy sprawić bądź zniweczyć. Odstłonięte zostają nie tyle złe zamiary, ile ludzka słabość, wielka antologia ludzkiej słabości. A rozmawiając z ludźmi, którzy byli w to zamieszani, od-

krywa się nie tyle zamierzoną nieuczciwość, ile nieskończoną ludzką zdolność do samookłamywania.

Gdybym tylko spotkał w czasie tych poszukiwań choć jedną jednoznacznie złą osobę. Lecz wszyscy oni byli po prostu słabi, ukształtowani przez okoliczności, oszukujący samych siebie; jakież to ludzkie, aż nazbyt ludzkie. Prawdą jest często powtarzane zdanie, że ci, którzy nigdy nie stanęli wobec podobnych wyborów, nigdy nie dowiedzą się, jak zachowaliby się w ich sytuacji, pod rządami innej dyktatury. Kim jesteśmy my sami, potępiając innych? Zrazem jednak: kim jesteśmy, aby móc przebaczyć? „Nie przebaczej”, pisze Zbigniew Herbert,

i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy
przebaczać w imieniu tych których zdradzono
o świecie.

Ofiarą funkcjonariuszy i informatorów Stasi padli konkretni ludzie. Tylko oni mają prawo przebaczyć.

Moja teczka jest darem losu. Zamykam ją bogatszy o nową wersję zasady „jak gdyby”. Opozycjoniści ze wschodniej Europy uczyli na własnym przykładzie: próbuj żyć w dyktaturze tak, jak gdybyś żył w wolnym kraju! Jak gdyby Stasi nie istniało. Moja nowa wersja obejmuje też coś przeciwnego: próbuj żyć w tym wolnym kraju tak, jak gdyby Stasi zawsze cię obserwowało! Wyobraź sobie, że twoja żona albo przyjaciel czytają sporządzony przez Stasi zapis tego, co o nich mówiłeś innemu przyjacielowi, albo tego, co robiłeś w zeszłym tygodniu w Amsterdamie.

Co sprawia, że jeden człowiek zostaje Stauffenbergiem, a inny Speerem? Po dwudziestu latach ciągle nie jestem bliżej odpowiedzi. Jasny system wartości i wiara? Rozsądek i doświadczenie? Zwykła fizyczna siła lub słabość? Silne korzenie rodzinne, społeczne, narodowe? Nie ma prostej zasady, pojedynczego wytłumaczenia. Gdy jednak ci, którzy pracowali dla tajnej policji, opowiadają mi o swo-

im życiu, nie potrafię oprzeć się wrażeniu, że kluczem jest ich dzieciństwo. Sądzę na przykład, że majora Rissego uratowała, jako człowieka, miłość matki. Lecz to, co osobiście dotyka mnie najbardziej, to problem ojca, którym sam teraz jestem.

Jakże widoczne jest to w powojennych Niemczech. Nieobecność ojca, który jest na wojnie, zginął w czasie czynnej służby albo jest w obozie jenieckim. Ojciec nazista albo ofiara nazistów. Psychologiczne dziedzictwo nazizmu i wojny ukształtowało kandydatów do następnej dyktatury. Po wojnie, w kluczowych latach między dzieciństwem a dojrzałością, latach młodego Romea – ludzie ci zostają usidleni.

Czasami, a nawet dość często, Stasi przejmowało rolę ojca. Jesteś proszony do pokoju dyrektora szkoły, który przedstawia cię starszemu, pełnemu godności, wzbudzającemu zaufanie człowiekowi, weteranowi wojennemu. Starszy pan odwołuje się do twojego patriotyzmu, młodzieńczych ambicji i pragnienia przygody. Ów funkcjonariusz prowadzący staje się ojcem, którego nigdy nie znałeś. Zło jednak nigdy nie składa się z pojedynczej nuty. Jak *Erllkönig*, Król Olch z ballady Goethego we wspaniałej oprawie muzycznej Schuberta, zło wabi pod różnymi postaciami i za pomocą różnych uroków: słodką muzyką, wielobarwnymi kwiatami, złocistymi szatami i pięknymi zabawami.

Sam jestem teraz ojcem. Za kilka lat, z końcem wieku, moi synowie wejdą w ten niebezpieczny okres między dzieciństwem a dojrzałością, każdy z nich trafi do swojego własnego Berlina. Być może nigdy nie będą musieli stawać przed tak skrajnym wyborem jak wielu ludzi w Europie w dwudziestym wieku: zostać Stauffenbergiem czy Speerem. Staną jednak przed wieloma innymi wyborami, a Król Olch także na nich będzie czyhał w przydrożnym cieniu.

Jak ich wyposażyć na tę drogę? Czy miłość rodziców jest wystarczającym zabezpieczeniem? A także wykształcenie,

wiedza o innych czasach, krajach i przekonaniach? Moi funkcjonariusze Stasi, surowo wychowani w biednym, okupowanym kraju, zamknięci za murem, nie mieli z czym porównywać odgórnie otrzymanego światopoglądu.

Oczywiście, można wiedzieć więcej i mimo to prześladować innych za to, że myślą lub zachowują się inaczej – lecz przynajmniej jest to wówczas mniej prawdopodobne. Tego naucza Berlin – nie miasto, lecz filozof. Godząc się na różnorodność kultur oraz istnienie nie dających się ze sobą pogodzić ludzkich celów, uznajemy tym samym względność naszych własnych zwyczajów i przekonań. To właśnie buduje tolerancję. W podsumowaniu swego najwspanialszego eseju Isaiah Berlin cytuje innego autora: „Uświadamianie sobie względności swoich przekonań, a mimo to niezachwiane trwanie przy nich, oto, co odróżnia człowieka cywilizowanego od barbarzyńcy”.

Nie jest to łatwe. Z jakiego źródła czerpać normy dobra i zła, na tyle silne, by kwestionować – jeśli zajdzie potrzeba – system, który nas ukształtował? Skąd wziąć odwagę do bronięcia pewnych wartości „niezachwianie”, nawet do śmierci, jeśli cały czas jesteśmy świadomi, że są one tylko względne? I jak przekazać naszym dzieciom nie tylko te wartości, lecz także tę odwagę?

Wkładam do komputerowego odtwarzacza płytę kompaktową i klikam na ekranie przycisk „play”. Z głośnika, za tekstem, który właśnie napisałem, płynie głos Dietricha Fischera-Dieskaua, nagrany w 1958 roku, w środku zimnej wojny, śpiewającego wspaniałą mroczną pieśń Schuberta. Czy którykolwiek ojciec może tego słuchać bez wzruszenia?

Wśród nocnej wichury pędzi na koniu ojciec, trzymając w ramionach syna. Tuli go mocno do siebie. Głos jest silny i pewny. Wtem Król Olch wynurza się z ciemności i wabi dziecko pięknymi słowy: o tych wielobarwnych kwiatach, złocistych szatach i pięknych zabawach, o swoich córkach,

które cię ukołyszają i będą z tobą tańczyć i zaśpiewają ci do snu. A jeśli odmówisz – głos nagle staje się ostry – użyję siły. Wśród narastających akordów rozlega się krzyk dziecka: „Ojcze, ojciec, on mnie porywa!” Ojciec pędzi, by ratować tak drogie mu życie. Dociera do domu. Pieśń zamiera: „W jego ramionach... syn... skonał”.

Zachowuję akta „Romea” w pamięci komputera i zamykam za sobą drzwi. Idę do synów.

BIBLIOTEKA
Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych
Uniwersytetu Warszawskiego
ul. Nowy Świat 69, 00-046 Warszawa
tel. 620-03-81 w. 295, 296

Podziękowania

Wyrazy mojej wdzięczności zechcą przyjąć: Werner Krätschell, Joachim Gauck, Hubertus Knabe, Klaus-Dietmar Henke, Christa Schulz, Frau Duncker, Clemens Vollnhals, Roger Engelmann, Hanna Labrenz-Weiss, Hella Trümpelmann, Eberhard Haufe, Heinrich August Winkler, Stefan Wolle, Ulrich Schröter, Christian Jessen-Klingenberg, Isabel Hilton, Mark Wood, Alexander Chancellor, Jim Reed, Tony Nicholls, Ralf i Ellen Dahrendorf, Graham Greene, James Fenton, Ian McEwan, David Cornwell, Craig Raine, Gill Coleridge, Georges Borchardt, Toby Mundy, Stuart Proffitt, Jason Epstein, Henryk Woźniakowski oraz kilka osób, które – z różnych powodów – wolały pozostać anonimowe.

BIBLIOTEKA
Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych
Uniwersytetu Warszawskiego
ul. Nowy Świat 69, 00-046 Warszawa
tel. 620-03-81 w. 295, 296

